

WSTRZĄSAJĄCY REPORTAŻ

Jak w Norwegii zgodnie z prawem
porywa się Polakom dzieci



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 39/241
25 WRZEŚNIA-1 PAŹDZIERNIKA 2017
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka broni
polskiego Szczecina



**NOWA KSIĄŻKA
LISICKIEGO
CZY KATOLIK MOŻE
BYĆ LUTERANINEM?**

Spółki na uwieźni rządu

Deyna pod lupą bezpieki



Miriam Shaded
o islamie, Polsce i Unii Europejskiej:

**Grożono mi,
ale chronią
mnie anioły**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 106 tys. egzemplarzy



SWISS + MADE



New Luminox

BLACK OPS 8880 SERIES

- › Sapphire crystal anti-reflective coating
- › Ultra-light Carbon Compound case
- › 200 m water resistance tested

 **ALWAYS
VISIBLE**

Constant Glow for up to 25 Years.

butiki **SWISS**

swiss.com.pl     



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielka wojna cywilizacji

Zadne inne wystąpienie w Nowym Jorku podczas sesji ONZ nie przykuło takiej uwagi komentatorów i polityków jak słowa prezydenta USA. Trudno się temu dziwić. Donald Trump nie tylko jest przywódcą najpotężniejszego państwa na świecie, lecz także od bardzo długiego czasu pierwszym politykiem świata Zachodu, który publicznie broni konserwatywnych wartości. Tym razem też nie zawiodł.

Mówił stanowczo, że „zawsze będzie stawiał Amerykę na pierwszym miejscu, tak jak wy, przywódcy swoich państw, powinniście stawiać swoje kraje na pierwszym miejscu”. Jeszcze niedawno takie deklaracje ściągnęłyby na głoszącego je polityka gromy i potępienia. Zgodnie przecież z regułami powszechnie panującej poprawności, tj. często obłudy, miarą wielkości i mądrości politycznej mają być deklarowanie troski o wszystkich, nie o swoich, i obrona najdalszych, a nie najbliższych. Patriotyzm, rozumiany jako przywiązanie do własnych korzeni, szacunek do ojczyzny, zaangażowanie w obronę dziedzictwa, tożsamości, obrona

przed zagrożeniami, także przed rozmyciem i wykorzeniem, miał raz na zawsze zniknąć ze słownika politycznego. Za sprawą Trumpa odżył. I to z jaką mocą.

To wystąpienie w Nowym Jorku kolejny raz pokazuje, jak wielką zmianę przyniósł wybór Trumpa. I nie dotyczy to tylko zmian w polityce międzynarodowej. Jeszcze ważniejsza jest zmiana akcentów w sferze wartości. Prezydent USA dotrzymuje swoich obietnic z czasów kampanii wyborczej oraz, co budzi wściekłość lewicy, jest faktycznie obrońcą tak religijnej wolności, jak prawa do życia. Dlatego m.in. odciął wsparcie dla organizacji wspierających działalność klinik aborcyjnych w USA i, co nie mniej ważne, przestał finansować UNFPA, ONZ-owski fundusz w istocie wspierający politykę proaborcyjną na świecie.

To ostatnie posunięcie wywołało prawdziwą furję. Pierwszym rządem, który postanowił zareagować, był kanadyjski gabinet groteskowego Justina Trudeau, który w lipcu na wspieranie aborcji w państwach rozwijających się przeznaczył 241 mln dol.

Dwa dni temu dołączył do niego rząd duński. „To czytelny sygnał dla Ameryki. Jeśli ktoś porzuca pochodnię, inni muszą ją ponieść. Świat potrzebuje przywództwa” – mówił premier Danii, Lars Løkke Rasmussen, ogłaszając, że jego państwo przeznaczy na wspieranie zabijania nienarodzonych dzieci (to się nazywa niesienie światu pochodni postępu!) 37 mln dol. Można się spodziewać, że wkrótce inne rządy przez liberałów, bogate państwa Unii pójdą podobną drogą. Nie mniej istotne zmiany dokonują się w samej Ameryce. Trump skończył choćby z absurdalną zasadą, broniącą przywilejów transwestytów w amerykańskiej armii. Podobnie rząd amerykański wystąpił w obronie przedsiębiorców, których zmusza się do akceptowania tzw. małżeństw homoseksualnych.

Widać wyraźnie, że amerykański prezydent, któremu tyłu zarzuca prymitywizm, brak okrzesań, powierzchowność i wręcz głupotę, doskonale rozumie, jak ważnym elementem przy odzyskiwaniu autorytetu przez państwo musi być powrót do powszechnie uznawanych, odziedziczonych oraz przez wieki niezmiennych zasad cywilizacji moralnej. „Ameryka najpierw” oznacza w tym przypadku „cywilizacja zachodnia najpierw”. I to jest zapewne najważniejszy powód, dla którego amerykański prezydent tak chętnie wspomina Polskę, jedno z niewielu państw Unii, w którym zachowało się stare rozumienie wolności słowa, wolności narodowej i suwerenności. To „patriotyzm prowadził Polaków do walki o wolność” – mówił Trump w Nowym Jorku, wskazując innym Polskę jako wzór do naśladowania. Te słowa to też broń w światowej wojnie cywilizacyjnej, w której liberałowie pierwszy raz od lat ponoszą porażki. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z MIRIAM SHADED
**ISLAM JEST SPRZECZNY
Z POLSKĄ KONSTYTUCJĄ**
Dlaczego największą opresją
dla muzułmanów jest ich własna
ideologia?

KRAJ

22 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
**POROZUMIENIE WOKÓŁ
„KONSTYTUCJI DLA NAUKI”**
Czy reforma szkolnictwa wyższego doprowadzi
do podziałów w obozie dobrej zmiany?

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CZY SMOK POŻRE NIEDŹWIEDZIA?

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RYSZARD WYBRAKOWANY

30 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM
**PO I NOWOCZESNA
TO FOLKLOR POLITYCZNY**

32 PIOTR SEMKA
NASZ SZCZECIN

34 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
REPARACYJNE KONTROWERSJE

37 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RODZICE KONTRA NORWEGIA

40 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
RÓŻAŃCOWA KRUCJATA

42 KATARZYNA PINKOSZ
PIĄTA PORA ROKU

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**ZŁAMANE SERCE
LWOWSKIEGO BATIARA**
Ukraińskie szaty Szczepcia i Tońcia

46 WOJCIECH ENGELKING
OJCOWIE I DZIECI

48 ROZMOWA Z PAULEM HUMPHREYSEM
I ANDYEM MCCLUSKEYEM
HUMANIZM MUZYCZNYCH MASZYN



NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 PAWEŁ LISICKI
NOWY WIZERUNEK MARCINA LUTRA
Fragment książki „Luter. Ciemna strona
rewolucji”

HISTORIA

64 GRZEGORZ MAJCHRZAK
**PORUCNIK DEYNA NA CELOWNIKU
BEZPIEKI**
Sport w PRL

66 PIOTR ZYCHOWICZ
ZŁY SPÓR O NSZ

ŚWIAT

70 OLIVIER BAULT
HISZPAŃSKA GORĄCZKA
Katalońscy separatyści idą na całość

72 TERESA STYLIŃSKA
POŻAR LASU I POLITYKA

74 ROZMOWA Z PROF. KIM BYUNGKIEM
JAK POWSTRZYMAĆ PÓŁNOC

78 SZEWACH WEISS
MARZENIA OJCA SYJONIZMU

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
SPÓŁKI NA UWIEŻI RZĄDU
Rząd chce zwiększyć kontrolę

82 AGNIESZKA ŁAKOMA
**NADCHODZI MIESZKANIOWA
REWOLUCJA**

84 STEFAN SĘKOWSKI
**RAPORT
Z UPADAJĄCEGO
MIASTA**

STYL

90 JOANNA
BOJAŃCZYK
MAGIA DIORA
Najtrwalszy look
nowoczesnej
Europy



ROAMER

OF SWITZERLAND



SWISS MATIC AUTOMATIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

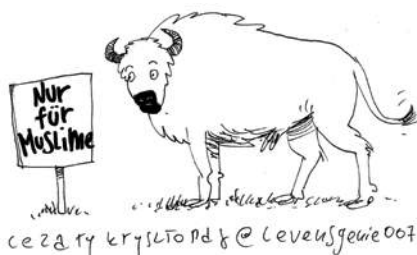
Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj Państwa opinii na temat podejmowane w ostatnim numerze. Przypadek sprawił, że list w obronie poezji Wojciecha Wencła pisany był jeszcze przed ukazaniem się dwugłosu w jego sprawie na naszych łamach. Ciekawie dopełnia naszą debatę.

„Zniszczyć Macierewicza”

Bardzo dziękuję za tekst Dominika Smyrgały („Do Rzeczy” 38/2017), który wreszcie porządkuje rzeczy związane z książką-paszkwilem na ministra Antoniego Macierewicza.

Nasuwa się jednak pytanie: Dlaczego tak późno ukazuje się artykuł poddający druzgocącej, ale i merytorycznej krytyce książkę Tomasza Piątkę? Czemu Ministerstwo Obrony Narodowej tak długo zwlekało z precyzyjnym obaleniem jej



tez, wytknięciem błędów i oczywistych nadużyć? Tyle miesięcy triumfu Piątkę, pierwsze miejsce na listach bestsellerów, mnóstwo wywiadów, pochwalnych recenzji, entuzjastycznych felietonów, a naprzeciw temu groźne pomruki i próba wykorzystania wojskowej prokuratury do oskarżenia Piątkę.

Czy naprawdę musieliśmy czekać tak długo, by szef gabinetu politycznego MON wydał z siebie merytoryczny głos? A gdzie rzecznik prasowy? Gdzie jacyś spece od PR, na których zapewne ministerstwo i rząd wydają mnóstwo pieniędzy? Pewnie, że wygodniej planować prowadzone z rozmachem akcje billboardowe i dobierać ubrania oraz krawaty. Jednak w sytuacji kryzysowej przecież należało działać szybko.

Gdyby tezy Smyrgały padły tydzień po ukazaniu się książki, straty związane z wizerunkiem PiS i ministra Macierewicza byłyby znacznie mniejsze.

Z poważaniem
Wojciech Dąbrowski

Dominik Smyrgała – w punkt. Świetny tekst, precyzyjnie obalający tezy Tomasza Piątkę. Do tego znakomity jak zawsze Wybranowski ukazujący sylwetkę autora tego antypisowskiego bestsellera. Pokazujecie, jak czarny PR jest w stanie atakować jednego z najlepszych ministrów w rządzie Beaty Szydło. Więcej takich numerów „Do Rzeczy”, bo okazuje się, że na froncie medialnym przeciwnicy PiS i dobrej zmiany zadają bardzo mocne ciosy.

Pozdrawiam
A. Kowalewski

„Lekcja z Wencła”

W ostatnich tygodniach część mediów rozpaczliwie komentowała zmiany, jakie zostały wprowadzone do szkolnej listy lektur. Chodzi tu zwłaszcza o poezję Wojciecha Wencła, która odąd będzie czytana jako pozycja obowiązkowa. We wspomnianych mediach Wencel nazywany jest „bardem smoleńskim”. To zaś stanowi jednoznacznie szyderczą kwalifikację, a co za tym idzie – dyskwalifikację. Dla kogoś, kto nie zna jego twórczości i polega wyłącznie na opiniach tzw. ekspertów, autor „Ody chorej duszy” jest rzecznikiem „posmoleńskiego fanatyzmu”, a więc siłą rzeczy grafomanem. Tymczasem stworzył on kilka naprawdę świetnych wierszy, których pisanie rozpoczął jeszcze w latach 90., na długo przed smoleńską tragedią (debiutował w 1995 r.). Pierwszy i drugi „List do Zbigniewa Macheja” zaliczam do największych i najbardziej poruszających osiągnięć rodzimej poezji po roku 1989. Ponadto opublikował wiele artykułów (np. w tomie „Zamieszkać w katedrze”), gdzie bez ogródek staje w obronie katolickiej wiary i wyznawanych wartości. Jego odwaga i bezkompromisowość zasługują na podziw, zwłaszcza że towarzyszą im nienaganny styl oraz rozległa erudycja. Istota poezji Wencła zawiera się w słowach, które zanotował w jednym ze swych szkiców: „Klasykista broni przeto rymotwórczej harmonii, ale pamięta też o wpisanej w owo współbrzmienie sylwetce krzyża”. Z całego serca życzę każdemu uczniowi i nauczycielowi, aby poczuł siłę klasycyzmu, jego wielkość w konfrontacji z dojmującym permissywiizmem. A jeśli chodzi o krzyż, to czy nie potrzebujemy go dziś bardziej niż kiedykolwiek?

Łącząc wyrazy szacunku
Andrzej Śnioszek



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01

e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki

I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel

Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała,

Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łyski,

Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz,

Ślawomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cusić (Bruksela),

Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda,

Ślawomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski,

Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Karolina Marchlewska-

-Tizmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,

Katarzyna Pinkos, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,

Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta,

Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torzański, Matthew Tyrmund, Paweł Wawrzynski,

Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,

Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata

Puzyr, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja) Damian Cygan,

Karol Gac i Marek Kolewski

Współpraca: Miłosz A. Ludowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),

Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,

Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto, Mirosław Owczarek

Ołdak: Paweł Wodzyński/BEGW NEWS, FOTOLIA

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)

reklama@dorzeczy.pl;

tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza);

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z płytą 296430

Nakład 106 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za

zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych

na www.dorzeczy.pl/regulamin/





Fundusze Europejskie – międzynarodowo

Projekty ponadnarodowe łączą ludzi i instytucje z różnych państw. Mogą dotyczyć np. współpracy gmin, organizacji pozarządowych czy instytucji edukacyjnych. Kluczem do ich realizacji są wspólny cel i współpraca.

JAK TO DZIAŁA?

Zaczynamy od partnerstwa. Aby przystąpić do projektu ponadnarodowego, musimy znaleźć instytucję z innego kraju, która będzie zainteresowana realizacją działań razem z nami. Ważne jest, aby miała podobny do naszego cel, np. wspierała zbliżoną grupę osób albo chciała razem z nami zaangażować się w daną tematykę.

OD CZEGO ZACZĄĆ?

Po określeniu celu i znalezieniu partnera zagranicznego możemy zacząć myśleć o pieniądzu. Z dużą pomocą mogą tu przyjść Fundusze Europejskie.

Jedną z możliwości dofinansowania są programy Interreg, zwane także programami Europejskiej Współpracy Terytorialnej (EWT).

Są one realizowane albo na obszarach przygranicznych, albo na szerszą skalę – przy udziale kilku różnych europejskich państw (programy transnarodowe lub międzyregionalne). Polska współpracuje ze wszystkimi swoimi sąsiadami. Realizuje także projekty z zamorskimi państwami leżącymi na północ od Bałtyku. Każdy program ma swój obszar działania i swoje priorytety.

Więcej o programach Interreg: www.ewt.gov.pl

Współpraca ponadnarodowa jest także jednym z priorytetów programu Wiedza Edukacja Rozwój (www.power.gov.pl). Na przykład dzięki finansowaniu tzw. mobilności ponadnarodowej stowarzyszenie Centrum Odkrywania Młodych Talentów 2012 organizuje w Lizbonie 60-dniowy staż tre-

nerski w portugalskim klubie piłkarskim – SL Benfica – dla 32 młodych ludzi z problemami na rynku pracy. Zajęcia w europejskiej akademii piłkarskiej, a po powrocie w polskich klubach pomogą im w rozpoczęciu kariery trenerskiej. Z kolei Centrum Badawczo-Szkoleniowe „Dobre Kadry”, dzięki współpracy z partnerem niemieckim, planuje opracowanie nowych narzędzi, które ułatwią zatrudnienie osób głuchych. Projekt „Deaf Work” w Polsce wykorzysta bogate doświadczenia niemieckie w aktywizacji osób z niepełnosprawnością sensoryczną.

JAKIE SĄ KORZYŚCI?

Dodatkowe korzyści to – obok wspólnego celu projektu – najważniejsza cecha współpracy ponadnarodowej. Przede wszystkim są to nowe kompetencje i doświadczenie oparte na wiedzy partnerów oraz pomysły na nowe projekty. Realizacja projektów ponadnarodowych umożliwia także szersze spojrzenie na różne problemy oraz porównanie polskich i zagranicznych sposobów ich rozwiązywania. ©

Agnieszka Lewandowska

Tematy współpracy w programach Interreg

- przygraniczny produkt turystyczny
- ochrona dziedzictwa kulturowego i przyrody
- ochrona środowiska
- projekt edukacyjny
- organizacja wydarzenia kulturalnego
- integracja osób z niepełnosprawnościami
- ułatwienie współpracy przedsiębiorców
- budowa lub rewitalizacja infrastruktury społecznej (np. przedszkola) i drogowej

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ



Fundusze Europejskie

Unia Europejska
Europejskie Fundusze
Strukturalne i Inwestycyjne





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nagle cicho o Kaczyńskim

Wydałoby się, że dosłownie każde wystąpienie prezesa PiS jest dokładnie analizowane przez media III RP. Słowa „naczelnika” – jak kpiąco pisał o nim liberalni publicyści – są przedmiotem dociekań, daleko idących interpretacji, a także hipotez na temat przyszłych planów rządzącej partii.

Na tym tle zdumiewać musi niemal całkowita publicystyczna cisza wokół wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego 18 września w trakcie uroczystości wręczenia nagrody im. Antoniny i Jana Żabińskich w warszawskim zoo – dwójga odważnych ludzi, którzy podczas II wojny światowej, narażając życie, uratowali wielu polskich Żydów.

Najważniejsze w wystąpieniu lidera PiS było przypomnienie, że hasło Holocaustu jako zbrodni, której nawroty mogą odbywać się pod zupełnie innymi formami niż te, z którymi zazwyczaj utożsamia się niechęć do Żydów.

Dziś antysemityzm bardzo często przejawia się jako wrogość wobec państwa Izrael, tak charakterystyczna zwłaszcza dla europejskiej lewicy, ale także dla

innych sił politycznych w Europie” – mówił Jarosław Kaczyński. I dalej: „Holokaust był arcyzbrodnią, był wyrazem skrajnego, najskańniej-szego zła. Zła, które pojawiało się w historii wiele razy, ale w XX w. właśnie poprzez Holokaust pokazało jeszcze raz swoją najstraszliwszą twarz. Jednak temu skrajnemu złu przeciwstawiło się coś, co można określić śmiało jako skrajne dobro – bohaterstwo najwyższej próby, które nie cofało się przed ryzykiem tortur, śmierci, śmierci własnej rodziny” – powiedział Jarosław Kaczyński.

Jednak, jak podkreślił lider PiS, „musimy także pamiętać zawsze, że antysemityzm był główną przesłanką tej monstrualnej zbrodni, ale i dziś istnieje, choć przybiera różne formy, często inne niż te, które znamy z nieodległej i odleglejszej przeszłości”.

Drugim istotnym elementem mowy Kaczyńskiego były jego refleksje na temat państwa żydowskiego na Bliskim Wschodzie.

„Ktoś powiedział tutaj o Izraelu jako małym państwie. Izrael nie jest małym państwem, jest państwem, które udowodniło, że nie terytorium i ilość ludności, a siła ducha i umysłu

oraz determinacja i odwaga stanowią o wielkości narodów i państw”. I dalej: „Izrael jest państwem na swój sposób wielkim i tą wielkość musimy traktować także jako dowód tego, że gdzieś tam nad nami jest siła, która o wszystkim decyduje, bo bez niej Izrael nie mógłby istnieć. To swego rodzaju cud naszych czasów” – dodał prezes PiS.

Jarosław Kaczyński dotknął bardzo niechętnie zauważanego zjawiska – niepokojącej zbieżności między poprawnością polityczną lewicy, każącą stawiać w konfliktach na Bliskim Wschodzie zawsze po stronie państw arabskich przeciw Izraelowi, ze zjawiskiem wpływu na politykę państw zachodniej Europy wzrostu ludności muzułmańskiej w tych krajach. Politycy lewicy walczą o głosy wyborców o muzułmańskich korzeniach i łatwo przyjmują antyizraelski ton. Na tym tle skokowo narasta liczba aktów przemocy wobec instytucji izraelskich związanych z wrogością muzułmanów.

Ktoś to musiał w końcu powiedzieć i tym kimś w Polsce jest prezes PiS. Cisza, która otacza to wystąpienie, pokazuje, że Kaczyński trafił celnie w słaby punkt lewicy. ©

AWARIA NA POGRANICZU Z BIAŁORUSIĄ

Niedziałające telefony komórkowe, Internet, i bankowość elektroniczna na wiele godzin sparaliżowały życie kilku miejscowości niedaleko granicy z Białorusią. Zaczęło się w czwartek w nocy. We Włodawie (woj. lubelskie) leżącej blisko granicy z Białorusią przestały działać sieci telefonii komórkowych – najpierw Orange, a później kolejnych. Potem padła sieć internetowa. W piątek rano zrobiło się nerwowo, bo okazało się, że miasteczko jest sparaliżowane – nie działał też system bankowości elektronicznej.

Miejscowi samorządowcy, którzy o całej sprawie poinformowali „Do Rzeczy”, szybko ustalili, że „elektronicznie wykluczona” została nie tylko Włodawa, podobne problemy miały pobliskie miejscowości leżące w przygranicznym paśmie. – W zasadzie problem jest od okolic Hrubieszowa aż do Włodawy. Działają tylko telefony stacjonarne, brak łączności we wszystkich sieciach, nie można płać kartą. Jeśli się uda złapać jakąś sieć, to jest to rosyjski lub białoruski operator – mówił nam w piątek

Mariusz Zańko, sekretarz gminy Kodeń. W miasteczku zaczęto głośno mówić, że całe wydarzenie może być rosyjską prowokacją – kilkadziesiąt godzin wcześniej za białoruską granicą zakończyły się rosyjskie manewry wojskowe „Zapad 17”. Na wniosek lubelskiego urzędu wojewódzkiego sprawą zajęło się Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Oficjalne wyjaśnienie jest prozaiczne, tyle że budzi sporo wątpliwości. – Operator Orange, który obsługuje ten teren, poinformował nas, że doszło do awarii w wyniku uszkodzenia – przerwania kabli

światłowodowych na tym terenie – powiedziała nam Anna Adamkiewicz, szefowa biura prasowego RCB. Z kolei rzecznik Orange Wojciech Jakubowski twierdził w rozmowie z lubelskimi dziennikarzami, że światłowód został uszkodzony przez rolników, którzy mieli wykonywać prace polowe. – Prace polowe w nocy? Awaria zaczęła się w czwartek późnym wieczorem – dziwi się jeden z lubelskich samorządowców. (ww) ©

WIĘCEJ O MANEWRACH „ZAPAD 17” NA STR. 26

Zagadka człowieka prezydenta



FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Prokuratura ma sprawdzać finansowe powiązania prof. Michała Królikowskiego ze spółką paliwową zamieszana w wyłudzenia podatku VAT. To potężna afera czy medialna nagonka, której celem jest Andrzej Duda?

Prof. Michał Królikowski, były wiceminister sprawiedliwości w rządzie PO-PSL, jest jednym z ekspertów, którzy przygotowują dla prezydenta Andrzeja Dudy projekt reformy wymiaru sprawiedliwości. W lipcu było o nim głośno, gdy m.in. na łamach „Do Rzeczy” ostro skrytykował projekty ustaw ministra Zbigniewa Ziobry. Teraz, jak twierdzą media, sam znalazł się w kręgu zainteresowania

śledczych – mają badać, czy można mu postawić zarzuty prania brudnych pieniędzy.

– Jestem przekonany, że to nie ja jestem celem tej sprawy. Myślę, że jestem pionkiem. To, że pionka można przewrócić, to jasne – powiedział RMF FM prof. Królikowski. – W mojej ocenie celem tego całego zabiegu jest pan prezydent. Królikowski przekonywał też w rozmowie z radiem, że

chodzi o próbę „zdyskredytowania prezydenta i przygotowywanych ustaw”.

Według „Newsweeka” białostocka prokuratura sprawdza, czy prof. Królikowski, który przez kilka lat miał prawnie obsługiwać jedną ze spółek zamieszanych w proceder wyprowadzania podatku VAT, przyjął od niej w lutym 2017 r. 1 mln zł depozytu adwokackiego na poczet kosztów przyszłych postępowań przygo-

towawczych, kar i poręczeń majątkowych.

Według tygodnika śledczy podejrzewają, że spółka mogła próbować w ten sposób wyprać pieniądze. Z relacji „Newsweeka” wynika, że Królikowski, gdy dowiedział się, że pieniądze pochodzą z przestępstwa, sam miał się zgłosić do prokuratury. Gdy ta chciała zająć depozyt, miał odmówić podania numeru konta i powiedzieć, że sam zamrozi te pieniądze.

Profesor Michał Królikowski pytany przez „Do Rzeczy” odmówił komentarza w tej sprawie. ©©

Wojciech Wybranowski

DOBRA ZMIANA W OFICYNIE KLETT

W maju tego roku polscy historycy zajmujący się problematyką niemiecką odkryli kolejny przypadek użycia w Niemczech określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Tym razem tak bolesny dla Polaków termin znalazł się w podręczniku historii dla 11. klasy wydawanym przez Oficynę Klett.

Wydawnictwo Ernst Klett Verlag powstało w 1897 r. w Stuttgarcie i w ciągu ostatnich 70 powojennych lat stało się jednym z liderów na rynku podręczników RFN.

Liczne interwencje polskich naukowców przyniosły nadspodziewanie dobry efekt. Klett wziął na siebie odpowiedzialność za błąd i wycofał z dalszej sprzedaży egzemplarze podręcznika z fatalnym określeniem. Wydawnictwo poinformowało, że dostępna jest już poprawiona strona, którą można dołożyć do posiadanych już podręczników.

Na dodatek wydawnictwo proponuje nauczycielom przeprowadzenie lekcji uczulającej uczniów

na fałszywe pojęcie „polskie obozy koncentracyjne” w przestrzeni publicznej, bo chodzi o niemieckie obozy zakładane na ziemiach okupowanej Polski. Klett uczula uczniów, że używanie tego pojęcia zdarzało się znanym mediom publicznym i prywatnym, znanym politykom oraz jemu samemu. „Ludzie, którzy przeżyli niemiecką okupację, której ofiarą padło nie tylko ok. 3 mln polskich Żydów, lecz także podobna liczba nieżydowskich mieszkańców ówczesnej Pol-

ski, czuli się i czują bardzo zranieni przez takie sformułowania” – piszą wydawcy w konspekcie lekcji.

Profesor Krzysztof Ruchniewicz, zaangażowany od lat w polsko-niemiecki dialog na temat podręczników, wskazuje: „Wygłada na to, że działania różnych osób i instytucji przynoszą powolne i satysfakcjonujące efekty. Warto o tym pamiętać w ferworze dzisiejszych, często bardzo emocjonalnych dyskusji polsko-niemieckich”. ©©

Piotr Semka



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bezrefleksyjna niezawisłość

Dobra zmiana", wbrew stereotypowi, wcale nie ma ostatnio tak złych stosunków z „nadzwyczajną kastą”. Naczelny Sąd Administracyjny przyznał rację Ministerstwu Kultury w sprawie reorganizacji Muzeum II Wojny Światowej, inny sąd oddalił oskarżenia wobec nowego kierownictwa stadniny w Janowie Podlaskim... Widać, że

nominać na wiceprezesa sądu, i próba wytoczenia postępowania dyscyplinarnego adwokatowi posłom za to, że jakoby „sprzeniewierzyli się etyce zawodowej i konstytucji”, głosząc za reformą wymiaru sprawiedliwości.

Jednak wszystkich przebiła pierwsza prezes Sądu Najwyższego, Małgorzata Gersdorf, swoją samokrytyką za pojawienie się na zaprzysiężeniu przez prezydenta nowego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, nieuznanego przez opozycyjnych radykałów. Sam fakt, że wystarczy na „wzór sędziowskiej niezawisłości” głośniejsze krzyknąć, a ta zmienia zdanie i składa upokarzającą samokrytykę w TVN, choć nic złego nie zrobiła, jest już wystarczająco wymowny. A argumentacja rzecznika, sędziego Laskowskiego, że prezes była tam „bezrefleksyjnie”, a potem jeszcze wywiad, w którym przyznał, że może błędem było ją tak tłumaczyć,

ale „nic mądrzejszego nie umieliśmy wymyśleć”, pani prezes zaś oświadczenie rzecznika zaakceptowała – to już groteska, która śp. Mrożka wpędziłaby w kompleksy. Trudno nie uznać, że jeśli sędziami najważniejszego sądu są ludzie o stałości przekonań kurka na dachu, zdolni do „bezrefleksyjnych” decyzji i tak głupio je potem tłumaczący, to każda najgorsza reforma i najgorsi nawet sędziowie mianowani przez straszny PiS mogą być zmianą tylko na lepsze.

Polska Fundacja Narodowa, ku powszechnemu oburzeniu, dostała od rządu 19 mln na kampanię propagandową dyskredytującą stan sędziowski i wymiar sprawiedliwości (oczywiście nazywa się to kampanią informacyjną objaśniającą cele reformy). Uważam, że powinna całą tę kasę oddać prezes Gersdorf i sędziemu Laskowskiemu. Uczciwie na nią zasłużyli. ©©

Wystarczy na „wzór sędziowskiej niezawisłości” głośniejsze krzyknąć, a ta zmienia zdanie

wojnę z PiS prowadzi tylko część prawniczego establishmentu i że najwyraźniej wojnę tę przegrywa, o czym świadczą tak historyczne i absurdalne zachowania, jak usuwanie z jednego ze stowarzyszeń sędziego, który przyjął od ministra



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O czystym szaleństwie

Giuseppina Gheri w 1943 r., gdy miała 11 lat, napisała patriotyczne wypracowanie, które dotarło do Mussoliniego. Duce się wzruszył i wysłał dziewczynce do szkoły w Savonie list pochwalny. Dwa lata później, nazajutrz po wyzwoleniu, przyszło po nią trzech partyzantów. Matkę pobili, 13-letnią dziewczynkę też. Następnie, już w areszcie, partyzanci zgwałcili dziewczynkę, ogolili jej głowę, pomalowali czerwoną farbą. Po trzech dniach tortur zabili dziecko strzałem w tył głowy, bo „sąd ludowy” skazał je na śmierć za szpiegostwo na rzecz faszystów.

Zbrodnię opisał w 2010 r. Giampaolo Pansa w głośniejszej książce „Krew zwyciężonych”.

Teraz, po siedmiu latach starań rodziny Gheri, władze Savony zgodziły się na jednym z placów miasta umieścić tabliczkę: „Giuseppino, dziewczynko, minęło wiele lat, ale nie zapomnieliśmy o Tobie, nieszczęsnej ofierze haniebnej nikczemności”. Jednak nie wydano zgody, by na tablicy znalazła się informacja, kto i co z dziewczynką zrobił. Natomiast Narodowy Związek Włoskich Partyzantów gwałtownie zaprotestował.

W piśmie, które sprawia, że włos jeży się na głowie, czytamy: „Mimo

młodego wieku Giuseppina Gheri dokonała wyboru, stając po stronie faszystów. Gwałt i egzekucja były rezultatem nienawiści, którą swoimi zbrodniami wywołali faszysti i naziści. Poza tym Giuseppina była dorastającą dziewczyną, choć nie widać tego na zdjęciach”. Te ostatnie słowa mają usprawiedliwić (!) gwałt na dziecku.

Z kolei pani adwokat Carmen di Genio skomentowała niedawne gwałty w Rimini: „Nie możemy na poważnie zakładać, że Afrykanie wiedzą, iż w Italii na plaży nie można gwałcić”.

Świat zwariował. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Fundacja
i społecznik

Rotmistrz Witold Pilecki (właściwie od 2013 r. już pułkownik, ale tradycja, wiążąca z jego nazwiskiem dawny stopień rotmistrza, jest godna uszanowania) 19 września 1940 r. wszedł dobrowolnie w niemiecki „kocioł” i – zgodnie ze swoim planem – znalazł się w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Owocem jego pobytu tam były obozowa siatka konspiracyjna oraz wyjątkowy raport ze zorganizowanego przez Niemców piekła na ziemi.

Wspominam o rotmistrzu, ponieważ właśnie 19 września znakomitą akcją upamiętnienia tej wyjątkowej postaci podjął znany z wielu podobnych przedsięwzięć Marcin Czapliński, internetowy aktywista i społecznik. Tego dnia opublikował w mediach społecznościowych kilkadziesiąt postów poświęconych Pileckiemu, przypominając fakty z jego życia, pokazując zdjęcia. Czynił to również na prowadzonym przez siebie anglojęzycznym profilu twitterowym @HistoryofPoland. Z biegiem dnia do akcji oznaczonej jako „#dzieńRotmistrza”, włączyły się profile niektórych instytucji państwowych. Nie było jednak wśród nich profilu Polskiej Fundacji Narodowej.

Ten kontrast jest uderzający. Od wielu już miesięcy jeden tylko społecznik, bez żadnych publicznych pieniędzy, wyposażony w komputer i aparat fotograficzny, robi dla polskiego wizerunku więcej („#dzień Rotmistrza” to tylko jedna z jego wielu, wielu inicjatyw) niż powołana w tym celu fundacja, sówicie czerpiąca z publicznej kasy. Ta skupiła się na prowadzeniu antysądziowskiej propagandy dla rządu.

Nie piszę tego, żeby tworzyć jakieś animozje. W tego typu działaniach jest miejsce dla szlachetnych, pełnych zapału ludzi jak Czapliński i jest miejsce dla fundacji operujących milionami. Jeśli jednak robotę, którą powinna ta właśnie fundacja wykonywać, robią za nią prywatne osoby, a ona zajmuje się propagandowym wspieraniem rządu w sprawach niemających zgoła nic wspólnego z wizerunkiem Polski – coś tu bardzo mocno nie gra.

Panu Marciniowi Czaplińskiemu mogę jedynie powiedzieć: brawo, chylę czoła, cieszę się, że mogę się czasem w jakimś stopniu włączyć w Pańskie działania.

Zarządowi PFN nie powiem nic, bo nie byłyby to rzeczy cenzuralne. ©©

ZGŁOSZENIA DO STRAŻNIKA PAMIĘCI 2017



30 września mija termin przysyłania kandydatur osób, które w tym roku tygodnik „Do Rzeczy” powinien wyróżnić nagrodą Strażnik Pamięci przyznawaną za popularyzację polskiej historii i przypominanie o wydarzeniach, które w minionych latach próbowano z niej wymazywać.

Nagroda jest przyznawana w trzech kategoriach: Twórca, Instytucja oraz Mecenas. Propozycję osób i instytucji można przysłać pocztą elektroniczną na adres: straznikpamieci@dorzeczy.pl. Więcej informacji o plebiscycie: www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/.

(ww) ©©

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 2 października 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

GDY PERFEKCYJNA NARZEKA NA PERFEKCJĘ

Małgorzata Rozenek karierę w show-biznesie zaczynała jako Perfekcyjna Pani Domu, pouczająca Polki, jak perfekcyjnie dbać o czystość we własnym domu. Dzisiaj



FOT. MARINUSZ ORZEL/W REPORTER

naucza kobiety dobrych manier, m.in. jak się zachować przy stole i których sztuczków używać, a w innym autorskim programie tego, jak żyć w dobrym stylu. Następnie w wywiadach ubolewa, że polskie kobiety chcą być perfekcyjne za wszelką cenę. I ona im to odradza! – Żyć w dobrym stylu to żyć w zgodzie ze sobą i to jest najważniejsze. Każda z nas ma inne potrzeby, ma inne życie. Najważniejsze, żebyśmy to my były szczęśliwe, nie spełniamy oczekiwań ludzi wokół. Ja wiem, że to brzmi jak truizm, ale to jest naprawdę najważniejsze – mówi Lady Rozenek. – Kobiety w Polsce mają taką skłonność do bycia

totalnie perfekcyjnymi, robienia wszystkiego najlepiej, bycia supermatką, superzoną, supergospodynią, chcą pięknie wyglądać, świetnie się bawić i jeszcze dużo podróżować i być superpracownikiem – żałuje ręce Rozenek. Słuchając tego przytłuwu szczerości Małgorzaty, czekaliśmy tylko, aż zaapeluje do Polek, by nie oglądały głupich programów telewizyjnych i nie wierzyły im, ale niestety w ostatniej chwili ugryzła się w język. W końcu z czego żyć trzeba.

GRANICE? JAKIE GRANICE!

Maja Sablewska uparcie wraca do wątku swoich zmieniających się rysów twarzy. I w kolejnym wywiadzie przypomina swoje



FOT. PAWEŁ GONIAŁA

zapewnienia, że to efekt cudownej diety, a nie żadnych operacji plastycznych. Nie wiemy, po co to robi, bo sprawa już dawno przycichła, a ona na własne życzenie nadaje jej drugie życie. Skoro jednak sama chce, cóż. – Dieta, szczególnie gdy ktoś zrzuci 10, 15 czy nawet 30 kilo, zmienia rysy – przekonuje w najnowszym wywiadzie. – Nie chcę się tłumaczyć, bo ja naprawdę dalej tak uważam – dodaje. Tymczasem nóż w serce wbija Mai nie kto inny, lecz sam Krzysztof Gojdz, spec od poprawiania urody wśród celebrytów. Zapytany o to, czy dieta może zmieniać rysy twarzy, odparł: – Oczywiście, że zmienia w przypadku osoby, która ze 100 kg schudnie do 50 kg. W przypadku osoby szczupłej nie ma takiej możliwości – stwierdził kategorycznie. Maja wciąż za to podkreśla, że żadnych operacji plastycznych nie miała. – Staram się dbać o siebie rozsądnie, nie przekraczając pewnych granic – mówi. Poza granicami śmieszności, ale kto by się nimi w show-biznesie przejmował.

SKROMNOŚĆ PONAD WSZYSTKO

Skoro pojawiło się już nazwisko Gojdz, to nie możemy nie odnotować faktu, że postanowił on pochwalić się, jak świetnie idzie mu biznes urodowy. Mówi, że ma 6 tys. pacjentów rocznie. – Mam największą klinikę medycyny estetycznej w Polsce i najnowocześniejszą, sprowadziłem najnowocześniejszy sprzęt, który działa. Nie ukrywamy, większość sprzętu, który jest na rynku, nie działa, to jest po prostu ściema – chwali się Gojdz. – Nie muszę prosić się o pacjentów, ponieważ mnóstwo osób zaufało mi i od wielu lat mam te same osoby, które przychodzą. Ciężko się do mnie dostać na wizytę, bo trzeba czekać prawie rok – opowiada. A gdyby równie długo trzeba było czekać na wywiady i telewizyjne występy Gojdzia? Perspektywa tyleż piękna, co nierealna. Niestety.

DO CZEGO SŁUŻY JESIEŃ

Maja Bohosiewicz, która jako nieznana siostra znanej aktorki Soni Bohosiewicz aspiruje do bycia celebrytką, odkryła na Instagramie prawdę na temat jesieni. I postanowiła podzielić się nią ze światem. „Dobrze wiem, od czego jest jesień. I wcale nie od tego, żeby zbierać kasztanki i robić z nich ludziki. O nie, nie, nie. Mnie nie nabierzecie. Jesień jest od tego, aby wykorzystać w końcu wysokie kozaki i grube swetry do gołych nóg. I ten czas trwa zaledwie 3 tygodnie!” – napisała. Widać, że lato dało się Mai mocno we znaki. Niby słońca było jak na lekarstwo, ale wystarczyło, by niektórym zaszkodzić na głowę. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, stało się. Iz – jak wiadomo – rząd pisu jest i antyinteligentni, i nienawidzi młodych osób, postanowił zrobić im na złość i przywrócić egzaminy wstępne na studia. Jest to złamanie konstytucji i niezawisłości uczelni, w dodatku pogwałca podstawowe prawo człowieka do posiadania dyplomu dowolnie wybranej wyższej uczelni.

Spycha nas to również na obrzeża cywilizowanej Europy, iż nawet do tej pory nie osiągnęliśmy jeszcze poziomu, na którym 100 proc. społeczeństwa ma wykształcenie wyższe. Prędko tej zapaści nie odrobimy i wydaje nam się, iż będzie to ze stratą dla wielu rozwojowych dziedzin nauki, takich jak choćby wiedza o tańcu, socjologia miasta czy inna lajkologia w mediach społecznościowych.

Martwimy się też o to, co zrobią ze sobą młode osoby, których system nie dopuści do studiowania. Obawiamy się, iż mogą się radykalizować i wprowadzać społeczne niepokoje. Sprawiedliwa redystrybucja indeksów na studia mogłaby utrzymać ich w strefie komfortu, ale oczywiście dla tak fashystofskiego ministra jak Gowin to niczego nie oznacza :(((

Pewnie słyszeliście, iż przerażeni Niemcy w akcie rozpaczliwej samoobrony zastrzelili polskiego osożubra, który nie wypowiedziawszy wojny, podstępnie przekroczył granicę polsko-niemiecką i terroryzował swoją obecnością miejscową ludność.

Musimy zauważyć, iż przede wszystkim żubr był uzbrojony w parę ostrych rogów, a także był nieestetycznie niewydepilowany, postawny i wydawał z siebie dziwne dźwięki. Nieprzychylni do oglądania formacji wojskowych Niemcy mogli więc go wziąć za polskiego janusza z obrony terytorialnej w tradycyjnym umundurowaniu. Tymczasem, głupia sprawa, okazało się, iż zastrzelili osożubra, i zapanowało w tej sprawie krępujące milczenie.

Jak znamy życie, to pewnie zaraz ktoś zacznie się domagać reparacji za tego osożubra, ale nikt nie zapyta, dlaczego to ten kraj nie dopilnował granicy i umożliwił osożubrowi wtargnięcie na terytorium cywilizowanych, postępowych Niemiec.

Podkarpacie jara się z okazji filmiku „Niezwyciężeni”, który przedstawia patriarchalną, heteronormatywną wersję historii tego kraju podczas II wojny światowej i po niej. Oczywiście jako reprezentanci obozu postępowego nie możemy

się zgodzić z takim punktem widzenia.

Przed wszystkim nie pada w nim ani jedno słowo o polskich sąsiadach, stodołach i tradycyjnym polskim antysemityzmie, a w dodatku nazywa judeosoby z getta

**Jak znamy życie,
to pewnie zaraz ktoś
zacznie się domagać
reparacji za tego
osożubra**

„polskimi”, zawłaszczając sobie to wydarzenie. Ponadto pominięty został w ogóle wątek nieheteronormatywności wśród żołnierzy, tak jakby społeczność LGBTQWERTY w ogóle nie istniała!!!11

Domagamy się w związku z tym powstania kolejnego, tym razem obiektywnego filmu, który poddałby historię tego kraju twórczej krytyce i który można byłoby pokazać na zachodzie Europy bez zażenowania.

Płaca minimalna w tym kraju zostanie podniesiona do 2,1 tys. zł brutto. Niestety, jest to dalekie od idealnego systemu, w którym płaca minimalna równałaby się średniej krajowej.

Do tego 20 dni urlopu miesięcznie, czterogodzinny dzień pracy z wliczonymi półgodzinnymi przerwami co pół godziny, dodatkami za przychodzenie do pracy, punktualne przychodzenie do pracy i punktualne opuszczanie stanowiska pracy.

Mamy nadzieję, że ktoś się wreszcie tym zajmie!!!!111 ©©



**f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

Ekstaza w klubie kukistów! Ekstazę wywołał transfer posłanki Anki Siarkowskiej i jej koleżanki, której nazwisko nic wam nie powie, do klubu PiS. Już tłumaczymy: otóż ogólnie rzecz biorąc, Siarkowska nie była specjalnie w klubie kukistów lubiana, szczególnie przez frakcję endecką, której nie odpowiadały jej nadmierna gadatliwość i krzykliwość. Teraz, kiedy Siarkowska jest już w PiS, można ją będzie nareszcie z czystym sumieniem nawalać.

Zwracamy uwagę, że transfer dwóch posłanek do klubu PiS wystarczył do tego, by koalicja Zjednoczona Prawica zmieniła się z trzypartyjnej w czteropartyjną. Tworzą ją teraz: PiS, Solidarna Polska, Polska Razem oraz Partia Republikańska, czyli Siarkowska z tą drugą. Biorąc pod uwagę osiągnięcie tych ostatnich oraz to, że w klubie PiS jest obecnie 236 posłów, oznacza to, że zmieściłoby się w nim aż 118 partii wielkich jak Partia Republikańska.

To, że republikanie są pełnoprawnym i równorzędnym członkiem Zjednoczonej Prawicy, najbardziej musi martwić Przemka Wiplera. Gdyby nie odszedł z polityki i nadal był szefem republikanów, mógłby mówić o sobie, że stoi w jednym szeregu z innymi przywódcami koalicji, np. z Jarosławem Kaczyńskim. Niestety, Przemka już z nami nie ma, więc przywódca Zjednoczonej Prawicy to dziś: Kaczyński, Gowin, Ziobro i Siarkowska.

Piosenka „Chciałaby pani do PiS-u?” dopiero zaczyna podbijać listy przebojów. To znaczy, że będzie grana jeszcze nieraz. Jak opowiadają wieści, w kolejce do śpiewania ustawiają się nie tylko nasi zieloni bracia z peezelu, lecz także pojedynczy performerzy platformersi. Wszyscy bardzo by chcieli, ale Kaczor Dyktator na razie się zastanawia. Wzrok naczelnika jednak nie wszędzie sięga. Dlatego na prowincji okienko transferowe już się szeroko otworzyło.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dołączamy do protestu przeciwko złym Niemcom, którzy zastrzelili, ugrillowali i zeżarli polskiego żubra, mimo że był pod ochroną. Opowieść tę dedykujemy jako przestrożę wszystkim politykom polskim preferującym bezrefleksyjną opcję niemiecką.

Trwają prace nad ustaleniem, czy zeżarty żubr nie był przypadkiem tym, o którym kiedyś mówił poeta Jarosław Marek Rymkiewicz do Asi Lichockiej: „Polska to był taki wielki ospały żubr śpiący pod drzewem w Puszczy Białowieskiej”. Spałby nadal, gdyby nie prezes PiS: „Gdyby Jarosław Kaczyński nagle nie ugryzł go w dupę” – prawil Rymkiewicz. Tę opowieść też zadekwalibyśmy wszystkim politykom polskim preferującym bezrefleksyjną opcję niemiecką, ale nie zadedukujemy. I tak nie zrozumiemy.

Inni apelują, my odpowiadamy. Po tym, jak Kondzio Piasecki zapytał w Radiu Zet wicepremiera Gowina o to, czy „jest tak, że rowy lipcowe wykopane nie zabiłbyły się jeszcze”, i był dumny ze swej metafory, Gowin odrzekł: „Myślę, że wokół tej metafory powstanie niejeden wiersz, może jakieś haiku”. Nie mamy więc innego wyjścia, jak tylko zabić życzenie wicepremiera jakimś utworem.

Nasza propozycja nr 1: „Weto podpisane / rowy wykopane / lecz w naszej ojczyźnie / nic się nie zabił”. Propozycja nr 2: „Kaczafi nieufny / wobec państwa głowy / czy zabił się kiedyś / wielki rów lipcowy”. Chcieliśmy jeszcze napisać haiku, ale nie da się pisać i turlać po podłodze jednocześnie.

Wieści z Rybnika. W rządzonej przez prezydenta Piotra Kuczerę z Peło mieście straż miejska wlepiła mandaty proboszczom za to, że dzwony w kościołach biją zbyt głośno. Już Donald Tusk przekonywał, że Platforma nie będzie kłękła przed księdzem. A już tym bardziej przed proboszczem.

Sensacyjne wieści z Rybnika sprawiły, że po raz pierwszy w życiu zainteresowaliśmy się tamtejszym prezydentem. To fascynująca postać, która ma na koncie wiele nietuzinkowych osiągnięć. Na przykład kiedy był prezydent Bronisław Maria Komorowski odwiedzał w Rybniku przedszkole, Piotr Kuczera był jego osobą towarzyszącą.

Àpropos Komorowskiego – jego wizyta u rybnickich maluchów odbyła się całkiem niedawno, ze dwa tygodnie temu. Swoje pojawienie się w okolicy Rybnika Bronisław Maria tłumaczył tak: „Jako były prezydent staram się być przydatny”. Cieszymy się... że chociaż jako były prezydent.

Zostajemy na Śląsku. Śląska Partia Regionalna firmowana przez Ruch Autonomii Śląska i Związek Górnośląski jeszcze nie powstała, a już ma konkurencję. Swoją osobną, rozłamową partię Ślonszoki Razem utworzyło środowisko skupione wokół gazety „Ślonski Cajtung”. Nie wiemy, co o tym sądzić. Najprawdopodobniej pierwsza partia będzie chciała oderwać Śląsk od Polski. A ta druga – oderwać coś od Śląska.

Jeszcze o Śląsku. Bardzo podobał nam się materiał w „Wiadomościach” Kura TV o niszczeniu demokracji w Unii Europejskiej. Wynikało z niego, że demokracja jest niszczona, bo hiszpański rząd nie chce pozwolić Katalonii na referendum niepodległościowe i nasyła na katalońskich polityków policję. Jak rozumiemy, kiedy RAŚ zorganizuje referendum w sprawie niepodległości Śląska, a Błaszczak z Kamińskim wyślą w związku z tym do Katowic swoich najlepszych ludzi, od razu Kura TV weźmie w obronę demokrację. To znaczy RAŚ.

Uwaga! Ujawniamy tajemnicę prof. Andrzeja Zybortowicza! Dawno, dawno temu, kiedy Polską rządził prezydent Wałęsa, a premierem była Hanna Suchocka (tak, wiemy, nazwisko nic państwu nie mówi), Zybortowicz nie był jeszcze profesorem, tylko zwykłym doktorem. W związku z tym wyglądał inaczej: nosił flanelowe koszule w kratę i miał piękne wąsy godne największego podkarpackiego janusza. Kompromitujące zdjęcia znajdują się w naszym posiadaniu i rzucimy je w twarz każdemu, kto ośmieli się



twierdzić, że najpiękniejsze januszowe wąsy miał kiedyś Mariusz Błaszczak.

Mateusz Morawiecki to okrutny człowiek. Hurtowo likwiduje zagraniczne placówki promocyjne podległe Ministerstwu Gospodarki. Placówki od zarania III RP były przechowalnią emerytów z wszystkich możliwych służb oraz zasłużonych działaczy PSL. Mamy w związku z tym dwie wiadomości: dobrą i złą. Najpierw zła: nie wiedzieć czemu najgoręcej wyrzucanych weteranów III RP bronią ambasadorowie dobrej zmiany, którzy najwyraźniej dali się otorbić zielonym z peezelu i zieleńszemu z WSI. Dobra: wiewiórki mówią, że armagedon w ambasadach dopiero nadchodzi.

Żyćie towarzyskie. Pewna wiewiórka trafiła na imprezę z udziałem zasłużonych polskich dyplomatów. Zasłużonych, czyli nie z dobrej zmiany. Wiewiórkę wprowadziła znana lewaczka, więc uznano ją za swojaką i się przy niej nie hamowano – marsze KOD i Obywateli RP przy tym, co wygadywali dyplomaci, to pieszczoty – usłyszeliśmy od wiewiórki. Wnioskujemy o przyspieszenie armagedonu.

Podczas wspomnianej imprezy brylował pewien były ambasador na Bliskim Wschodzie, absolwent słynnej moskiewskiej akademii MGIMO. Nie jest on znany z sukcesów dyplomatycznych, ale zapisał się w historii inaczej: dał się złapać, kiedy na teren placówki przemycił kochankę. Nie jesteśmy przesadnie pruderyjni, ale jednak za niegodne uważamy wożenie kobiety w bagażniku.

My tu o armagedonie, a przecież PiS jest miłościwy. W jednej ze spółek Skarbu Państwa – dodajmy, że chodzi o energetykę – umościł się za czasów dobrej zmiany człowiek Janusza Palikota. Ona jest bowiem dobra, ta dobra zmiana. I ekumeniczna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Luminox z serii 4200 A.N.U. – ZAPROJEKTOWANY DLA PROFESJONALISTÓW

Szwajcarskie zegarki Luminox to od lat wybór profesjonalnych jednostek specjalnych na całym świecie m.in. U.S. Navy SEALs czy pilotów F-117 Nighthawk™.

Każdy zegarek Luminox jest wyposażony w unikalny samozasilający system podświetlania LLT (Luminox Light Technology) gwarantujący stałą widoczność godziny w każdych warunkach aż do 25 lat. Bez konieczności naświetlania czy naciskania jakiegokolwiek przycisku, godzina jest zawsze czytelna, nawet w zupełnej ciemności.

Zegarek Luminox z serii 4200 A.N.U. (Authorized for Navy Use) zyskał już niemalże miano kultowego. Tak jak podczas II Wojny Światowej amerykańscy Frogmen używali tylko sprzętu z autoryzowanej listy, tak również w Navy SEALs używa się tylko sprawdzonego ekwipunku, na którym można polegać. Zaprojektowany przez Luminox dla elitarnych jednostek zegarek z serii A.N.U. wykonany został z najlepszych materiałów, które wytrzymają zmieniające się warunki na lądzie, w wodzie czy w powietrzu. Duża 45 mm koperta jest wykonana ze stali szlachetnej i pokryta matową, czarną powłoką PVD. Wodoszczelność to aż 200 m, co jest dodatkowo zagwarantowane przez zakręcaną koronkę i dekiel. Szwajcarski mechanizm kwarcowy zapewnia precyzyjną wskazówkę czasu, a bateria litowa o znacznie zwiększonej żywotności zapewni wieloletnie działanie zegarka bez konieczności jej wymiany, nawet ok. 8 lat. Szafirowe szkło z antyrefleksem nie zarysuje się natomiast podczas użytkowania zegarka. Swiss Made.



CENA: 2590 zł
dostępny w wybranych
butikach Swiss
i na swiss.com.pl





Z Miriam Shaded,
prezes fundacji Estera
rozmawia Łukasz Warzecha

Islam jest sprzeczny z polską konstytucją

ŁUKASZ WARZECHA: Jak się pani żyje w IV RP?

MIRIAM SHADED: Pod względem dobra naszego kraju – dobrze. Jest o wiele lepiej, niż było. Jeżeli chodzi o mnie prywatnie, to trudniej.

W jakiej dziedzinie?

W podejściu do polityki emigracyjnej, do majątku państwa, do finansów publicznych. Podoba mi się repolonizacja banków i budowanie strategicznej pozycji Polski w stosunkach międzynarodowych – konkretnie projekt Trójmorza oraz zacieśnianie więzi ze Stanami, z Wielką Brytanią, z Chinami i Hiszpanią. Według mnie to są nasi główni sojusznicy, ku którym przede wszystkim powinniśmy się zwracać, gdy chodzi o strategiczną współpracę gospodarczą.

Jeśli mowa o podejściu do publicznych pieniędzy, to czy nie martwią pani sytuacje takie jak z kampanią „Sprawiedliwe sądy”, realizowaną przez Polską Fundację Narodową za pieniądze ze spółek Skarbu Państwa, a promującą politykę rządu?

Każdy rząd postępował tak samo.

I to powód, żeby temu także na to pozwalać?

Mnie to nie przeszkadza. Skoro Polacy wybrali taki rząd, to on ma prawo korzystać ze środków ze spółek Skarbu Państwa, żeby informować ludzi o faktach ważnych dla obywateli. Nie znam szczegółów tej sprawy, ale na pierwszy rzut oka tak to z mojego punktu widzenia wygląda. Dla mnie są sprawy ważne i mniej ważne. Ta zalicza się do pomniejszych.

A gdyby to samo robił rząd Platformy i przeznaczał pieniądze spółek na swoją propagandę?

On tak robił. Powtarzam: skoro Polacy wybrali ten, a nie inny rząd, to wolno mu korzystać ze środków w taki sposób. Jeśli coś nam się nie podoba, to możemy iść na wybory i głosować na kogoś innego. Uważam, że to szukanie dziury w całym i rozmiękanie polityki na sprawy błahe, służące jedynie do pobudzania negatywnych nastrojów wśród Polaków.

Mówi pani o lepszej pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Tymczasem w UE jesteśmy na cenzurowanym. Skonfliktowaliśmy się z Komisją Europejską.

Komisja Europejska jest grupą wpływów IV Rzeszy Niemieckiej – uważam, że to określenie dobrze opisuje rzeczywistość. Skoro chcemy być suwerenni i działać w zgodzie z własnym interesem, to oczywiste jest, że będziemy atakowani, ▶

■ w szczególności przez islamonazistów czy marksistów. Wizyta Donalda Trumpa pokazała, jak wzrosło nasze znaczenie na arenie międzynarodowej. Cały świat oparty na wartościach cywilizacji łaćńskiej nam się przygląda i kibicuje. Polaków uczono żyć w kompleksie Zachodu. Niestety, wiele osób przywykło do takiego myślenia i nie spostrzegły, że kraje określające się jako pierwsza prędkość w UE są, strategicznie patrząc, krajami Trzeciego Świata. Polska, nie przyjmując tego marksistowskiego wirusa, jedynie się umacnia i zaczyna być liderem, a strategicznie będzie potęgą w rejonie. Gadanie o konfliktowaniu się z Komisją Europejską to skowyt zakompleksionych maluczkich, którzy jako niewolnicy pogubili się w swojej tożsamości i w miłości do siebie samych.

Gdyby tu siedział ktoś z KOD, zaczęłby zapewne ostrzegać, że jesteśmy u progu dyktatury, a Kaczyński za moment zdusi demokrację.

Kompletna bzdura i manipulowanie pojęciami. Jeśli ktoś tu działa przeciwko demokracji, to sam Komitet Obrony Demokracji, bo walczy z rządem PiS, który zdobył władzę w demokratycznych wyborach. Przykro mi, ale dotychczasowa elita straciła wpływy. Chociaż nie, właściwie wcale nie jest mi przykro, przeciwnie. KOD kojarzy mi się ze złodziejem, który krzyczy: „Łapać złodzieja!”.

Jak pani opisałaby siebie? Kim pani jest przede wszystkim?

Aktywistką społeczną i influencerką.

Kto to jest influencer?

To osoba publiczna, która ma wpływ na postrzeganie rzeczywistości przez innych ludzi.

W jakich sprawach pani wpływa na ludzi?

Przekazywanie informacji, publiczne mówienie o problemach i napędzanie debaty społecznej często są uznawane za działanie poboczne oraz nieważne. Niejednokrotnie pojawia się też zarzut islamofobii. Tymczasem bez tych działań nie doszłoby do żadnej ważnej zmiany społeczno-polityczno-gospodarczej. Robię, co mogę, by przekazywać wiarygodne informacje, analizy, wzbudzić społeczne zainteresowanie i zrozumienie problemu oraz chęć niesienia pomocy. Wiem, że te działania mają siłę, która może zakończyć wojnę czy położyć kres wielu ludzkim dramatom. Moim celem

jest informowanie o przypadkach łamania praw człowieka oraz o sytuacjach, które mogą się przerodzić w społeczną dyskryminację czy otwarty konflikt. Staram się pokazywać prawdę i obnażać manipulacje, które mogą szkodzić polskim interesom, wartościom europejskim oraz chrześcijanom na Bliskim Wschodzie. Widzę, że mam potężny wpływ poprzez analizowanie sytuacji politycznej, geopolitycznej oraz możliwości wprowadzenia zmian ustawodawczych, poprzez działalność polityczną, przez rozmowy i pracę dla osób zajmujących ważne stanowiska, które to mają wpływ na kształtowanie prawodawstwa i opinii społecznej. Myśli i idee, które promuję, znajdują poparcie społeczne, a potem,

stawiłam jej swój pomysł i usłyszałam, że bardzo chętnie by pomogła, ale nie ma środków. Załatwiłam więc pieniądze, załatwiłam mieszkania dla uchodźców, ale wciąż musiałam przezwyciężyć mnóstwo blokad i oporów, spotkania ze mną były przekładane po kilkanaście razy...

Pani spotkania z kim?

Nie chcę operować nazwiskami. Chodzi o przedstawicieli rządu PO. Odwoływałam się do znajomości, do posłów. Chodziło mi tylko o sprowadzenie tych ludzi w bezpieczne miejsce, byłam gotowa odstąpić ten sukces rządowi, żeby zrobił sobie na tym PR. Sama wcale nie chciałam się pojawiać przed kamerami. Jednak kiedy wszystko po mojej stronie



Fundacja Estera pomogła prześladowanym chrześcijanom z Syrii znaleźć schronienie w Polsce. FOT. JAKUB KAMIŃSKI/PAP

w swoim czasie, są realizowane przez rząd. Nie wiem właściwie, czy w ogóle była sprawa, w której się wypowiadałam i w której moja opinia nie zyskała potem poparcia społecznego oraz nie była w jakiejś formie uwzględniona przez władze. Najważniejsze jest sianie mądrych idei i myśli, które potem znajdują podatny grunt. Wydaje mi się, że jestem w tym skuteczna.

Początek pani obecności w życiu publicznym to jeszcze czas rządów PO, która przecież chciała sprowadzać imigrantów do Polski. Pani też tego chciała, tyle że pani mówiła wyłącznie o syryjskich chrześcijanach. A jednak jakąś współpracę z rządem Ewy Kopacz pani podjęła.

To była raczej próba współpracy. Bardzo ciężko to szło. Zaczęłam od spotkania z minister Teresą Piotrowską, przed-

było gotowe, zabrakło woli politycznej, żeby pomóc prześladowanym. Tymczasem czasu było coraz mniej, w tamtym okresie ISIS stało już blisko Damaszku, niemal przy samym kościele, z którym byłam w kontakcie. Ludzie dzwoniли do mnie, mówiąc, że się boją, że zostaną pomordowani. Nie można było czekać. Wtedy właśnie musiałam zacząć flirtować z mediami – chodziło o promocję sprawy, a nie mnie samej. I to poskutkowało, pojawił się efekt kuli śnieżnej, udało mi się wypromować mój projekt. Ostatecznie kwestia pojawiła się nawet jako jeden z wątków debaty prezydenckiej w 2015 r.

Muzułmanie na Bliskim Wschodzie mordują też innych mużulmanów – szyici sunnitów, sunnici szyitów itd. Może mużulmanom też jednak jakoś powinniśmy pomóc?

Nie zamierzam nikomu pomagać we wzajemnym mordowaniu się. Islam jest jak organizacje mafijne. Są osoby, które w tych organizacjach nie chcą być, apostości czy odstępcy, którym grozi za to śmierć, lub też kobiety, które zostały pozbawione wszelkich praw i godności, włącznie z obrzezaniem, by do końca życia nie mogły mieć odczuć seksualnych. Tym osobom należy pomagać i fundacja Estera to robi na co dzień. Największa opresja, jaka spotkała mużulmanów, przyszła ze strony ich własnej ideologii, dlatego możemy im pomóc jedynie poprzez zakazanie tego typu procedur, zakazów i nakazów, które w tej religii obowiązują. Wmawianie kobietom, że ich ciało jest „cipą”, jak określają to hadisy – stąd zresztą nakaz zakrywania ciała – jest poniżaniem ich, odbieraniem im godności. Krzywdzący nakaz można znieść jedynie zakazem.

Nie jest jasne, ilu ze sprowadzonych przez panią Syryjczyków wciąż jest w Polsce. Niektórzy twierdzą, że wszyscy wyjechali, przede wszystkim do Niemiec. To prawda?

Faktycznie, wyjechało około trzech czwartych. Skoro znaleźli gdzieś lepsze możliwości, to nie dziwię im się, że wyjechali. Robienie z tego zarzutu ma na celu jedynie zdyskredytowanie pomocy dla prześladowanych chrześcijan. Jednak część została i zapuściła tu korzenie. Założyli restauracje syryjskie, inni studiują, zajmują się tłumaczeniami – znaleźli swoje miejsce. Najbardziej jestem dumna z tego, że udało mi się uratować 174 osoby przed rzezią. Syryjczycy dziękują mi za to ze łzami w oczach.

Czy docierały do pani sygnały, że spotyka ich w Polsce coś złego?

Raz pobito moich znajomych. Napadnięty chłopak był członkiem naszego Kościoła, chrześcijaninem, natomiast widać było, że pochodzi gdzieś z Bliskiego Wschodu. Takie sytuacje są nieakceptowalne.

Czy sama się pani do tego w jakimś stopniu nie przyczyniła, niezwykle ostro krytykując islam i mużulmanów?

Absolutnie nie. Nie odpowiadam za to, że ktoś nie słucha, co mówię, a mówię bardzo wyraźnie, że największymi ofiarami islamu są sami jego wyznawcy. Odbiera się im prawa i wolności, a następnie pierze mózgi. Zawsze potępiałam fizyczne napaści na kogośkolwiek. Jeśli gdzieś rosną złe emocje,

to raczej po przeciwnej stronie sporu, wśród – umownie mówiąc – KOD-owców. Tam agresja jest znacznie silniejsza niż nawet w radykalnych środowiskach narodowych.

Dzisiaj pani fundacja Estera już nie sprowadza chrześcijan z Syrii. Czym się więc zajmuje?

Staram się pomagać Polkom, które związały się z mużulmanami i przeżywają z tego powodu piekło. Dostają wiele wiadomości od kobiet, które piszą, że zostały zgwałcone przez męża mużulmanina albo że uprowadzono im dzieci, albo że mużulmanin grozi, że zabije ją, jej dzieci, jej rodziców, bo odrzuca jego zaloty... Poza tym m.in. walczę przeciwko bestialskiemu procederowi obrzezania kobiet oraz z islamizacją Europy.

Takie historie zdarzają się również w Polsce? Trudno uwierzyć.

Tak. Mnóstwo. Na dodatek kobiety mają spore problemy z polskim systemem prawnym. Mogę przytoczyć historię Karoliny Szczęch. Zgodziła się, żebym podawała jej nazwisko. Będąc w Wielkiej Brytanii, poznała Pakistańczyka. Ten stosował wobec niej przemoc fizyczną i seksualną. Karolina zaszła z nim w ciążę i urodziła dziecko, wobec którego prawdopodobnie również stosowano przemoc seksualną. Tak w każdym razie mogą wskazywać wyniki badań u psychologa dziecięcego. Karolina jest teraz z dzieckiem w Polsce, ale na podstawie konwencji haskiej z 1980 r., dotyczącej uprowadzeń dzieci, mogłoby ono zostać wydane ojcu, który jednocześnie ma w Wielkiej Brytanii zakaz zbliżania się do obojga! Tyle że sądy, zajmując się takimi sprawami, w ogóle nie biorą tego typu okoliczności pod uwagę. Zwykle badają jedynie, czy dziecko zostało wywiezione do Polski bez zgody ojca, i jeśli tak było, to odsyłają je do niego, żeby tylko jak najprędzej pozbyć się problemu. Dlatego bardzo się cieszę, że Ministerstwo Sprawiedliwości zajęło się tym tematem i pracuje nad przepisami, które powinny zmienić postępowanie sądów. Wiele Polek w ten sposób straciło dzieci. Mam nadzieję że również w najbliższym czasie poprzez współpracę z ministerstwem uda się wprowadzić inne przepisy, które pomogą kobietom w podobnych sytuacjach.

Jak dużo dostaje pani wiadomości od kobiet, które doświadczyły przemocy ze strony mużulmanów? Jaka jest skala zjawiska?

Na ogół przychodzi kilka takich wiadomości w miesiącu. Jeśli pojawiają się gdzieś w mediach i opowiadam o swojej działalności, to jest ich zdecydowanie więcej. Tak pewnie będzie też po opublikowaniu tego wywiadu. Niestety, moje możliwości są ograniczone, działam w fundacji sama, ale widzę, że potrzeby są ogromne, więc będę się starała stworzyć regularną pomoc prawną dla pokrzywdzonych kobiet.

Islam nie ma dzisiaj w Polsce dobrej opinii. Dlaczego kobiety decydują się na wiązanie się z mużulmanami? Przecież nawet, jeśli trafią na porządnego mężczyznę, który nie bije i nie gwałci, to same różnice kulturowe mogą być trudne do zaakceptowania.

Przede wszystkim w miłości wszystkim jesteśmy naiwne. Gdy wchodzi się z kimś w bliską relację, zawsze ma się nadzieję, że ta druga osoba jest lepsza, niż na ogół jest faktycznie. Ponadto to często są kobiety, które nie mogą sobie znaleźć partnera w Polsce. I wtedy pojawia się obcokrajowiec, który mówi, że kocha, że uwielbia, pisze listy, wiadomości, stara się – i to działa. Do tego dochodzi rozmydłanie w mediach kwestii natury islamu, tego, jak w tej religii widzi się małżeństwo i rolę kobiety oraz mężczyzny.

Tutaj pani przesadza. Które polskie media tak dzisiaj przedstawiają mużulmanów?

Nie przesadzam ani trochę. Widziałam w TVN bardzo pozytywne materiały o konkretnych mężczyznach, mużulmanach, na których skarżyły się piszące do mnie kobiety. Wspomniana wcześniej Karolina Szczęch powiedziała, że nigdy nie weszłaby w relację z mużulmaninem, gdyby w mediach nie okłamywano jej co do natury islamu. Ludzie w mediach nie zdają sobie sprawy, jak krzywdzą ludzi, propagując nieprawdę.

Tylko jakie właściwie ma pani dowody, że to nie są pojedyncze przypadki przemocy, które przecież zdarzają się także w Polsce wśród chrześcijan albo niewierzących? Dlaczego sądzi pani, że to zjawisko systemowe wśród mużulmanów?

Wskaźnik przemocy wobec kobiet jest w Polsce najniższy w Europie. Rośnie natomiast wraz z liczbą mieszkających w danym kraju mużulmanów. No i nie ma wątpliwości co do tego, co wpaja ludziom islam. W islamie kobieta jest własnością mężczyzny, nie ma swojej podmiotowości. Jest „polem uprawnym”.

Jakiś czas temu głośna była pani chyba najbardziej radykalna wypowiedź o tym, że islam powinno się w Polsce zdelegalizować. Tutaj chyba jednak pani przesadziła. Jak można zdelegalizować jedną z trzech wielkich religii?

Można. Uważam, że islam jest sprzeczny nie tylko z polską konstytucją, lecz także z międzynarodowymi konwencjami określającymi prawa człowieka. Polska ustawa zasadnicza mówi w art. 13: „Zakazane jest istnienie [...] organizacji [...], których program lub działalność zakłada lub dopuszcza stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa”. Dalej czytamy w art. 58, że zakazane są zrzeszenia, których cel lub działalność są sprzeczne z konstytucją lub ustawą.

Jednak konstytucja gwarantuje też wolność religijną. A więc również mułmanom.

Właśnie! Artykuł 53 mówi, że wolność religii obejmuje wolność wyznania lub przyjmowanie religii według własnego wyboru. W islamie za odstępstwo jest kara śmierci, podobnie jak za niewiarę, czyli islam sam jest w sprzeczności z podstawowymi prawami zawartymi w naszej konstytucji. W 50 krajach, gdzie chrześcijanie są najbardziej prześladowani, panuje islam. Chrześcijanie są masowo mordowani, chłopcy są gwałceni, następnie obcina im się narządy płciowe, wkłada je do ust, a potem się ich krzyżuje. Małe chrześcijkanki się gwałci, po czym spuszcza się ich krew do wiader, następnie obcina się im głowy. Głęboko wierzący mułmanie robią codziennie z „niewiernymi” wszystko, co najgorszego możemy sobie wyobrazić. Wszystko po to, by chrześcijańscy rodzice wyrzekli się swojej wiary ze strachu.

Jednak delegalizacja islamu w Polsce jest nierealna. Konsekwencje polityczne byłyby dramatyczne. Reakcja Brukseli – bardzo stanowcza.

Unia Europejska jest sama coraz bardziej zislamizowana. Nie broni praw człowieka, coraz częściej staje po stronie oprawców, a nie ofiar. Polska nie powinna zwracać uwagi na to, co mówi Bruksela, bo zwykle narzucane nam poglądy czy przepisy są dla naszego interesu po prostu szkodliwe.

Jak możemy nie zwracać na to uwagi? Jesteśmy członkiem UE, nie możemy po prostu ignorować jej reguł, możemy najwyżej walczyć, żeby były dla nas jak najkorzystniejsze. Czy pani sugeruje, że z UE powinniśmy wystąpić?

Tak, powinniśmy to poważnie rozważyć. Pieniądze, które do nas trafiają z UE, pochodzą przecież również z naszych własnych składek. W dodatku w ogromnej części płyną potem, w postaci zamówień, do krajów takich jak Niemcy. Trzeba zweryfikować, ile wpłacamy, a ile dostajemy, przekalkulować pożyczki i oprocentowanie, jakie musimy zapłacić, by dokonać wpłaty do budżetu UE. Do tego dochodzą koszty regulacji prawnych oraz administracyjnych w związku z wdrażaniem przepisów. Musimy uwzględnić również kary, jakie się na nas nakładają, jeżeli nie uda nam się czegoś wprowadzić. Trzeba wziąć pod uwagę, czy finansowanie konkretnych spraw, definiowanych przez Unię, jest korzystne dla naszych interesów. Musimy przeanalizować, czy fundusze nie idą na działania dywersyjne. Na pierwszy rzut oka to się nie kalkuluje, ale oczywiście trzeba by to wrażenie potwierdzić szczegółowymi analizami, które niezwłocznie bym zleciła, będąc na miejscu obecnego rządu.

Większość Polaków jest jednak innego zdania. Polska pozostaje jednym z najbardziej euroentuzjastycznych krajów w UE.

Te wyniki to skutek propagandy. Polacy po prostu jeszcze nie wiedzą, że są przeciwko, bo sprawa nie została dokładnie przeanalizowana.

Jest pani właścicielką firmy zajmującej się przygotowywaniem oprogramowania. Czy sama pani nie skorzystała na unijnych dotacjach?

Faktycznie, dostałam dotacje. Dofinansowano 70 proc., 30 proc. trzeba było mieć wkładu własnego, do tego 23-procentowy VAT. Ponadto wymogi administracyjne i dokumentacyjne. Całe ryzyko musiałam wziąć na siebie. Nawet jeżeli nawalił główny wykonawca, to ja będę musiała zwracać pieniądze. To bardzo złe warunki, a decyzja o wzięciu dotacji jest obciążona wielkim ryzykiem.

Brzmi to wszystko jak wypowiedzi polityka, i to dość skrajnego. W ostatnich wyborach próbowała pani dostać się do parlamentu z partii KORWiN. Nie wyszło. Wróci pani do tego? Były jakieś propozycje?

Mam sympatyków w różnych partiach, ale konkretnej propozycji nie dostałam. Nie czuję takiej presji. Nie pcham się tam, gdzie drzwi są zamknięte. Jako prezes fundacji mogę mieć wpływ na wydarzenia nie mniejszy, a może nawet większy niż niejeden polityk.

Pani poglądy są jednak dość radykalne. Czuje się pani na co dzień bezpieczna?

Pojawiają się groźby, to prawda. Ostatnio pewien Palestyńczyk, mieszkający pod Wrocławiem, groził mi na Facebooku, że mnie uprowadzi, po czym – zacytuję jego słowa – zrobi ze mnie autostradę A4 i będzie na mnie rozdawał za darmo. Przepraszam za wulgarność tego cytatu, ale tak właśnie to określił. Zgłosiłam sprawę, zajęła się nią policja, potem prokuratura, ale Facebook nie chce udostępnić danych tego użytkownika. Chroni go w ten sposób, co samo w sobie jest skandalem. Kiedy wczytałam się w inne informacje o tym człowieku, okazało się, że chwalił się produkcją bomb w Palestynie, oraz twierdził, że wszyscy mułmanie wspierają ISIS.

Nie brzmi to miło. Czuje się pani fizycznie zagrożona?

Kiedys tak, dziś mniej. Przestrzegam kilku podstawowych zasad, m.in. nigdy nie informuję w mediach społecznościowych, dokąd się wybieram czy w jakim medium będę. Mam w głowie radar i gdy widzę większą grupę panów o charakterystycznym wyglądzie, odwracam twarz, żeby mnie nie rozpoznali. Pilnuję się. Wierzę, że chronią mnie anioły, a jeśli coś się mimo to stanie, to trudno.

Anioły aniołami, ale na niektórych zdjęciach pojawia się pani z bronią. To pozwane i udawane ujęcia czy naprawdę pani strzela?

Tak, od czasu do czasu jestem na strzelnicy. Więcej nie powiem, bo im mniej się o tym mówi, tym bezpieczniej.

Pani ojciec jest Syryjczykiem, mieszka w Polsce od lat 70., mama jest Polką. Jaki to ma na panią wpływ? Czuje się pani choć w części Syryjką?

Problemy i mentalność świata Bliskiego Wschodu są mi bardzo bliskie. Rozumiem je i mam ogromną empatię dla kobiet w tamtych rejonach. Mogłam być na ich miejscu.

Pani ojciec to pastor Kościoła Dobrego Pasterza. Pani też należy do tej wspólnoty. Jaki wpływ na pani postawę ma to, że jest pani córką duchownego?

Dla moich rodziców najważniejsze było, żebym była po prostu dobrym człowiekiem. I to im się chyba udało, choć czasem mam wrażenie, że przez to obrywam. Bywam dla niektórych za dobra. A wiara daje siły do działania.

SUPER
HISTORIA.pl

WYDAJENIE
**DO
RZECZY**

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

26 WRZEŚNIA

**CZĘŚĆ IV Z CYKLU „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI”
„BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA”**

**JAK BOHATEROM Z BŚ UDAŁO SIĘ UNIKNĄĆ LOSÓW ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH,
KTÓRZY ZOSTALI W POLSCE.**

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH:



MARCIN MAKOWSKI: Czy często miewa pan dziwne pomysły?

JAROSŁAW GOWIN: Rozumiem, do czego pan pije. Cenię opinię marszałka Terleckiego...

Ja przecież nawet nie wymieniałem żadnego nazwiska, a pan już o marszałku.

Czytelnicy na pewno domyślą się kontekstu pańskiego pytania. Tak jak mówiłem, szanuję zdanie Ryszarda Terleckiego, np. na temat wydłużenia studiów zaocznych, na pewno jego uwagi nie pozostaną bez odpowiedzi. Jestem jednak optymistą i myślę, że wokół „Konstytucji dla nauki” osiągniemy porozumienie w koalicji rządowej.

Tylko jak osiągnąć porozumienie, skoro wspomniany już marszałek Terlecki – oprócz nazwania projektu pańskiego resortu dziwnym – zarzucił również brak konsultacji „z rządem oraz klubem”. Z kolei pan zapewniał, że prezes Jarosław Kaczyński wie o wszystkim i daje zielone światło.

I marszałek, i ja mówimy prawdę. Rzeczywiście przedstawiłem prezesowi Kaczyńskiemu szczegółowe omówienie „Konstytucji dla nauki”, ale faktycznie nie było dyskusji w gronie klubu Prawa i Sprawiedliwości. Z reformą nauki i szkolnictwa wyższego zapoznali się natomiast członkowie senackiej oraz parlamentarnej komisji edukacji. Od półtora roku zapowiadałem jednak, że efekty naszej pracy, w której pomagało środowisko akademickie, zostaną przedstawione na Kongresie Nauki w Krakowie i słowa dotrzymałem.

I marszałek Terlecki o tym nie wiedział? Kolejny raz zawiodła komunikacja?

Źle, że doszło do takiego nieporozumienia między nami, i pewnie obaj mamy powody, żeby się uderzyć w piersi. Zapewniam jednak, że to jest tylko kwestia komunikacji, a nie żadne poważne tąpnięcie w koalicji.

A jak wyglądała atmosfera podczas wspomnianej rozmowy u Jarosława Kaczyńskiego? Niczym w „Uchu Prezesa”? Pan stoi lekko przygarbiony, zakłopotany. Atmosfera napięta.

Nikt z polityków nie wychodzi z „Ucha Prezesa” obronną ręką i trzeba mieć dużo dystansu do siebie i autoironii, żeby przyjąć swój satyryczny portret. Mogę pana jednak zapewnić, że prezes Kaczyński nigdy nie podnosi głosu, a dyskusja o projekcie ustawy była wręcz bardzo ciekawa, bo Jarosław Kaczyński pisał doktorat na



Z Jarosławem Gowinem, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego, założycielem oraz prezesem partii Polska Razem rozmawia Marcin Makowski

Porozumienie wokół „Konstytucji dla nauki”



FOT. ANDRZEJ WIKTOR/FORUM

temat systemu szkolnictwa wyższego i ma bardzo wnikliwą wiedzę w tej materii.

Czyli nie było uderzania pięścią w stół?

Pięść? U prezesa atmosfera jest zawsze kulturalna i chcę to jednoznacznie podkreślić. Możemy się różnić, czasami się mocno spieramy, ale Jarosław Kaczyński jest uosobieniem kurtuazji.

W takim razie zostawmy na boku savoir-vivre i przejdźmy do reformy. Komentarze, które pojawiają się po wspomnianym na początku spieciu, są dosyć jasne. Doktor Marcin Kędzierski z Klubu Jagiellońskiego pokusił się nawet o opinię, że PiS swoimi wątpliwościami „chroni interes lobby profesorskiego”, które boi się radykalnych zmian.

Reforma jest faktycznie głęboka, dlatego nie dziwię się, że pojawiają się głosy niezadowolenia. Tylko że one nie płyną jedynie ze strony „wystraszonych” tempem zmian, ale również tych, którzy chcieliby radykalniejszych cięć, np. zniesienia habilitacji. Pan zaś pyta mnie głównie o problemy wokół „Konstytucji dla nauki”. Rozumiem, że jest to politycznie ciekawe, ale proszę zwrócić uwagę, że stanowią one margines. Na kongresie w Krakowie zdecydowana większość – zróżnicowane – wypowiedziały się o ustawie przychylnie.

To prawda. W kulisach słychać, że to jedna z najbardziej „przedyskutowanych” ustaw, jakie proponuje w tej kadencji rząd. Prawdą również jest, że pojawiają się głosy pochwalne. Dajmy na to Joanna Schmidt z Nowoczesnej była pełna uznania dla kierunku reform. Często takich obrazków dzisiaj nie obserwujemy. Świątełko w tunelu?

Dla mnie to nie jest novum, do tej pory Nowoczesna – z jednym wyjątkiem – poparła wszystkie ustawy, które wyszły z mojego ministerstwa. Podobne głosy w Krakowie, deklarujące chęć pracy nad reformą szkolnictwa wyższego, napływały ze strony wszystkich ugrupowań parlamentarnych, nie tylko z Prawa i Sprawiedliwości. Na „tak” z pewnymi poprawkami były Kukiz'15, Platforma Obywatelska, PSL. Mam nadzieję, że finalnie wokół tej ustawy uda się zbudować ponadpartyjny konsensus.

Wszyscy za, wieje optymizmem, a jednak w pierwszym dniu obrad Kongresu Nauki „Wiadomości” dają 30-sekundowy materiał. Mówi rzeczniczka Beata Mazurek i raczej zadowolona nie jest.

Niech pierwsza relacja „Wiadomości” będzie źródłem do namysłu dla twórców tego programu, czy oddali „Konstytucji dla

nauki” sprawiedliwość. Jestem przekonany, że jeszcze nie raz widzowie „Wiadomości” obejrzą w nich pochwalne materiały. To nie oznacza jednak, że spodziewam się tylko pochwał. Jestem otwarty na głosy krytyczne, pod warunkiem że jest to krytyka merytoryczna, służąca poprawie jakości polskiej nauki, a nie obronie jakichś partykularnych interesów.

Nie daje się pan wytrącić z równowagi, ale jednak mówi się otwartym tekstem, że reforma może zostać odrzucona w Sejmie albo PiS doda poprawki nieco temperujące ostrze zmian. Jeśli taki scenariusz się wydarzy, koalicja rządowa stanie pod znakiem zapytania. Bierze pan taki obrót wypadków pod uwagę?

Moim zdaniem to są czcze spekulacje. Do tej pory wszystkie moje projekty były przyjmowane przez rząd i popierane przez klub PiS. Jestem pewien, że i tak będzie w przypadku „Konstytucji dla nauki”.

Pan jest pewien, ale spekulacji to nie ucina. To zemsta za to, że w przypadku głosowania nad reformą wymiaru sprawiedliwości „był pan za, ale się nie cieszył”?

(Śmiech) To oczywiste, że w koalicji mamy różne zdanie na temat reformy sądownictwa i prezydenckiego weta. Pomimo tych spiek w głosowaniach nad ważnymi kwestiami potrafimy kierować się dobrem Polski, a nie chęcią zrobienia sobie na złość.

Jednym słowem, nawet jeśli PiS nie będzie się cieszył, to liczy pan, że też zagłosuje „za”?

Bardzo dobra formuła. Tylko proszę uważać, żeby nie został pan zacytowany w „Uchu prezesa”.

Będę się mieć na baczności. Kontekst polityczny jest już jasny, w takim razie czas na konkrety. Proszę wyjaśnić przeciętnemu wyborcy, co faktycznie zmieni się w życiu akademickim po wejściu w życie „Konstytucji dla nauki”? Może zaczniemy od perspektywy rektora uczelni, później wykładowcy, a na końcu studenta, doktoranta.

Dobrze, czyli na początek rektor. Po wejściu w życie reformy będzie on miał znacznie większą władzę nad uczelnią, ale też zdecydowanie większą odpowiedzialność. Ustawa ma bowiem charakter ramowy, nie jest szczegółową instrukcją obsługi uczelni, tylko pokazuje pewne kierunki jej rozwoju. Reszta zależy od statutu oraz autonomicznych decyzji władz na czele z rektorem, bo on będzie miał prawo wskazywania osób na stanowiska kierownicze. Jednocześnie jeśli uczelnia zachowa strukturę wydzia-

łów, bo tutaj zostawiamy wolną rękę, również rektor będzie wskazywać dziekanów. Chcemy uniknąć obecnej sytuacji, w której uczelnie przypominają luźną federację wydziałów, a niektórzy dziekani toczą otwartą walkę z rektorem. Władzy nie oddamy jednak w jego ręce bez kontroli. Powołamy nowy organ, który obok senatu będzie czuwał nad pracami rektora – radę uczelni. W całości wybierze ją wspólnota akademicka, dlatego nie będzie tutaj miejsca na ingerencję polityków, w połowie będzie się ona musiała składać z osób spoza uczelni, czyli z reprezentantów społeczeństwa.

To, co pan proponuje, w założeniu brzmi jak amerykańska konstytucja. Mniej zapisów, więcej swobody interpretacyjnej. Nie obawia się pan chaosu decyzyjnego? Zburzenia świętego spokoju, a przez to oddolnego oporu wobec zmian?

Nie obawiam się, ufam środowisku akademickiemu, ale porównanie do amerykańskiej konstytucji odczytuję jako komplement. Moim celem było napisanie tej ustawy zgodnie z nowoczesnymi zasadami legislacyjnymi, dlatego nie przez przypadek cztery regulujące szkolnictwo wyższe akty normatywne złączyliśmy w jeden. Przez to o połowę zmniejszyła się liczba jej zapisów, punktów i procedur. Nie chciałem zbyt głęboko ingerować w wolność uczelni. Oczywiście są też fragmenty bardziej szczegółowe, przejęte z dobrodziejstwem inwentarza, ale słusznie pan zauważył, że również wśród akademików istnieje obawa, czy będą oni umieli skorzystać z tej wolności.

Jak w „Braciach Karamazow” Dostojewskiego. Wolność to często niechciany dar.

Albo „Nieszczęsny dar wolności”, jak mawiał ks. Józef Tischner. Pamiętam, jak na samym początku dyskusji o ustawie rektor Uniwersytetu Warszawskiego przestrzegał całe środowisko, aby po przekazaniu większości rozstrzygnięć na poziom statutów uczelnie nie zaczęły wpisywać sobie tych wszystkich szczegółowych zapisów, na które słusznie narzekają w obecnej ustawie. Oczywiście może się tak zdarzyć, że niektóre placówki same sobie zwiążą ręce, ale jestem przekonany, że będą również takie, które tę wolność udźwigną, a przez to szybko wybiją się na czoło.

Przejdźmy teraz do perspektywy wykładowcy. Co zmieni się w jego pracy?

Zajęcia będą prowadzone w mniejszych grupach. To jest już zagwarantowane przez nowe algorytmy, które

■ wprowadziłem od początku roku 2017. Wykładowca będzie mógł – w porozumieniu z władzami uczelni – dużo swobodniej kształtować charakter swojej pracy. Jeżeli skoncentruje się na dydaktyce na najwyższym poziomie, będzie mógł zrezygnować z konieczności pisania habilitacji. Dydaktyka da mu ścieżkę awansu, zakończoną stanowiskiem profesora uczelnianego.

Czyli wreszcie nauczanie samo w sobie zostanie docenione, nie tylko pisanie na się odtwórczych prac naukowych i jeżdżenie po konferencyjnych tournée?

Zdecydowanie tak, chcemy promować ludzi dobrych w przekazywaniu wiedzy. Na Kongresie Nauki zapowiedziałem również ustanowienie grantów dydaktycznych. Natomiast jeśli ktoś inny będzie chciał w większym stopniu poświęcić się badaniom, również dajemy uczelniom elastyczność w kształtowaniu pensum. Łącznie z prawem przenoszenia wybitnych jednostek na etaty ściśle badawcze.

To teraz ci, dla których cały ten system został stworzony – studenci i doktoranci.

Być może najważniejsze zmiany w ustawie będą dotyczyły właśnie doktorantów, którzy nie będą już traktowani jak studenci, tylko jako najmłodszy badacz. Nie będą oni także uczęszczać na studia badawcze, ale zgрупujemy ich w szerokich, interdyscyplinarnych szkołach doktorskich. To wszystko zmierza do radykalnego podniesienia poziomu doktoratów, które na powrót muszą się stać elitarne. Aby ułatwić skupienie się na nauce, każdy, kto dostanie się do szkoły doktorskiej, otrzyma stypendium – przez pierwsze dwa lata minimum 110 proc. nieopodatkowanego najniższego wynagrodzenia krajowego. Po ostrej ocenie środowiskowej ci, którzy przejdą, otrzymają stypendia nie mniejsze niż 170 proc. najniższego wynagrodzenia. To są już kwoty, które pozwalają się swobodnie utrzymać.

Gdzieś na boku dyskusji o reformie często przewijał się również wątek słabych uczelni regionalnych. Swoistych „fabryk dyplomów”, które obniżają rangę magisterium. Nie jest tajemnicą, że Prawo i Sprawiedliwość boi się uderzenia w takie placówki, w miastach, w których znajduje się spora część elektoratu partii.

Jeśli chodzi o uczelnie niepubliczne, będą one istnieć albo zniknąć w zależności od potrzeb rynku. Natomiast w odniesie-

niu do uczelni publicznych zupełnie nie podzielam zdania tych, którzy w „Konstytucji dla nauki” widzą zagrożenie dla placówek regionalnych. Na kongresie w Krakowie rektor PWSZ w Krośnie powiedział w imieniu wszystkich rektorów tego szczebla akademickiego, że są oni zadowoleni z 80 proc. rozwiązań oraz potraktowania przez ministerstwo w sposób partnerski. Jeżeli gdzieś pojawiają się obawy, to w uniwersytetach mniejszych miast. Nie zostawimy ich jednak samym, przygotowaliśmy wiele propozycji rozwoju, np. konkursy na dofinansowania oraz wysokie granty badawcze. Stworzyliśmy też nową formę uczelni – uniwersytety federacyjne. To był jeden z postulatów tego środowiska – nie jesteśmy głusi na jego głos. Troska o dobre regionalne uczelnie wiąże się z realizowaną przez nasz rząd Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Bez „Konstytucji dla nauki” dalszy rozwój Polski nie będzie w ogóle możliwy. Wpadniemy ostatecznie w pułapkę średniego rozwoju i zmarnujemy nasz wielki potencjał.

Kończąc, tak jak zaczęliśmy, czyli polityką, muszę jeszcze o coś zapytać. Anna Maria Siarkowska oraz Małgorzata Janowska – dwie posłanki z koła poselskiego „Republikanie” – wchodzi do Zjednoczonej Prawicy, zakładając Partię Republikańską. Nie jest tajemnicą, że prowadził pan z nimi rozmowy transferowe. Czuje się pan ojcem tego sukcesu?

Nie chcę przypisywać sobie ojcostwa. Faktycznie namawiałem całą trójkę posłanek z tego koła, aby wstąpiły do klubu PiS, równocześnie, żebyśmy wspólnie – ja i moja partia – utworzyli nowe ugrupowanie. W środowisku republikańskim ujawniły się różnice zdań. Zdecydowana większość republikańców zadeklarowała chęć współpracy z Polską Razem, ale część, w tym dwie wspomniane posłanki, postanowiła utworzyć odrębną partię.

A co z trzecią posłanką, Magdaleną Błęską?

Z tego, co wiem, pani Błęska jest zainteresowana współpracą z moją partią.

Szykuje się zatem kolejny transfer do Zjednoczonej Prawicy?

Wolałbym, aby na ten temat wypowiedziała się sama zainteresowana, ale należała ona do grona założycieli Polski Razem. Później, nad czym ubolewałem, nasze drogi się rozeszły, dlatego cieszę się, że w tej chwili wracamy na wspólną ścieżkę.

Żeby nie było zbyt optymistycznie, na koniec łyzka dziegciu. Złośliwi twierdzą, że jeszcze kilka takich transferów poza Polską Razem i pana ugrupowanie nie będzie potrzebne. Usunie się to „ciało obce”.

Przez trzy lata od zawarcia porozumienia koalicyjnego wielokrotnie się różniliśmy z PiS, ale z obu stron była to bardzo lojalna współpraca. Jestem spokojny o jej ciąg dalszy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Najważniejsze zmiany, jakie w szkolnictwie wyższym wprowadza Ustawa 2.0, czyli „Konstytucja dla nauki”

1. dodatkowy 1 mld zł z budżetu na szkolnictwo wyższe;
2. wzmocnienie autonomii uczelni;
3. przywrócenie możliwości wymogu egzaminów wstępnych na studia;
4. swoboda w zakresie określania własnych struktur organizacyjnych;
5. zmiana klasyfikacji dyscyplin naukowych (na podstawie modelu OECD);
6. ujednolicenie trzech obecnych ustaw o szkolnictwie wyższym: o połowę mniej przepisów oraz rozporządzeń;
7. wydłużenie czasu studiów niestacjonarnych oraz zerwanie z minimami kadrowymi;
8. nowe zasady ewaluacji (oceniane będą już nie jednostki organizacyjne, ale dyscypliny w ramach konkretnej uczelni czy instytutu naukowego);
9. powiązanie uprawnień do nadawania doktoratów i habilitacji z kategoriami naukowymi przyznanymi danej jednostce;
10. zmiana modelu kształcenia doktorantów, likwidacja doktoranckich studiów niestacjonarnych;
11. rozpoczęcie procesu wyłaniania uczelni badawczych;
12. szerszy system stypendialny dla doktorantów;
13. zniesienie obowiązku habilitacji;
14. większe docenienie pracy dydaktycznej na uczelni, również w dziedzinie przyznawania grantów.

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PRZYŚLIJ KANDYDATURĘ
DO TYTUŁU STRAŻNIK PAMIĘCI 2017
NA ADRES: STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

**Na zgłoszenia
w kategorii TWÓRCA/INSTYTUCJA/MECENAS
czekamy tylko do 30 września!**

PATRONAT HONOROWY:



PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



eprasa.pl edycja 2017

Śmigłowce Mi-17 podczas manewrów „Dragon 2017” na poligonie w Drawsku Pomorskim FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ/AGENCJA GAZETA

Czy smok pożre niedźwiedzia?



Wojciech Wybranowski

Obce wojska wchodzą na tereny Polski. Odpieramy atak i ze wsparciem NATO zabezpieczamy strategiczne punkty – to jeden ze scenariuszy rozpoczynających się manewrów „Dragon 2017”

Niewielka wioska Szudziałowo na Podlasiu. Tuż obok granica z Białorusią. Poza zawodami lekkoatletycznymi czy lokalnymi imprezami kulturalnymi rzadko coś się tam dzieje. Tak było do początku września, kiedy niespodziewanie w centrum wsi swoje obozowisko rozbili

polscy żołnierze. Kilkanaście namiotów, wojskowe transportowce, kilkuset mundurowych (według niektórych źródeł nawet dwa tysiące), urządzenia łączności. I tajemnica, którą wojsko i przedstawiciele miejscowych władz utrzymują do dziś. – Sytuacja geopolityczna jest taka, a nie inna, ze względu na nią lepiej nie zajmować się tym tematem – mówił Tadeusz Tokarewicz, wójt Szudziałowa, w rozmowie z dziennikarzami lokalnej stacji Sokółka TV.

Oficjalnie wody w usta nabierają także przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej. „Szczegóły dotyczące zaangażowanych sił i środków, miejsce rozmieszczenia, nie będą podawane do publicznej wiadomości” – to jedyna odpowiedź, jaką resort przygotował dla dziennikarzy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że obecność polskich żołnierzy w kilku

pilnie strzeżonych „mobilnych bazach” na Podlasiu była związana z prowadzonymi na Białorusi od 14 do 20 września rosyjsko-białoruskimi manewrami „Zapad 2017”. – To naturalne, że gdy wojska innego państwa pojawiają się tak blisko polskiej granicy, podejmujemy pewne działania zabezpieczające i rozpoznawcze. Tyle w tym temacie możemy powiedzieć – ucina pytany przez „Do Rzeczy” wiceszef MON Michał Dworczyk.

Według nieoficjalnych informacji, do których udało nam się dotrzeć, w Szudziałowie pojawili się przede wszystkim żołnierze odpowiedzialni za łączność i nasłuch, m.in. z jednostki wojskowej w Grójcu, specjaliści od kryptologii i żołnierze rozpoznania. Jedno z naszych źródeł z kręgów dowództwa wojskowego mówi też o oddziale wyspecjalizowanym w zwalczaniu grup dywersyjnych. W gotowości „bojowej” mieli być też

trzymani specjaliści od zapobiegania atakom w cyberprzestrzeni.

To niejedyna obecność polskich wojsk na Podlasiu w trakcie zakończonych już rosyjskich manewrów „Zapad 2017”. Oprócz obozowiska w Szudziałowie na obrzeżach Ostrowa Nowego rozlokowano jednostki wojsk radiotechnicznych. A mieszkańcy



mówią, że gdy za wschodnią granicą „grzmiała działa”, na Podlasiu nocami widzieli przemieszczające się polskie transportery opancerzone i śmigłowce. Jeden z naszych informatorów, przedsiębiorca z okolic Białegostoku, twierdzi, że w lasach w okolicach Biebrzy widział żołnierzy „z natowskimi oznaczeniami”. – Bez komentarza. Proszę to zostawić – ucina Bartosz Kownacki, wiceminister MON.

Wysoki rangą oficer z kręgów zbliżonych do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego mówi „Do Rzeczy”, że Polska, podobnie jak pozostałe państwa NATO, nie tylko wykorzystała „wszelkie możliwe siły”, by jak najlepiej rozpoznać, co i w jaki sposób ćwiczyli rosyjscy żołnierze w trakcie „Zapad 2017”, lecz także poważnie potraktowała informacje, które wskazywały, że Rosja może wykorzystać manewry, by przetestować zabezpieczenie wschodniej flanki NATO.

– Jeśli chce się chronić przed wścikłym niedźwiedziem, który prędkiej czy później zaatakuję, to trzeba dobrze poznać jego zwyczaje, a później przetrącić mu łapy – opowiada nasz rozmówca. – Byliśmy w kilku innych punktach Podlasia, nie tylko w Szudziałowie. Zabezpieczano tereny, w których ewentualnie mogłoby dojść do jakichś prowokacji czy prób prowokacji, gdzie granica jest stosunkowo słabo zabezpieczona, więc mogłyby teoretycznie nastąpić próby przeniknięcia jakichś „zielonych ludzików”. A oprócz tego realizowano nasłuch, zabezpieczenie cyberprzestrzeni, rozpoznanie, kontrwywiad. W zasadzie standard w sytuacji, gdy rosyjskie wojska znajdują się tak blisko polskiej granicy.

WSTAJE POLSKI SMOK

W środku ubiegłego tygodnia, gdy Rosjanie i Białorusini oficjalnie zakończyli swoje manewry, ruszyły największe w tym roku manewry polskiej armii

„Dragon 2017”. Bierze w nich udział 17 tys. żołnierzy oraz ponad 3,5 tys. wojskowego sprzętu.

– Przećwiczone zostaną scenariusze, które udoskonalą współdziałanie wszystkich rodzajów polskich sił zbrojnych: marynarki wojennej, wojsk specjalnych, lądowych, powietrznych. Po raz pierwszy wezmą w nich udział również żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, którzy będą się szkolić w zabezpieczaniu lądowisk – mówi wiceszef MON Michał Dworczyk. W ćwiczeniach wezmą udział także specjaliści od wojny w cyberprzestrzeni – obrona polskiej sieci oraz elementy wojny informacyjnej będą istotną częścią manewrów.

Oprócz Polaków ćwiczyć będą też stacjonujący w Polsce żołnierze NATO, a także wojskowi z Bułgarii, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rumunii, Słowacji, USA, Wielkiej Brytanii i Włoch oraz Gruzji i Ukrainy, które członkami NATO nie są. Manewry prowadzone będą praktycznie na wszystkich poligonach w Polsce, m.in. w Drawsku Pomorskim, Orzyszu, Wędrzynie, Toruniu i Uście.

Jeden z głównych scenariuszy „Dragon 2017” zakłada, że Polska została zaatakowana przez jednego z naszych sąsiadów. Początek jest przewidywalny i uwzględniający realia wojny hybrydowej, w której wyspecjalizowała się Rosja – po ostrej kampanii informacyjnej na terenie Polski dochodzi do licznych aktów sabotażu i aktywności grup dywersyjnych, działalności „zielonych ludzików” towarzyszy też dezinformacja w sieci i mediach społecznościowych oraz destabilizacja działań władzy samorządowej i państwowej, a także wojna w cyberprzestrzeni. Wreszcie ruszają wojska nieprzyjaciela, przełamują opór na granicy i wchodzą na nasz obszar obfitujący w ważne dla polskiego bezpieczeństwa energetycznego surowce.

Manewry, które potrwać do 29 września, zakładają m.in. wyparcie wroga z terenów, likwidację ewentualnych grup dywersyjnych i zabezpieczenie strategicznych punktów.

Ćwiczenia „Dragon” realizowane są co dwa lata. Oficjalnie MON przekonuje, że to zaplanowany od dawna system symulacji wynikający z rozpoznawanych bieżących zagrożeń i zmieniającej się sytuacji geopolitycznej. Nieoficjalnie jednak wiadomo też, że w trakcie tegorocznego „Dragon” polscy żołnierze będą szkolić się w reagowaniu na te działania wojsk

rosyjskich, które udało się podejrzec nam i sojusznikom w trakcie „Zapad 2017”.

– Na pewno będą uwzględniać to, co już wiemy o zagrożeniach i problemach dla polskiego bezpieczeństwa – mówi nam wiceminister Kownacki.

ROSJANIE ZNÓW PROWOKOWALI

W prowadzonych przez Rosję i Białoruś manewrach „Zapad 2017” uczestniczyło – według oficjalnych rosyjskich źródeł – maksymalnie 13 tys. żołnierzy. A według informacji nieoficjalnych – ponad 100 tys. Wykorzystano najnowszy technologicznie sprzęt, m.in. samoloty bojowe Su-35S czy śmigłowce Ka-52. W trakcie manewrów rosyjsko-białoruskie wojska oprócz taktyk defensywnych – domniemanego ataku wojsk fikcyjnych „Wejsznorii, Besbarii i Lubenii” – pojawiły się też elementy ofensywy na tereny nieprzyjaciela. Chociaż ów wróg ukryty był pod kryptonimem, wiadomo, że chodziło o terytorium Polski.

– Wszystko to razem postrzegamy jako poważne przygotowanie do wielkiej wojny. Kiedy patrzymy na te ćwiczenia tak, jak je przedstawia Rosja, nie ma powodów do niepokoju. Kiedy jednak patrzymy na szerszy obraz, musimy się martwić, bo Rosja nie jest transparentna – ostrzegał gen. Petr Pavel, szef Komitetu Wojskowego NATO, w rozmowie z agencją AP.

Wiele wskazuje na to, że w trakcie manewrów „Zapad 2017” doszło do rosyjskiej prowokacji. Jak poinformował portal Defence24.pl, rosyjska armia w ramach ćwiczeń przeprowadziła strzelanie pociskiem manewrującym systemem Iskander-K o zasięgu co najmniej 700 km (a według niektórych ekspertów nawet do 2 tys. km). Byłoby to złamaniem układu INF zabraniającego rozwijania i wdrażania systemów rakiet balistycznych i manewrujących o zasięgu od 500 do 5,5 tys. km.

W czasie, gdy Rosjanie na Białorusi ćwiczyli walkę z NATO, Szwedzi trenowali odparcie ewentualnego rosyjskiego ataku. W pierwszej połowie września na Morzu Bałtyckim prowadzono największe od 20 lat szwedzkie manewry „Aurora 2017”, w których brały również udział wojska NATO. Ćwiczyło ok. 19 tys. szwedzkich żołnierzy oraz 1,5 tys. żołnierzy z USA, Norwegii, Litwy, Łotwy, Estonii i Francji, a jednym ze scenariuszy było odpieranie rosyjskiego ataku na szwedzką Gotlandię.

Poza samym przewodniczącym Nowoczesnej nikt już chyba nie wierzy w jego potencjał. Członkowie partii z coraz większym trudem ukrywają rozczarowanie, postulują usunięcie nazwiska Ryszarda Petru z oficjalnej nazwy partii i jeśli jeszcze nie zaczęli przechodzić do PO, to tylko dlatego, że Schetyna okazał się równie rozczarowujący. Trwają jednak skrywane przymiarki i narady mające na celu wyłonienie jakiegoś nowego projektu, łączącego – jak przyznała ciągnięta za język podczas telewizyjnego wywiadu Joanna Mucha – „młodych” z obu bliźniaczych formacji. Zanim cokolwiek z nich wyniknie (jeśli w ogóle), musi upłynąć dużo czasu. Ten czas, teoretycznie, jest szansą dla kontestowanego lidera, żeby odbudować w partii zaufanie do siebie i wiarę w sukces.

RYSIEK JAK TO RYSIEK

Jak wykorzystuje go Ryszard Petru? Jak zwykle. „Polityka nie polega na tym, żeby przeżyć muskuły, tylko żeby pogłamać obywateli tam, gdzie tego potrzebują” – oznajmił niedawno z sejmowej mównicy, przy okazji oskarżając PiS, że „sprzenierzył” pieniądze Polskiej Fundacji Narodowej. Oczywiście, przejęzyczenia i potknięcia zdarzają się każdemu – ale nie każdemu, jak Ryszardowi Petru, wyłącznie. „Sześciu króli”, „głowa psuje się od góry”, „kręcenie filiżanką w szklance bez cukru” i wiele, wiele innych absurdalnych wypowiedzi lidera Nowoczesnej uczyniło jego wiedzę i inteligencję ulubionym obiektem internetowych kpin w stopniu podobnym do tego, jak wizerunek Aleksandra Kwaśniewskiego określiły problemy z „filipińską chorobą”.

Jarosław Kaczyński pokazał, że można skutecznie zneutralizować wizerunek groźnego szwarczaka, Donald Tusk – że również polityka notorycznie mijającego się z prawdą. Nie ma jednak przykładu, żeby kiedykolwiek polityk poradził sobie z wizerunkiem śmiesznego gamonia. Przeciwnie, złamana kariera amerykańskiego wiceprezydenta Dana Quayle’a pokazała, że kilka drobnych lapsusów wystarczy do rozpętania ośmieszającej kampanii, której żaden spin doktor nie zdoła zaradzić. Jeśli ludzie raz polubią się z kogoś śmiać, to perswadowanie im tego jest równie beznaędziejne jak udowadnianie, że Szkoci nie są wcale bardziej skąpi od innych nacji.

Ryszardowi Petru na dodatek trafił się doradca od marketingu politycznego najgorszy z możliwych – taki, który po

Ryszard Wybrakowany



Rafał A. Ziemkiewicz

Minął efekt nowości, walka z Grzegorzem Schetyną okazała się porażką. To sprawia, że Ryszard Petru jest obciążeniem dla ludzi firmujących wraz z nim wspólny projekt



FOT. JERZY OUDK/FORUM, OPR. GRAF JAN

zakończeniu współpracy opowiada o niej w mediach, wyciągając na jaw wszystkie słabości, które miał tuszować. Dziennik „Polska The Times” zamieścił ostatnio obszerną, aż czterokolumnową rozmowę z Jakubem Bierzyńskim, PR-owcem Nowoczesnej (jak sam twierdzi: obecnym swego czasu przy kawiarnianym stoliku, przy którym Nowoczesną wymyślono). Trudno czytać ją inaczej niż jako próbę usprawiedliwiania się „właściciela dużego domu medialnego”, że wypuścił na polityczno-medialny rynek bąbel. Usprawiedliwia się, rzecz łatwa do przewidzenia, zrzucając całą winę na Petru. Mielśmy świetną strategię, rosło nam, ale gdy przyszło co do czego – czyli do grudniowego „ciamajdanu” – głupek wszystko rozwalił. Oczywiście, Bierzyński nie nazywa tak byłego pryncypała, ale dokładnie tyle z jego opowieści wynika. Przy czym były doradca nie skupia się nawet na nieszczęsnym wyjeździe na Madagę, za który Petru był najbardziej krytykowany i który rzeczywiście skutecznie ośmieszył patetyczną narrację „walki o wolne media” przez okupowanie sali sejmowej i zwoływanie „mas” do szturmowania parlamentu. W jego opowieści Petru jawi się jako człowiek niczego kompletnie nierozumiejący, który, upoiwszy się poklaskiem, zaczął bezmyślnie rzucać radykalne, zupełnie niemożliwe do zrealizowania zapowiedzi wbrew przyjętym ustaleniom. I to przez niego, jak z jędrnością zawodowego PR-owca tłumaczy Bierzyński, „utkwiliśmy w tym Sejmie jak szyszka w d... Ani wepchnąć, ani wyciągnąć”.

Były spin doktor Petru nie tylko opisuje go jako nieodpowiedzialnego łalusia, lecz także cały projekt Nowoczesnej sprowadza wyłącznie do, potocznie mówiąc, picu. Została ona stworzona tylko po to, żeby rozczarowani rządami PO nie zagłosowali na PiS i żeby Ryszard Petru mógł zostać premierem.

NÓŻ W PLECACH

Sprawić wrażenie, że jest się czymś nowym, wymyślić opowieść, której ludziom będzie się chciało słuchać, sprowokować Kaczyńskiego do użycia przemocy, mieć do pokazania krew, choćby tylko z rozbitego nosa – wyłącznie do tego sprowadza się polityka, o jakiej mówi Bierzyński. Po co ją w takim razie prowadzić? On sam właściwie niedwuznacznie mówi o interesach elit, tych najlepiej zarabiających, wygranych na transformacji, i o potrzebie obronienia przez nie stanu posiadania. Owszem, wyrzuca owym elitom, że przegrały

przez egoizm, ale bynajmniej nie przejawia w tym „wrażliwości społecznej”. Masy wyborców, zarabiających poniżej średniej krajowej, postrzega jak – mówiąc równie jędrnie, jak sam zwykł to czynić – stado bydła, które poszło do Kaczyńskiego, bo nikt o nie nie zadbał, i teraz trzeba znaleźć jakiś wabik, by wróciło tam, gdzie było kiedyś. Oczywiście, weźmy poprawkę, że cyniczne postrzeganie polityki przez człowieka od reklamy wynika z nawyku zawodowego, ale gdy Bierzyński wyjaśnia, po co Nowoczesna podejmowała takie czy inne działania, widać, że istotnie innego celu niż medialny pic w nich nie było.

Demolujący Nowoczesną, a zwłaszcza jej szefa, wywiad Bierzyńskiego wydaje się godny większego zainteresowania, niż mu okazano. Ludzie z tej branży nie zachowują się w taki sposób. PR-owiec, wychodzący z zaplecza partii i opowiadający o marności swego zleceniodawcy – toż to tak, jakby psychoanalityk czy seksuolog zaczął zabawiać widzów pikantnymi szcze-

te same osoby, które pojawiają się w wywiadach do tworzenia nowej, antypisowskiej partii płynącej z różnych stron, od Władysława Frasyniuka czy uczestniczki niedawnego Kongresu Kobiet, za to odradza np. Pawła Rabejka, uchodzącego za pewnego kandydata Nowoczesnej na prezydenta Warszawy. A niszczeniu Nowoczesnej towarzyszy próba – mniejsza z tym, na ile udana – wskazania przyczyn, dla których PO i Nowoczesna całkowicie zawiodły, i ustalenia, jaką trzeba zbudować narrację, aby odciągnąć wyborców od PiS. Czy to opinie jeszcze jednego chętnego do doradzania antypisowi, czy wytyczne osoby zaangażowanej w budowanie jakiejś „jeszcze nowocześniejszej nowoczesnej”, na razie nie sposób rozstrzygnąć.

SZTANDAR WYPROWADZIĆ

Jedno jest pewne – jeśli ktoś chciałby startować z nowym projektem politycznym, obliczonym na wybory 2019 r., to na pewno zrobi to właśnie kosztem Nowoczesnej i Ryszarda Petru. Grzegorz Schetyna jest równie niepopularny i nieporadny w komunikacji społecznej, ale ma oparcie w aparacie partii i rozporządza milionami z dotacji budżetowej, podczas gdy Petru ma tylko biura poselskie – dopóki ci posłowie go słuchają – i długi. W przeciwieństwie do swego rywala Ryszard Petru istnieje tylko dzięki mediom. Jeśli przestanie być do nich zapraszany, to zniknie, w najlepszym wypadku stanie się drugim Kazimierzem Marcinkiewiczem.

Po tym zresztą, jak Petru dał się złapać w pułapkę „totalnej opozycji” i podjął ze Schetyną rywalizację, kto będzie większym antypisem, nie bardzo wiadomo, komu i do czego właściwie może jeszcze być potrzebny. Urok nowości minął definitywnie, nie udało się przekonać nikogo o programowej odmienności od partii „żeby znowu było jak było”, co przesądza o tym, że elektorat antypisowski i tak weźmie ostatecznie PO, bo wyborcy z dwóch bytów podobnych zawsze wybierają silniejszy. Na przedstawienie alternatywnej wobec PiS wizji przyszłości już za późno, nawet gdyby taka istniała – a nic na to nie wskazuje. Odrzucając pustą retorykę, jedynym konkretnym programem Nowoczesnej na okoliczność postulowanego odsunięcia PiS od władzy był Ryszard Petru. I on właśnie okazał się nieporozumieniem. Nie pozostaje nic innego, jak tylko zwinąć projekt, zanim jego fiasko stanie się dla uczestników obciążeniem nie do udźwignięcia.

Ryszard Petru istnieje tylko dzięki mediom. Jeśli przestanie być do nich zapraszany, to w najlepszym wypadku stanie się drugim Kazimierzem Marcinkiewiczem

gółami z życia pacjenta, usłyszonymi na kozetce. Kto zwróci się do niego po czymś takim? Najwyraźniej „właściciel dużego domu mediowego” postanowił zająć się czymś innym. Skądinąd wiadomo, że po sukcesie manifestacji przeciwko reformie sądów wzywał wraz z innym właścicielem domu mediowego, Jakubem Benkem, oraz kilkoma innymi ludźmi „z branży” do stworzenia czegoś w rodzaju „społecznej” agencji reklamowej, która weźmie na siebie walkę z PiS, nieskutecznie prowadzoną przez partie polityczne. Po udzieleniu zaś wspomnianego wywiadu zaczął pojawiać się w tej samej gazecie jako autor antyrządowej publicystyki.

Można więc postawić hipotezę, że wbicie noża w plecy Ryszardowi Petru ma być świadomym pozbyciem się nieudanego produktu, by oczyścić miejsce pod jakiś nowy. Ośmieszając Petru, zarazem chwali Bierzyński jego podwładne: Lubnauer, Scheuring-Wielgus, Gasiuk-Pihowicz, czyli

MACIEJ PIECZYŃSKI: Inicjatywa prezydenta w sprawie reformy sądownictwa wzmocniła pozycję Andrzeja Dudy w obozie „dobrej zmiany”?

JAROSŁAW SELLIN: Nas, jako obóz „dobrej zmiany”, łączy świadomość konieczności głębokiej reformy wymiaru sprawiedliwości, uważanego przez większość Polaków wręcz za najsłabsze ogniwo władzy państwowej. Tę reformę obiecaliśmy naszym wyborcom zarówno podczas kampanii prezydenckiej, jak i parlamentarnej w 2015 r.

Czy wewnętrzny spór wokół reformy sądownictwa pomógł prezydentowi wybrać się na polityczną niepodległość?

Nie sądzę, by właściwe było wybijanie się na niepodległość, na niezależność od słusznych spraw. A słuszną sprawą jest właśnie reforma sprawiedliwości, która moim zdaniem została dobrze przygotowana przez rząd. Prezydent uznał, że ustawy mają pewne mankamenty, i postanowił zaproponować własną wizję. Ma do tego prawo. Z drugiej strony, tak na dobrą sprawę reforma wymiaru sprawiedliwości już ruszyła. Nie zapominajmy, że pan prezydent podpisał jedną z reformatorskich ustaw. I to tę – w moim przekonaniu – najważniejszą. Ponieważ to właśnie ustawa o sądach powszechnych organizuje tę część wymiaru sprawiedliwości, która w największym stopniu dotyczy zwykłych obywateli.

Dwie pozostałe jednak zawetował. Nieprzychylni PiS komentatorzy dostrzegli w tym próbę zawalenia o własną pozycję. Może „żołnierz dobrej zmiany” dzięki temu został jednym z jej „generałów”?

U polityków cenię poczucie służby wobec spraw, zadań, wobec szeroko rozumianego dobra publicznego, a nie koncentrowanie się na własnej pozycji i na własnym wizerunku. Proszę zwrócić uwagę, że Jarosław Kaczyński skupia się właśnie na realizacji konkretnych zadań, a nie na kwestiach ambicjonalnych czy wizerunkowych. I dzięki temu jest człowiekiem sukcesu w polityce. Osiągnął sukces niespotykany w historii III RP, zdobywając w wyborach parlamentarnych samodzielną większość, a wcześniej wskazując bardzo dobrego kandydata, który z poziomem ośmioprocentowej rozpoznawalności w ciągu pół roku został polskim prezydentem. Oczywiście również dzięki własnej pracowitości, wiarygodności i niezwykłemu talentom.



Z Jarosławem Sellinem, wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego rozmawia Maciej Pieczyński

PO i Nowoczesna to folklor polityczny

Te sukcesy były możliwe jednak także dlatego, że na pierwszej linii frontu widać było częściej Andrzeja Dudę niż Jarosława Kaczyńskiego.

Zwycięstwo Andrzeja Dudy na pewno ułatwiło nam sukces w wyborach parlamentarnych. Naprawdę to doceniam, w końcu byłem wiceszefem jego kampanii.

Sondaże PiS rosną. Może paradoksalnie spór o reformę wyszedł partii na dobre?

Wolałbym jednak, żeby tej różnicy zdań wewnątrz obozu władzy nie było, bo wówczas mogliśmy mieć temat reformy sądownictwa za sobą już w lipcu. A tak jesienią wciąż będzie gorąco wokół tej sprawy. Moim zdaniem niepotrzebnie. Natomiast działania PiS, rządu i pana prezydenta, niezależnie od pewnych różnic zdań, i tak w odbiorze społecznym postrzegane są dużo lepiej niż coraz bardziej groteskowe działania totalnej opozycji. Widać, że to w obozie dobrej zmiany Polacy dostrzegają więcej powagi, bo to my prowadzimy odpowiedzialną, konsekwentną, poważną



FOT. ANDRZEJ HULINKA/REPORTER

politykę, podczas gdy PO i Nowoczesna to obecnie folklor polityczny. Zamiast powagi – histeryczny język, skargi za granicę, dziwaczne manifestacje oraz oderwane od rzeczywistości hasła i wyłącznie negatywny program.

No właśnie prezydent to dla PiS o wiele bardziej przewidywalna i poważna opozycja niż opozycja totalna.

Pan namawia mnie do takiego podejścia, które jest mi obce. Nie jest najważniejsza kalkulacja, jak się pozycjonować, jak walczyć o wizerunek. Najważniejsza jest Polska, a wszystko inne powinno być temu podporządkowane. Nie partia jest najważniejsza, nie prezydent, nie rząd, tylko Polska. Powinniśmy się skupiać na tym, żeby była dobrze urządzona, żeby instytucje państwa służyły obywatelom, żeby obywatele byli z jej jakości zadowoleni. Wszystko inne to tylko instrumentarium.

Niebawem poznamy projekt ustawy o dekoncentracji mediów. Potwierdzi pan przecieki medialne, zgodnie z którymi procentowy udział kapitału zagranicznego w mediach zostanie ograniczony do 15–20 proc.?

Niczego nie mogę potwierdzić. Przygotowaliśmy kilka wariantów rozwiązań. Chcemy zmienić obecną sytuację, która jest absolutnie niedopuszczalna, gdy się porówna ją z innymi poważnymi

krajami europejskimi, w których pilnuje się pluralizmu na rynku mediów, również pluralizmu właścicielskiego, nie pozwala się na nadmierną koncentrację w obszarze środków masowego przekazu, które mają znaczenie nie tylko biznesowe, lecz także ideowe, światopoglądowe. Żadne państwo Unii Europejskiej, w której obowiązuje przeciwieństwo zasady wolnego przepływu kapitału, nie pozwoliłoby na to, by w ich mediach dominował kapitał obcy. Takiej dysproporcji nie ma ani w Niemczech, ani we Włoszech, ani we Francji. Nie widzę powodu, by taka sytuacja była traktowana jako normalna w Polsce.

Atakująca polski rząd „Gazeta Wyborcza” należy do polskiego kapitału, tymczasem należące do niemieckiego koncernu Polska Presse gazety regionalne raczej zajmują się sferą informacyjną niż propagandową... Czy z definicji media z obcym kapitałem szkodzą Polsce?

Nie będę tego tak oceniał. Ja tylko uważam, że z ustrojowego, systemowego punktu widzenia z jakichś powodów poważne państwa europejskie nie pozwalają na to, aby w jakimkolwiek segmencie mediów dominował kapitał obcy. Kapitał – wbrew wieloletnim tezom liberałów – ma narodowość. Obrona dominacji narodowego kapitału w mediach to zdrowa i normalna postawa i nie widzę powodu, dlaczego byśmy mieli w Polsce patrzeć na to inaczej.

Jako wiceminister kultury zdaje pan sobie sprawę z tego, jak ważna jest walka o poprawę wizerunku Polski na świecie. Nie szkoda panu, że pieniądze Polskiej Fundacji Narodowej poszły na finansowanie kampanii rządowej w kraju, gdzie i tak rząd ma ogromne poparcie?

Rząd i państwo mają prawo się bronić i przedstawiać prawdę na temat własnych zamierzeń w sytuacji, w której z różnych powodów dominuje narracja nieprawdziwa, w tym przypadku na temat reformy wymiaru sprawiedliwości. Jacek Saryusz-Wolski, jeden z najpoważniejszych i najbardziej doświadczonych polskich europosłów, twierdzi, że wszystkie ataki na Polskę, podejmowane w ciągu ostatnich dwóch lat przez jakiegokolwiek urzędnika europejskiego, były inicjowane przez przedstawicieli totalnej opozycji z Polski, którzy jeżdżą do Brukseli nie tylko po to, by kłamać na temat sytuacji w Polsce, lecz także by żądać interwencji. Mamy więc prawo się bronić i w wymiarze krajowym, i w wymiarze międzynarodowym. Niestety, mamy w kraju do czynienia z przeciwnikami, którzy nie chcą czy nie potrafią o proponowane przez nas zmiany spierać się z nami na polskim podwórku, jeżdżą na wyprzódki w każdej sprawie za granicę i żądają interwencji.

Wicepremier Gliński stwierdził na temat PFN: „Nie ma w tym nic złego, że obywatelska instytucja realizuje tego typu działania”. Z tego, co wiadomo, fundacja nie jest organizacją obywatelską, w jej zarządzie zasiadają działacze PiS.

Czy mam rozumieć, że działacz PiS może tworzyć obywatelskiej instytucji?

Chodzi o to, że to inicjatywa odgórna, partyjna, a nie oddolna.

Wiceprezes PFN Maciej Świrski ma ogromne doświadczenie w obywatelskich akcjach w obronie dobrego imienia Polski. Na podstawie tego doświadczenia uznał, że należy bronić wizerunku

kraju, opowiedzieć światu prawdę o założeniach naszej reformy, sprostować nieprawdziwe informacje o rzekomym łamaniu zasad praworządności.

Prezydent zawetował ustawę 24 lipca, dzień później powstała strona internetowa Sprawiedliwosci.pl, założona przez współpracowników pani premier, z którymi 18 sierpnia PFN podpisała umowę na kampanię billboardową. Nie jest to oddolna, spontaniczna akcja. Mówi się raczej o odgórnej partyjnej inicjatywie. Nawet jeśli kancelaria pani premier sama złożyła zawiadomienie do CBA w tej sprawie.

Gdybyśmy mieli do czynienia z normalnym sporem politycznym w Polsce, o naszą polską sprawę, jaką jest reforma polskiego wymiaru sprawiedliwości, bez łatania i żądania interwencji za granicą przez polityków polskiej totalnej opozycji, to ta akcja nie byłaby potrzebna.

Można w ciemno założyć, że ustawa o dekoncentracji mediów spotka się z równie emocjonalną reakcją totalnej opozycji co i reforma sądownictwa. Czy wówczas rząd znów będzie potrzebował wsparcia Polskiej Fundacji Narodowej?

Jeśli znów wybuchnie nieuzasadniona histeria, to na pewno zaistnieje potrzeba tłumaczenia światu, że nie robimy w tej sprawie niczego, czego by nie robiono w innych krajach UE. Jeżeli instytucje unijne uznają, że naruszamy tą ustawą jakieś reguły, to mam nadzieję, że taki sam zarzut zostanie sformułowany wobec Francji czy Niemiec.

Jest pan pełnomocnikiem rządu ds. obchodów 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Czy jest jakakolwiek szansa na godne wspólne świętowanie wszystkich opcji politycznych, skoro totalna opozycja nazywa Polskę „państwem PiS”, CBA i prokuraturę „pisowskimi instytucjami”, a sędziów Trybunału Konstytucyjnego „dublerami”? Może PO i Nowoczesna zorganizują własne obchody?

Jest nadzieja, że w jakiejś mierze uda nam się skupić różne środowiska polityczne we wspólnej radości z rocznicy wielkiego sukcesu naszych przodków. W skład komitetu honorowego obchodów, którego jestem sekretarzem, weszli jednak przedstawiciele opozycyjnych wobec PiS partii politycznych. Natomiast ci politycy, którzy Polskę nazywają „państwem PiS”, sami sobie wystawiają świadectwo, i na tym też politycznie przegrywają, bo taka retoryka jest niepoważna. To współczesne oszołomstwo.



Piotr Semka

Zasługi Szczecina dla polskości są mało znane. Może dlatego niektórym ludziom prawicy zdarzają się lekceważące wypowiedzi, na które to miasto nie zasługuje

Proszę pana, wbrew temu, co pan sobie teraz pewnie myśli, natychmiast oddałbym Szczecin Niemcom, bo Szczecin nie jest polskim miastem. Jak pan się przespaceruje po cmentarzu w Szczecinie, tam są same niemieckie groby. Milion niemieckich grobów. Szczecin trzeba z powrotem oddać Niemcom. Ale zapłaćcie kontrybucję za II wojnę światową – powiedział Wojciech Cejrowski w rozmowie z dziennikarzem niemieckiej stacji ARD. Te słowa popularnej na prawicy osobowości – raniące mieszkańców miasta – przypomniały o gorzkiej tradycji uznawania metropolii nad Odrą za kłopotliwy dodatek do Polski. Wielokrotnie próbowałem przekonywać szczecinian, że ich przeświadczenie o odwróceniu się Polski od ich miasta jest przesadą. Teraz, po słowach Wojciecha Cejrowskiego, przekonywanie szczecinian, że są przeczułeni – będzie znacznie trudniejsze.

Dlaczego warto reagować na lekceważące wypowiedzi na temat stolicy Pomorza Zachodniego? Zwłaszcza gdy padają z prawej strony?

NIEMOCHANE MIASTO

Opowieść o Szczecinie i jego zasługach dla polskości jest w reszcie kraju zbyt mało znana. Samo miasto nie miało nigdy siły jej wyłansować, a reszta kraju rzadko interesowała się tym, co się dzieje na jego zachodnim krańcu. Dla mieszkańców Warszawy, Krakowa czy nawet Gdańska lub Wrocławia przez długie lata Szczecin był miastem znanym z afer przemytniczych i łatwych pieniędzy zarabianych na styku z cudzoziemskimi marynarzami. Ten sensacyjny klimat wokół Szczecina i pobliskich nadmorskich kurortów umacniały w PRL kryminalne filmy. Choćby „Zbrodniarz i panna” czy „Brylanty pani Zuzy”. Po 1989 r. doszedł motyw Szczecina jako stolicy gangów – czy to w kinowej serii „Młode wilki”, czy w „Anatomii zła”, w której były komandos zostaje zabójcą na



Nasz

usługach szczecińskiej mafii. Jeśli dodamy do tego cały stos tandetnych kryminałów typu „Złota czasa księcia Bogusława”, których akcje umiejscawiano nad Odrą – to trudno dziwić się wizerunkowi Szczecina jako stolicy kryminalnego półświatka.

A prawda o patriotycznym nastawieniu szczecinian w epoce komunizmu – płynącym zazwyczaj nie od elit, ale od dołów społeczeństwa – nie miała szczęścia przebić się do świadomości Polaków. Kto miał zresztą o nią walczyć? Uniwersytetu miasto doczekało się dopiero w 1984 r., a tutejsze elity twórcze trzymane były przez PZPR wyjątkowo twardą ręką. Powojenna, ogromna praca „pionierów” odbudowujących miasto i pamięć o słowiańskim rodowodzie tej ziemi została zbanalizowana przez komunistyczną propagandę. A tytaniczna praca Kościoła katolickiego, który pomógł milionom przybyśzy z kresów i wszystkich stron poczuć się tutaj u siebie – nie znalazła pisarza, który by to opowiedział reszcie Polaków.

A przecież odbudowa z gruzów szczecińskich kościołów, rekonstrukcja Zamku Książąt Pomorskich czy odbudowanie od zera życia w potwornie zburzonym mieście było wynikiem pracy zwykłych Polaków, a nie wspaniałości ekipy Bieruta. Kto w Polsce wie, że po krótkim powojennym okresie wspierania Kościoła jako czynnika osławiania przybyśzy z nowymi

ziemiami w latach 50. i 60. komunistyczne władze postanowiły uczynić z ziem zachodnich poligon ateizacji Polaków. Niezliczone szykany wobec szczecińskich księży, włącznie z trwającą aż do początku lat 70. odmową władz na odbudowę zrujnowanej katedry, rzadko były zauważane w Polsce. We Wrocławiu dawno stała już katedra św. Jana Chrzciciela, a w Gdańsku zachwycała bazylika Mariacka, gdy w centrum Szczecina wciąż straszyły katedralne ruiny. Jedyne prymas Stefan Wyszyński, który często odwiedzał te ziemie, rozumiał i szanował skalę trudności, przed którymi stawał Szczecin i mieszkańcy Pomorza Zachodniego.

CICHE MĘSTWO

Pewne epizody z życia portowego miasta z naturalnych względów w czasach PRL musiały być owiane tajemnicą. Dopiero teraz historycy IPN odkrywają niezwykle ważną rolę Szczecina jako miasta na szlaku kurierów podziemia poakowskiego i WiN w latach 1945–1947. Miasta, które w odróżnieniu od Wrocławia czy Gdańska bardzo długo nie było pewne, czy z racji położenia za Odrą nie zostanie oddane przez Rosjan Niemcom. Starzy szczecinianie wspominają, że lęki te wygasły dopiero po wizycie i deklaracjach Nikity Chruszczowa w 1959 r. Gigantyczną pracę w wydobywaniu na światło dzienne skali antykomunistycznego



Młode pokolenie szczecinian odczuwa niezwykle silną więź z przeszłością Polaków.

Na zdjęciu: tegoroczny Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych

FOT. Cezary Aszkiewicz/AGENCJA GAZETA

Szczecin

oporu na tych ziemiach wykonuje od 17 lat szczeciński IPN. To on wyciągnął na jaw dwa duże wybuchy społeczne: zajścia uliczne z kwietnia 1951 r. – jedyne duże zamieszki w Polsce okresu stalinowskiego – i demonstracje z grudnia 1956 r., gdy tłum zdobył konsulat ZSRR w Szczecinie. Zająć, o których pamięć ośmieliła do wybuchu rewolty w Grudniu 1970.

Dopiero dzięki IPN wiemy, jak wiele było w Szczecinie w latach 50. organizacji konspiracji młodzieżowej. I jak duża była skala akcji pomocy w mieście nad Odrą dla powstańców Węgier w 1956 r. Jak silne było kresowe dziedzictwo, skoro powstała w 1955 r. Pogoń Szczecin podjęła tradycję klubu Pogoń Lwów, po którym przejęła bordowo-granatowe barwy klubowe.

Zbyt mało znana jest działalność odważnych księży posługujących w grodzie Gryfa, takich jak ks. Władysław Siwek, który na czele całej grupy jezuitów został przez UB usunięty z miasta, czy ojciec Hubert Czuma, który w latach 70. jako duszpasterz akademicki został ojcem duchowym szczecińskiej opozycji antykomunistycznej.

Skoro ta tradycja wchodzi do świadomości zbiorowej szczecinian dopiero teraz, cóż mówić o reszcie kraju?

DZIWACZNA PERWERSJA

W latach 90. część młodych elit Szczecina zachłysnęła się niemiecką przeszłością

miasta, co zbiegło się z kpinami z uznanej za jednoznaczną z PRL-em tradycji „słowiańskich ziem”.

Gorzej, że pojawił się wtedy ton ostentacji i urazu wobec Warszawy za półkolonialne wykorzystywanie miasta tuż po wojnie. Wypominano rozbiórkę na cegły dla stolicy teatru miejskiego i wywiezienie do Warszawy rzeźby kondotiera Colleonego. Na te stare pretensje nałożyły się rozmaite nowe urazy – o brak troski o dobre połączenie komunikacyjne z resztą kraju, o zgodę na agonię stoczni i rozkład szczecińskich linii żeglugowych. Niekiedy na zasadzie „my też odwróćmy się plecami” – wzywano, by wyciągnąć wnioski z arogancji Warszawy i korzystać z komunikacyjnej i cywilizacyjnej bliskości Niemiec.

Od ok. 2005 r. – nie bez znaczącej roli abp. Andrzeja Dzięgi, młodzieży patriotycznej i PiS – zaczęło się odbudowywanie silnej polskiej tożsamości Szczecina. Zainteresowano się miejscami zbrodni UB, ruszyły marsze wyklętych, a Pomorski Uniwersytet Medyczny pomagał w stworzeniu Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów. Arcybiskup Andrzej Dzięga przywrócił pamięć o polskich więźniarkach obozu w Ravensbrück (leżącego 100 km od Szczecina).

Tej zmianie nastrojów nie towarzyszy zanik dziwacznej maniery na prawicy lekczenia dla Szczecina. Nienowej tradycji.

W swoim „Abecadle” Stefan Kisielewski przywołuje anegdotę, w której Stanisław „Cat” Mackiewicz mówi do niego: „Dla mnie Polska właściwa to Wilno, Mińsk, Kijów, Ryga”. Kisielewski na to: „A był pan kiedyś w Szczecinie?”. Mackiewicz odpowiada: „Ja do Niemiec nie jeżdżę”. Ile razy słyszałem ludzi – utożsamiających się ponoć z prawicą – opowiadających tę historię jak najlepszy dowcip. Zawsze zastanawiałem się w takich wypadkach, skąd bierze się taka perwersyjna dezynwoltura?

Rozumiałbym to jeszcze w wypadku starszego pokolenia. Pełni wspomnień po utraconych ojczyznach, po lwowskim renesansie czy wileńskim baroku – niektórzy kresowiaci po wojnie patrzyli na takie miasta jak Wrocław czy Szczecin jak na miejsca obce, miasta odrzucające ich poczucie gustu obcą, germańską architekturą epoki kajzerowskiej. Jednak te miasta zasiedlili Polacy, którzy stworzyli tu polskie życie. I to polskie groby dominują dziś w Szczecinie, a nie niemieckie.

Od rozważań, czy można słowiańskich książąt pomorskich uznać za przodków Polaków, ważniejszy jest fakt, że na Pomorzu Zachodnim po ponad 70 latach żyje już trzecie pokolenie tam urodzone. I dla tych ludzi Szczecin z pomnikiem Czynu Polaków w formie trzech orłów na Jasnych Błoniach jest tak samo polski jak Wawel czy Jasna Góra.

W grudniu 2013 r. Mariusz Max Kolonko – inna popularna po prawej stronie postać – zdobył rozgłos, twierdząc, że „rewizja granic jest możliwa”. Oczywiście rewizja granic wschodnich, dla której punktem odniesienia miała być historia muru berlińskiego. Kolonko mówi, że przecież nie tak dawno nie do pomyślenia było, że mur zniknie. A jednak... – Nie wybuchła wojna światowa, nie padł ani jeden strzał. [...] Tak jak ziemie niemieckie podzielił mur, tak zniknąć może nasza linia Curzona. Dlaczego III RP miałaby uznać granice z Jałty, narzucone nam przez Stalina? – pytał Max Kolonko. Mentor zza wielkiej wody sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, że igranie z wizją odrzucenia granic z Jałty i Poczdamu może wywołać hasło odebrania Polsce ziem zachodnich. Nie zainteresował go los Pomorza czy Śląska.

Teraz jeszcze dalej posunięty ton nonszalancki usłyszeliśmy od innej gwiazdy z prawej strony. Szczecińska kłątwa trwa. Jako człowiekowi prawicy jest mi za to wstyd. Metropolia nad Odrą i Pomorze Zachodnie po prostu nie zasłużyły na takie traktowanie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Lektura wywiadu, którego udzielił ostatnio tygodnikowi „Do Rzeczy” prof. Stanisław Żerko na temat reperacji wojennych od Niemiec, w jeszcze większym stopniu uzmysłowiła mi złożoność prawną tego problemu. Nie wiem, czy jest tak, jak mówi Żerko, że obecna skuteczność akcji reparacyjnej będzie zależeć od „poruszania się w granicach wytyczonych w roku 1945” i zawiłości, w jakie popadł w tej sprawie rząd Polski Ludowej, poczynając od gabinetu Edwarda Osóbki-Morawskiego (nie wiedzieć dlaczego, nazywany zresztą przez profesora „polskim rządem podporządkowanym komunistom”!). Nie jestem pewien, zwłaszcza że gdybyśmy chcieli przyjąć konsekwentnie tę legalistyczną wykładnię (obecna Polska jest następcą prawnym PRL), musimy pamiętać, iż oświadczenie rządu PRL z 23 sierpnia 1953 r. o „zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski” zyskało szybko również swoją rangę międzynarodową, która z czynionych od lat rozważań na temat „wadliwości prawnej” tamtego stanowiska czyni faktycznie dyskusję stricte akademicką, a więc czysto teoretyczną.

ODSZKODOWANIA CZY REPARACJE

Mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że tak zasadnicze kwestie jak intencje i decyzje zwycięskich mocarstw podjęte w Poczdamie (ustalono, że suma reparacji niemieckich wyniesie 20 mld dol. amerykańskich, z czego 10 mld otrzyma ZSRS), patronat sowiecki nad kwestią niemieckich reparacji, obliczenie strat i wysokość ewentualnych reparacji czy wreszcie kluczowe oświadczenie rządu PRL o „zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski”, dzieliły nawet ludzi komunistycznego obozu władzy. Świadczy o tym nieznanany najpewniej dokument z 1971 r., który osiem lat później wylądował w teczce tzw. spraw różnych ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

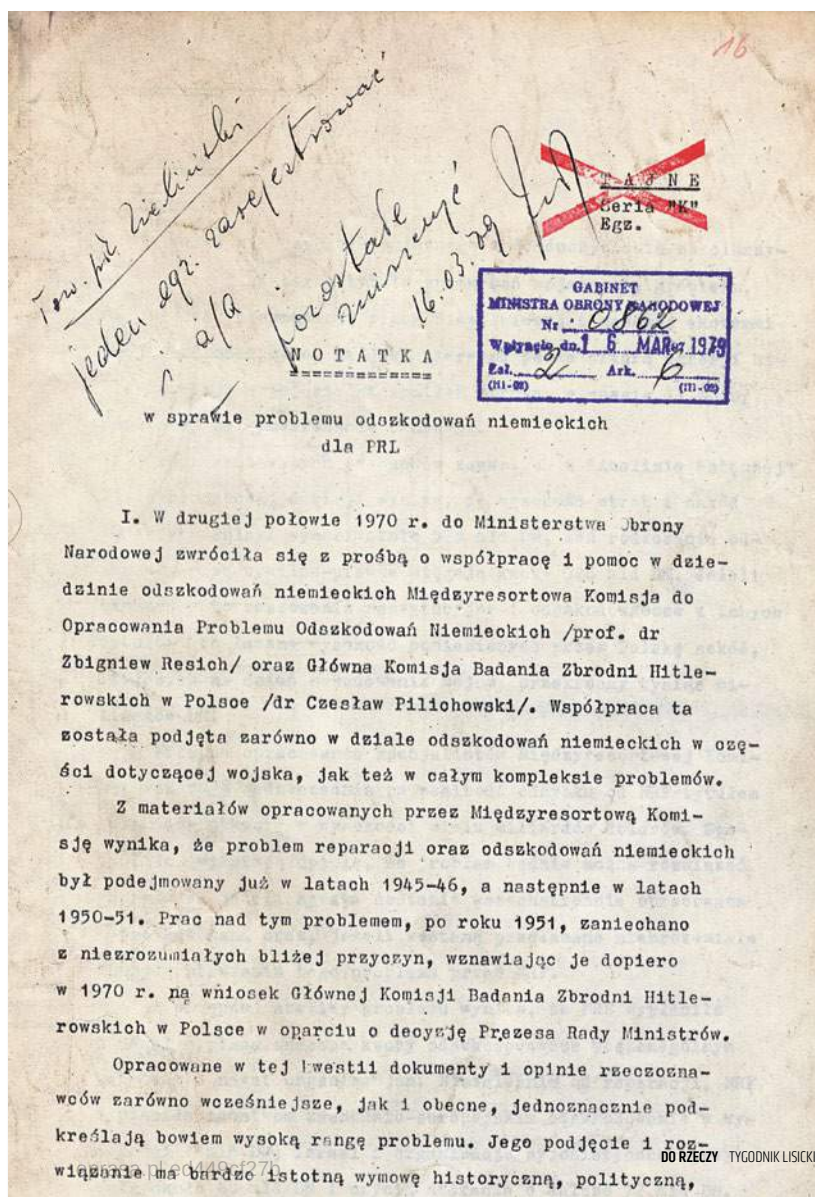
Wszystko zaczęło się od znanej historykom „Pilnej notatki” z 21 czerwca 1971 r. sygnowanej przez ministra spraw zagranicznych PRL Stefana Jędrzychowskiego. Była ona komentarzem, faktycznie zaś polemiką, z „Informacją wstępną” w sprawie odszkodowań i reparacji przygotowaną 24 maja

Reparacyjne kontrowersje



Sławomir Cenckiewicz

Już sami komuniści nie byli zgodni w sprawie niemieckich reparacji. Niektórzy wskazywali, że PRL popełnia w tej sprawie wiele błędów i zaniechań



- 2 -

Polska nie uzyskała należnego zadośćuczynienia za olbrzymie straty i szkody z tytułu zniszczeń wojennych, grabieży, deportacji, przymusowej pracy niewolniczej i masowej eksterminacji ludności mimo, że jako pierwsza padła ofiarą agresji hitlerowskiej, a jej wielki wysiłek zbrojny w czasie II Wojny Światowej był powszechnie uznawany.

Z prezentowanych szacunków zawartych w "Analizie Wstępnej" Międzyresortowej Komisji wynika, że wysokość strat i szkód wojennych Polski wynosi około 575 mld DM, zaś roszczenia odszkodowawcze cywilno-prawne sięgają kwoty 326 mld DM. Jeżeli włączyć w to roszczenia restytucyjne i odszkodowawcze z innych tytułów, to łączna wysokość poniesionych przez Polskę szkód, liczonych na dzień zakończenia wojny, przekroczy tysiąc miliardów DM.

Wstępne opracowania specjalistów Międzyresortowej Komisji wskazują jednocześnie na realność odzysku od NRF tytułem odszkodowań kwoty w wysokości wielu miliardów dolarów. Specjaliści wyrażają opinię, że problem będzie można rozwiązać pomyślnie, jeżeli sprawa zostanie wszechstronnie opracowana i przygotowana oraz, jeżeli zostaną przełamane niezrozumiałe opory w stawianiu tego problemu przed NRF.

Z wstępnej analizy problemu wynika, że NRF wypłaciła i nadal wypłaca znaczne kwoty odszkodowawcze poszczególnym państwom a nawet organizacjom. Niezależnie od reparacji, NRF wypłaciła państwom zachodnio-europejskim odszkodowania w wysokości 1 mld DM; Izrael i organizacje syjonistyczne otrzymały około 40 mld DM i czynią starania o dalsze 72 mld DM.

1971 r. przez Komisję do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich. Stanowisko komisji piętnowało zarówno nieprecyzyjność określenia „Niemcy” (bez rozróżnienia na Niemiecką Republikę Federalną i Niemiecką Republikę Demokratyczną), jak i inne nieścisłości językowo-pojęciowe wspomnianego już oświadczenia rządu PRL z 23 sierpnia 1953 r. Chodziło o użycie w polskiej wersji językowej pojęcia „odszkodowania” zamiast „reparacje”, zaś w wersji niemieckiej – „reparationen”, co jeszcze bardziej komplikowało i wciąż kompli-

kuje problem, gdyż są to pojęcia opisujące zupełnie inne zagadnienia oraz typy roszczeń.

Konkluzja komisji była niejednoznaczna. Z jednej strony interpretowała ona rezygnację z „odszkodowań” zadeklarowaną w 1953 r. jako zastosowaną w praktyce jedynie wobec NRD (gdyż mocarstwa zachodnie nie zaakceptowały propozycji ZSRS z 15 sierpnia 1953 r. o całkowitym zwolnieniu Niemiec z obowiązku reparacji wojennych), z drugiej natomiast uznawała, że „sprawa reparacji wojennych należnych Polsce

od NRF, została zakończona”, chociaż „co najmniej nie wszystkie sprawy reparacji zostały dla Polski załatwione”.

PILNA NOTATKA

Szef dyplomacji Stefan Jędrzychowski, chociaż formalnie nie kwestionował sensu zgłoszenia wobec zachodnich Niemiec roszczeń reparacyjnych, to polemizując ze stanowiskiem Komisji do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich, podkreślał w „Pilnej notatce” z 21 czerwca 1971 r., że w czasie rokowań traktatowych z RFN delegacja polska „potwierdziła”

ot. nr 0-300/DPT/71

ODPIS

GABINET MON
Zal. nr 0862 wch. Nr 1
z dnia 16 MAR 1979

Warszawa, dn. 21. 06. 71 r.

PILNA NOTATKA
=====

Nawiązując do Informacji wstępnej Komisji do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich rozesełanej z polecenia Tow. Premiera Jaroszewicza w dniu 1 czerwca 1971 r. L.dz. KS/012/638/71 - i uważając iż roszczenia wobec NRF należy zgłosić - przedstawiam następujące propozycje:

1. Termin zgłoszenia roszczeń

Z uwagi na to, że roszczeń w stosunku do NRF dotychczas nie zgłaszaliśmy - należy wybrać taki moment ich wniesienia, który dałby się logicznie, politycznie i prawnie uzasadnić zarówno wobec NRF jak i wobec naszego społeczeństwa. Nastąpić to powinno po wejściu w życie Układu z dnia 7 grudnia 1970 r. o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Byłoby to bowiem konsekwencją naszego stanowiska, że Układ ten stworzył trwałe podstawy normalizacji i że konsekwencją jego, zgodnie z art. III jest podjęcie przez oba państwa dalszych kroków zmierzających do „pełnej normalizacji i wszechstronnego rozwoju swych wzajemnych stosunków”.

Zgłoszenie roszczeń w terminie wcześniejszym mogłoby mieć także niekorzystne reperkusje odnośnie ratyfikacji Układu przez stronę zachodnio-niemiecką dając oręż przeciwnikom normalizacji, a także wywołać nieprzychylnie reakcje w innych grupach społeczeństwa tego kraju.

■ stanowisko z 1953 r. Podkreślał, że jedynie sprawa indywidualnych roszczeń ofiar eksperymentów medycznych („króliczków”) traktowana jest odrębnie.

Jędrzychowski dodał ponadto, że oba państwa niemieckie są „sukcesorami” Rzeszy Niemieckiej, czyli w domyśle III Rzeszy (sic!), a więc w perspektywie czasu może pojawić się kwestia podzielenia się odpowiedzialnością reparacyjną (obawiał się także roszczeń państw zachodnich wobec NRD), zaś samo podniesienie kwestii reparacji w tym czasie mogłoby mieć „niekorzystny wpływ” na „proces ratyfikacji przez NRF układu z dnia 7 grudnia 1970 r.”. Poza tym – twierdził szef MSZ – całą dyskusję powinno się rozpocząć od „ogólnej akcji gromadzenia dokumentacji indywidualnej” bez „publicznego rozgłosu”.

Widać zatem, że Stefan Jędrzychowski w zasadzie nie ukrywał, iż traktuje kwestię reparacji za nierealną i szkodliwą, aczkolwiek możliwą do wykorzystania jedynie jako instrument nacisku na władze niemieckie, gdyby w relacjach NRF-PRL pojawiły się jakieś problemy.

POLEMIKA

Stanowisko MSZ spotkało się z ostrą reakcją części towarzyszy. Protestowało kierownictwo Komisji do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich – prof. Zbigniew Resich (jednocześnie Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego) i prof. Czesław Pilichowski (dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce). Wydaje się, że to właśnie oni przygotowali „Notatkę w sprawie problemu odszkodowań niemieckich dla PRL”, która później trafiła do MON. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale wydaje się, że dokument ten prawdopodobnie nie jest szerzej znany historykom (jeśli w ogóle). W każdym razie nie został opublikowany w fundamentalnym tomie dokumentów poświęconych problemowi reparacji i odszkodowań w stosunkach polsko-niemieckich, przygotowanym w 2004 r. przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych.

Autorzy 16-stronicowego opracowania (nieopatrzono datą i jakimkolwiek nazwiskiem) ubolewali, że w sytuacji, kiedy inne kraje socjalistyczne prowadzą rokowania reparacyjne z NRF (Węgry, Czechosłowacja i Jugosławia), „jedynie Polska, mimo iż istnieje szansa odzyskania pewnych kwot odszkodowawczych, nadal zwleka z podjęciem problemu”. Przypominali, że „w świetle nieuzasadnionego i bezprecedensowego zrzeczenia

się wobec NRF roszczeń reparacyjnych, problem jest wprawdzie trudny, ale nie jest nierozwiązalny”, dodając, iż „wysokość strat i szkód wojennych Polski wynosi 575 mld DM [marek niemieckich], zaś roszczenia odszkodowawcze cywilnoprawne sięgają kwoty 326 mld DM”. Czytamy dalej, że „jeżeli włączyć w to roszczenia restytucyjne i odszkodowawcze z innych tytułów, to łączna wysokość poniesionych przez Polskę szkód, liczonych na dzień zakończenia wojny, przekroczy tysiąc miliardów DM”.

AWANTURA

Autorzy „Notatki w sprawie problemu odszkodowań niemieckich dla PRL” nie kryli swojej irytacji, czym dzielili się z kierownictwem PZPR, rządu i poszczególnych resortów. Oskarżyli MSZ o ignorancję, brak precyzji, wytwarzanie atmosfery nierozwiązalności problemu reparacji, afirmację stanowiska rządu z 1953 r., przerzucanie sprawy na roszczenia indywidualne bez wniknięcia w przepisy prawa niemieckiego ograniczające de facto możliwości egzekucyjne ofiar III Rzeszy, odwlekanie działania bez podania horyzontu czasowego, bierność i defensywność, ustawianie NRD w roli sukcesora III Rzeszy, niedostrzeganie problemu utraty kwot, które „za śmierć 3 mln obywateli polskich przechwycił i przechwytyje nadal (planowane do 2000 r.) Izrael i Międzynarodowa Organizacja Żydów”, a nawet porzucenie tej kwestii podczas negocjacji traktatowych!

Domagali się wyjaśnienia, dlaczego MSZ uchyla się od przyjęcia konstruktywnego stanowiska Międzyresortowej Komisji [Komisji do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich], która wniosko-

wała, aby: opracować konstrukcję prawną umożliwiającą przynajmniej częściowe wycofanie się z niekorzystnego dla nas stanowiska, uściślić pojęcia „reparacji” i „odszkodowań” zgodnie ze stanowiskiem specjalistów, a przynajmniej wykorzystać możliwości kryjące się na styku między ściśle rozumianymi pojęciami „reparacji” a „odszkodowania”. [...] Jeśliby kwestia była jednoznacznie rozumiana, Brandt i Scheel nie nalegaliby w ciągu 1970 r. na potwierdzenie oświadczenia Rządu PRL z 1953 r.”.

Krytycy Jędrzychowskiego i MSZ żądali od partii i rządu wypracowania „generalnych zasad prawnych i kryteriów działania” dyplomacji PRL na płaszczyźnie międzynarodowej i wobec Niemiec. „Jeżeli sprawa – czytamy – tak ważna dla kraju i jego społeczeństwa nie ma być ostatecznie pogrzebana, [to] powinny znaleźć się konstruktywne propozycje jej rozwiązania”, które proponować miała jedynie międzyresortowa Komisja do Opracowania Problemu Odszkodowań Niemieckich.

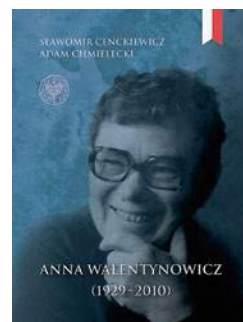
Niemal w rocznicę podpisania traktatu pomiędzy PRL a RFN stanowisko ministra spraw zagranicznych stracił Stefan Jędrzychowski. Nie uruchomiło to wcale procesu postawienia od nowa kwestii reparacji wojennych. Problem ten pozostaje nierozwiązany aż do teraz, chociaż studiując dokumenty i analizując spory, jakie na temat reparacji prowadzili między sobą komuniści, można mieć wątpliwości, czy sprawa kiedykolwiek znajdzie satysfakcjonujący finał. Jednak mimo odrzucenia PRL należy pochylić się nad konstrukcjami prawnymi i argumentacją, które wówczas przywoływano.

Niech historia będzie wreszcie nauczycielką życia. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dzień poświęcony pamięci Anny Solidarność

26 września 2017 r. o godz. 11 w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie, odbędzie się uroczyste przekazanie pamiątek po Annie Walentynowicz przez jej syna – Janusza Walentynowicza. Uroczystości towarzyszyć będzie projekcja filmu Jędrzeja Lipskiego i Piotra Mielecha „Doceniałam każdy przeżyty dzień”.

Z kolei o godz. 18 w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia”, przy ul. Marszałkowskiej 21/25, odbędzie się promocja albumu „Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929–2010)” z udziałem Janusza Walentynowicza, prezesa IPN dr. Jarosława Szarka oraz autorów albumu – dr. hab. Sławomira Cenckiewicza i Adama Chmieleckiego. Spotkanie poprowadzi Adam Hlebowicz, wicedyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN. Wiersz „Pani Cogito” pamięci Anny Walentynowicz, poległej 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku, wyrecytuje autor – Wojciech Wencel.



Rodzice kontra Norwegia



Agnieszka Niewińska

Już nawet norweskie rodziny uciekają przed urzędem ds. dzieci – Barnevernet. Proszą o azyl w Polsce



FOT. FOTOLIA

Zło wcielone”, „złodzieje dzieci” – takie hasła wyskakują, gdy w internetowej wyszukiwarce wpisze się nazwę norweskiego urzędu do spraw dzieci: Barnevernet (BV). Instytucja ta nie ma dobrej prasy. Przeciwnie organizowane są protesty zarówno w Oslo, jak i przed norweskimi ambasadami w wielu stolicach Europy. I choć BV ma szerokie możliwości pomocy rodzinom (m.in. oferuje pomoc psychologiczną, szkolenia, dodatkowe zajęcia), to sieje postrach jako służba, która odbiera dzieci. Zwłaszcza wśród imigrantów, choć urząd w równej mierze zabiera rodzinom także norweskie dzieci.

DZIECKO NIE DO POZNANIA

Obcokrajowcy mieszkający w Norwegii nagłaśniają sprawy odebrania im dzieci. Głośno jest zwłaszcza o tych, w których BV popełnił straszliwe błędy. W pomoc im angażują się nie tylko konsulaty, parlamentarzyści ich krajów i ministrowie. Jeśli jednak dziecko zostało zabrane przez Barnevernet, to jego powrót do rodziny jest bardzo

trudny. Z najświeższych danych jakie przekazał nam Urząd ds. Dzieci, Młodzieży oraz Rodziny – Bufdir (w jego strukturach jest BV) na koniec 2015 r. w Norwegii mieszkało 22,2 tys. dzieci polskiego pochodzenia. To największa grupa dzieci obcego pochodzenia w Norwegii. 67 polskich dzieci przebywało w norweskiej opiece zastępczej. Część z nich od kilku lat. – To daje średnią troje dzieci na 1000 w wieku 0–17 lat i jest ona znacząco niższa niż w przypadku dzieci norweskiego pochodzenia, która wynosi 7,8 dziecka na 1000 – tłumaczy Anders Henriksen z Urzędu ds. Dzieci, Młodzieży oraz Rodziny. Dodaje, że dzieci mniejszości narodowych nie są traktowane inaczej niż dzieci norweskie.

Główną sądową batalię rodzice toczą w Norwegii, ale prawne działania zaczynają podejmować też w Polsce. – Prowadzimy sprawę rodziny, której udało się już odzyskać dziecko, ale chce wnieść pozew przeciwko BV ze względu na traumę, jakiej dziecko doznało, gdy było w rodzinie zastępczej. Dziewięcioletni chłopiec, który wrócił do domu, był nie do poznania, bał

się nawet wychodzić na ulicę w obawie przed pracownikami urzędu ds. dzieci. W rodzinie zastępczej łamane były jego prawa wynikające z Konwencji praw dziecka – do korzystania z własnej kultury, praktykowania własnej religii. Zabraniano mu modlitwy – mówi mec. Jerzy Kwaśniewski, adwokat, wiceprezes Instytutu Ordo Iuris.

Inna sprawa, którą prowadzi mecenas, ma związek z konwencją haską ratyfikowaną przez Norwegię w 2016 r. W imigranckich środowiskach wywołało to entuzjazm. „Koniec z norweskimi rodzinami zastępczymi” – pisały polskie portale w Norwegii, informując, że teraz Norwegowie będą szukać krewnych, którzy mogliby odgrywać rolę rodziny zastępczej dla dziecka, zamiast wysyłać je do obcych ludzi. Nic jednak nie wskazuje na to, by coś w praktyce BV się zmieniło. – Sprawa, którą prowadzimy, dotyczy matki, której dziecko po odebraniu znalazło się w norweskiej rodzinie zastępczej, mimo że kobieta złożyła wniosek, by to jej brata mieszkającego w Polsce ustanowić rodziną zastępczą dla dziecka – mówi

► **mec. Kwaśniewski.** Sprawa jest prece-densowa i pilnie śledzić będą ją ci, którzy mieli do czynienia z BV.

Do Ordo Iuris zaczęli się jednak zgłaszać nie tylko Polacy, lecz także Norwegowie uciekający przed BV. Instytut już wystąpił o azyl w Polsce dla młodej matki Silje Garmo i jej córki. BV odebrało Garmo jedno dziecko po tym, gdy ktoś zawiadomił służby, że niby nadużywa leków przeciwbólowych. Kiedy kobieta urodziła drugie dziecko, chcąc uniknąć zabrania go, zgodziła się na pobyt w ośrodku BV. Ostatecznie w obawie przed urzędem uciekła do Polski. – Wielokrotnie była poddawana badaniom, które miały potwierdzić nadużywanie leków. Niczego nie wykazały, mamy potwierdzające to dokumenty – mówi mec. Kwaśniewski. – Przygotowujemy następne wnioski o azyl. Te rodziny są w stanie zawieszenia, czekają na ostateczną decyzję norweskiego sądu w sprawie odebrania im dzieci, ale nie mają zaufania do norweskiego państwa – tłumaczy adwokat. I dodaje, że w przypadku polskich obywateli, którzy w obawie przed działaniami norweskiego urzędu ds. dzieci schronią się w Polsce, sprawa jest w zasadzie zakończona. W przypadku Norwegów wygląda to inaczej. – Barnevernet podejmuje kolejne decyzje w ich sprawie, może wszcząć postępowanie karne – mówi mec. Kwaśniewski. Stąd pomysł, by zwracając się o azyl, zapewnić im bezpieczeństwo. – Są ku temu przesłanki. W Norwegii zagrożone są ich bezpieczeństwo oraz gwarantowane europejską Konwencją praw człowieka prawo do poszanowania życia rodzinnego. Europejski Trybunał Praw Człowieka przyjął do rozpatrzenia aż dziewięć spraw przeciw Norwegii dotyczących odbierania dzieci przez BV. Rząd norweski zdaje sobie sprawę z sytuacji, przyznał to w rządowym raporcie z 2016 r., wyraził gotowość do przywrócenia ładu, ale nic się w tej sprawie nie zmieniło.

BETONOWA CELA

O ile w Polsce zabranie dziecka rodzinie jest rozwiązaniem ostatecznym, o tyle w Norwegii w razie nawet najdrobniejszych podejrzeń można je zabrać z domu w trybie natychmiastowym. Dopiero potem urząd zaczyna wyjaśniać sprawę. Historie tych, których odebrano dzieci, są bardzo podobne.

Zaczyna się od zawiadomienia (nawet anonimowego) służb o tym, że w domu panuje przemoc, nadużywany jest alkohol, dziecko jest zaniedbane. Albo personel

szkolny zaczyna interesować się malcem, którego wypytuje o sytuację w domu, prosi o zachowanie rozmów w tajemnicy. Służby nierzadko zabierają dzieci od razu ze szkoły. – Zignorowaliśmy sygnał alarmowy. Dwa dni przed odebraniem nam dziecka przyszło ono do domu i żartowało, że pójdzie do rodziny zastępczej, a my do więzienia – opowiada nam Jan, ojciec dziecka, które przed rokiem zabrano do rodziny zastępczej. Dzisiaj wie, że na długo przed jego zabraniem w szkole z dzieckiem prowadzono rozmowy o sytuacji w domu. – Nigdy nie przypuszczałem, że może się nami zainteresować BV – dodaje Jan. W Norwegii mieszka od blisko 20 lat. – Wychowaliśmy tu starsze, dorosłe już dzieci. Nigdy nie mieliśmy problemów, dzieci

nas 40 godzin. Bez żadnych zarzutów, bez rozmowy z konsulem. Miałem wrażenie, że chcą nas sprowokować do agresywnego zachowania. W celi grała denerwująca muzyka, całą noc świeciło ostre światło – opowiada mężczyzna.

Ich dziecko trafiło na dwugodzinne przesłuchanie. – Widzieliśmy nagrania z tego przesłuchania. Było bardzo brutalne, pytania sugerowały odpowiedzi. Dziesięcioletnie dziecko, które urodziło się w Norwegii i które tu spędziło całe swoje życie, pytano, czy woli być w Norwegii czy w Polsce. Obiecywano, że jeśli powie, iż tata je bił, to będzie mogło zostać w Norwegii – opowiada ojciec.

Dzięki pomocy konsulatu i adwokatów dziecko udało się odzyskać. – Zarzucali



Protest przeciwko działaniom Barnevernet w Oslo w 2016 r. FOT. NTB SCANPIX/REUTERS/FORUM

kończyły szkoły z doskonałymi wynikami, noty z języka norweskiego miały nawet lepsze niż Norwegowie – opowiada. Kiedy w szkołach pojawiali się polscy rodzice, Jan pomagał jako tłumacz. – Sam mówiłem im, że jeśli opiekują się dzieckiem, dbają o jego potrzeby, nie stosują przemocy, to nic im nie grozi. Dzisiaj bym już tego nie powiedział, bo wiem, że BV może zainteresować się dzieckiem z błahych powodów, takich jak choćby ćwiczenie z dzieckiem kaligrafii w domu czy danie mu do szkoły kanapki z czekoladą – mówi.

Tamtego dnia Jan odwiózł dziecko do szkoły. Dwie godziny później jego żona została zabrana z pracy przez policję, a on wezwany na posterunek. – Zamknęli nas w betonowych celach bez okien z gumowym materacem na podłodze. Trzymali

nam przemoc i nadużywanie alkoholu. To zresztą najczęstsze oskarżenia pod adresem Polaków – mówi Jan. Zanim mógł zmienić adwokata na rekomendowanego przez polski konsulat, działał w tajemnicy przed prawnikami z Barnevernet: zbierał relacje świadków, dokumenty. – Wiele osób nas zna, często organizowałem wycieczki i biwaki dla przyjaciół naszych dzieci – w lesie, nad jeziorami. Chętnie z nami wyjeżdżali. Czy któryś z rodziców powierzyłby nam swoje dziecko, gdybyśmy stosowali przemoc albo nadużywali alkoholu? – pyta. – BV nie miał żadnych dowodów, niczego nam nie udowodnił – dodaje.

Powrót dziecka do domu nie oznacza jednak końca kontaktów z BV. Trzeba się liczyć z tym, że jest się pod obserwacją, z niezapowiedzianymi kontrolami. Rodzice

drzą, że BV sięgnie po osławiony art. 4.12 i na stałe umieści dziecko w opiece zastępczej. – Nasze dziecko nie mogło dojść do siebie. Chowalo się pod łóżkiem, w szafach. Mówiło, że BV wszystko słyszy – opowiada ojciec. Po kilku tygodniach rodzina postanowiła się rozdzielić. Ojciec z najmłodszym dzieckiem wrócili do Polski. – Do dziś nie doszło do siebie, minął rok, a ciągle myślę o tym, jak ukarać BV za to, co je spotkało – opisuje rodzic.

KROCIOWE ZYSKI

Katarzyna o swoją sześciolatkę wciąż walczy. W Norwegii jest od 12 lat, przyjechała jeszcze na studiach. Nauczyła się języka, ułożyła sobie życie, znalazła pracę. Jest po rozwodzie, córkę wychowywała sama. W dniu, w którym rozmawiamy, mija pięć miesięcy od zabrania jej dziecka. – Stres mnie wyniszcza, w ciągu tych kilku miesięcy schudłam 12 kg. Muszę się jednak trzymać, sprawiać wrażenie silnej. Przed BV nie można okazać słabości, to działałoby na moją niekorzyść – mówi. Przed gminną komisją przegrała sprawę. BV wyciągnął jej problemy depresyjne sprzed czterech lat, obarczył winą za nadpobudliwość córki. – Tymczasem jest diagnozowana pod kątem ADHD, stąd ta nadpobudliwość – mówi Katarzyna. Teraz czeka na rozprawę w sądzie.

Pracownicy BV razem z policją pojawili się w jej domu w środku nocy, dziewczynkę wyciągnęli z łóżka. Powodem było zawiadomienie, że jest zaniedbywana. Wiarygodności doniesienia urzędnicy nie sprawdzili, zanim przyszli po dziecko. – Zawsze wydawało mi się, że tam, gdzie BV zabiera dzieci, jest jakieś drugie dno – przemoc, molestowanie. Nie sądziłam, że mnie może to spotkać. Mam dobrą, odpowiedzialną pracę. Dziecku niczego nie brakowało – opowiada matka. Jej córka trafiła do rodziny zastępczej na mało zaludnionej wyspie. – Jest zupełnie odizolowana od świata, bez rówieśników, języka polskiego, kultury i religii, w której była wychowywana. Mogę ją widywać raz na dwa miesiące przez cztery godziny. Przestaje mówić po polsku. Ostatnio powiedziała mi, że jest Norweżką, a rodzice zastępczy każą jej do siebie mówić „mamo” i „tato”. Była możliwość, by trafiła do rodziny w naszym mieście, do ludzi, których znam. Nie musiałaby zmieniać szkoły, środowiska. Jestem jednak przekonana, że BV właśnie o to chodzi, żeby odizolować dziecko. Wtedy argumentuje, że wywiązała się więź z rodzicem zastępczym i jej zerwanie będzie ze szkodą dla

dziecka. Relacja z rodzicem biologicznym nie jest uważana za najważniejszą.

Jan po doświadczeniach z Barnevernet jest zdania, że praca nad tym, aby dziecko straciło więź z rodzicami i nie chciało wrócić do domu, to jeden z celów rodziny zastępczej. – Dzieci umieszczone w tzw. rodzinach interwencyjnych nie chodzą do szkoły, są przekupywane prezentami, zezwala się im na rzeczy, na które rodzice nigdy by nie pozwolili. Gdy zalegalizowano tutaj związki homoseksualne, odbieranie dzieci się nasiliło – uważa. Jego zdaniem odbiera się zwłaszcza dzieci w wieku do 11 lat, bo 12-latek ma już prawo do decydowania o sobie i własnego adwokata. Dodaje, że proces odebrania dzieci zaczyna się nawet kilka miesięcy przed wkroczeniem BV, a urząd wybiera rodziny spokojne, mające już ułożone życie zawodowe, stabilną sytuację mieszkaniową, tak by dzieci nie stwarzały problemów w ewentualnej rodzinie zastępczej.

Na forach internetowych nie brakuje podobnych opinii, a także spekulacji, jakoby Norwegowie upodabali sobie słowiańskie dzieci. W 2011 r. konsul ambasady RP w Oslo Anna Warchoł norweski urząd ds. dzieci nazwała „organizacją działającą jak Hitlerjugend”. Powiedziała, że „Norwegowie ze względu na niż demograficzny chcą wszelkimi metodami uzupełniać braki. Urzędnicy wydają negatywne opinie o rodzinie, a potem w świetle prawa porywają dzieci”. Po tej wypowiedzi została odwołana ze stanowiska. – Oficjalnie nikt tego nie powie, ale w prywatnych rozmowach takie opinie wygłaszają zarówno urzędnicy, jak i prawnicy występujący w sprawach dotyczących odbierania dzieci – mówi mec. Kwaśniewski. Jego zdaniem większe znaczenie przy umieszczaniu dzieci w rodzinach zastępczych ma to, że za norweskim systemem opieki nad dziećmi stoją ogromne pieniądze.

Norweski tabloid „Verdens Gang” opublikował całą serię artykułów o tym, jak można się wzbogacić na norweskim systemie opieki nad dziećmi. Według „Verdens Gang” w ubiegłym roku prywatny sektor obsługujący ten rynek zanotował przychód w wysokości 3,2 mld koron (ok. 1,5 mld zł). Gazeta opisywała też historię nauczyciela Rune’a Haugana, który został milionerem po tym, jak założył firmę z branży opieki nad dziećmi. Według gazety w ciągu ostatnich czterech lat zarobiła ona na czysto 33 mln koron (ok. 15 mln zł).

Ci, którzy zdecydują się na bycie rodziną zastępczą, mogą liczyć na płacę

w wysokości blisko 500 tys. koron brutto rocznie (ok. 220 tys. zł), dodatkowo co miesiąc otrzymują ok. 5 tys. koron (niemal 2,3 tys. zł) zwolnionych od podatku na pokrycie wydatków związanych z utrzymaniem dziecka i kolejne 7,9 tys. koron zasiłku rodzinnego (3,6 tys. zł). – Zdarzają się przypadki, kiedy rodzic zastępczy jest jednocześnie pracownikiem BV. Wszczyna postępowania o odbieranie dzieci, które są kierowane do rodzin zastępczych innych pracowników urzędu – mówi mec. Kwaśniewski.

NIE TYLKO KLAPS

Polski konsulat w Norwegii przestrzega na swojej stronie Polaków, by przyjeżdżając do kraju fiordów, zainteresowali się nie tylko rynkiem pracy i świadczeniami socjalnymi, lecz także regulacjami dotyczącymi opieki nad dziećmi.

– Widzimy, że obcokrajowcy mieszkający w Norwegii mają problem ze zrozumieniem systemu ochrony dzieci w Norwegii – informuje Andres Henriksen – Trudne może być np. zrozumienie tego, że publiczna instytucja może ingerować w prywatne życie rodziny i przejąć opiekę nad dzieckiem. W Norwegii prawo zabrania kar cielesnych, ale także przemocy psychologicznej. Osoby, które narażają na nie dzieci, ryzykują karę więzienia.

– Przyjęto tam model wychowania, w którym dziecko w sposób swobodny doświadcza świata – mówi mec. Kwaśniewski. – Rodzic nie może wywierać na nie presji, stawiać wymagań. To podejście diametralnie różni się od tego, co w Polsce nazywamy wychowaniem – dodaje.

Anders Henriksen zaznacza, że choć każdy ma prawo do poszanowania życia rodzinnego zgodnie z art. 8 Europejskiej Konwencji Praw człowieka, to nie jest ono absolutne. Powołuje się na art. 8 pkt 2, który stanowi, że ingerencja władzy publicznej jest możliwa m.in. w „przypadkach przewidzianych przez ustawę i koniecznych w demokratycznym społeczeństwie z uwagi na bezpieczeństwo państwowe, bezpieczeństwo publiczne lub dobrobyt gospodarczy kraju, ochronę porządku i zapobieganie przestępstwom, ochronę zdrowia i moralności lub ochronę praw i wolności osób”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione na ich prośbę.



Tomasz P. Terlikowski

Polska, i to trzeba powiedzieć zupełnie wprost, wskazuje nowe metody działań ewangelizacyjnych. Nie robią tego jednak kapłani, ale zaangażowani świeccy

Katolicy otwarci, a także pewna część malkontentów z innych środowisk, od pokoleń narzekają, że Polska nie wskazuje nowych trendów teologicznych, że nasza ewangelizacja i nasze duszpasterstwo nie zmieniają się oraz nie odpowiadają na wyzwania współczesności, a nasza pobożność przybrała formy z przeszłości i już się nie zmienia. Tego typu opinie mogą jednak formułować wyłącznie ludzie zamknięci w wieżach z kości słoniowej, z których nie widać ogromnych zmian, jakie zachodzą w Kościele ostatnich kilku lat, i ci, którzy nie uczestniczą w gigantycznej, oddolnej duszpasterskiej oraz ewangelizacyjnej rewolucji. I niezależnie od tego, czy uznamy ją za przejaw pentekostalizacji katolicyzmu czy będziemy ją postrzegać jako charyzmatyczne przebudzenie, musimy się zgodzić, że na trwałe zmieniła już ona polski Kościół. I żadne oświadczenia Episkopatu, próby utemperowania części wiernych czy duchownych – liderów tego ruchu – już tego nie zmienią. A wiele wskazuje na to, że ta polska rewolucja duszpastersko-ewangelizacyjna będzie eksportowana.

NAJWIEKSZE WYDARZENIE DUSZPASTERSTWA W POLSCE

Gdy jakieś dwa lata temu dwóch świeckich rzuciło pomysł, by dokonać prześlągnięcia za grzechy aborcji i komunizmu w Polsce, tylko nielicznym wydawało się, że to się może udać. Do realizacji tego pomysłu trzeba było przecież przekonać nie tylko niekoniecznie chętny do świeckich inicjatyw i coraz bardziej ostrożny wobec zaangażowania świeckich episkopat, potem namówić jeszcze kapłanów, siostry i świeckich, by ruszyli się z domów i przyjechali w jedno miejsce, a wszystko to w roku, gdy cały impet organizacyjny szedł w przygotowanie Światowych Dni Młodzieży i wizyty papieża Franciszka w Polsce.

A jednak udało się. Od 150 do 200 tys. ludzi przyjechało na Jasną Górę, gdzie nie tylko modliło się, trwało na adoracji Najświętszego Sakramentu, lecz także prosiło o wybaczenie grzechów Polaków. „Błagamy, Ojczy, wybaczyć nam, odrzucenie Ciebie jako Jedyne Boga i Stwórcę świata i ludzi, niewierność przyrzeczeniom chrztu św. i Ślubom Jasnogórskim, grzechy świętokradztwa, a szczególnie przyjmowania Komunii św. w stanie grzechu śmiertelnego [...] zbrodnie wobec nienarodzonych dzieci, grzech niewinnej przelanej krwi, [...] grzechy i zbrodnie komunizmu, wszelkiej akceptacji i współpracy z tym systemem skierowanym głównie do obalenia wiary w Boga i Jego Królestwa na ziemi [...] grzechy odrzucenia wobec przykazań Boga i nauki Kościoła; grzechy kolaboracji i zdrady Narodu; grzechy braku miłości do Ojczyzny i występowania przeciw własnej wspólnoty narodowej; grzechy nienawiści do innych narodów” – brzmiało wtedy na Jasnej Górze. I nie ma co ukrywać, że te słowa zostały (w to wierzymy) wysłuchane przez Boga, ale też usłyszane i przemyślane przez wielu Polaków.

O „wielkim egzorcyzmie” (tak został on nazwany przez media, choć w isto-

z inicjatywy kilku osób świeckich coś się w Polsce, w polskim Kościele, ale także w katolickim samopostreganiu laikatu zmieniło. I nic już tego nie zmienia, bo okazało się, że ten rodzaj ewangelizacyjnych, duszpasterskich akcji jest Polakom zwyczajnie bliski.

A najlepszym tego dowodem jest to, że rok później wokół polskich granic odbędzie się kolejna wielka akcja ewangelizacyjna, będąca – nie ma co ukrywać – kontynuacją tamtej. Mowa o „Różańcu do Granic”, czyli wielkiej akcji modlitwowej, która ponownie mobilizuje setki tysięcy polskich katolików. Tak jak poprzednio jest to akcja oddolna, organizują ją świeccy, a jej celem jest ożywienie tego, co w polskiej religijności, polskim katolicyzmie najlepsze i najbardziej trwałe; tego, na czym odbudował naszą kościelną tożsamość kard. Stefan Wyszyński, czyli maryjności.

ZWYCIĘSTWO PRZYJDZIE PRZEZ MARYJĘ

Dobrze ponad pół wieku temu, gdy komuniści przejmowali władzę nad Polską, kard. August Hlond mówił, że zwycięstwo jeśli przyjdzie, to przyjdzie przez Maryję. Słowa te podjęli po nim kard. Stefan Wyszyński i św. Jan

Różańcowa krucjata

cie nim nie był) dyskutowano szeroko w wielu parafiach, wspólnotach i domach. Odsłuchiowano go miliony razy na YouTube, a także przesyłano sobie w plikach. Jednym słowem – Polska się zatrzęsa. I nie zmienia tego późniejsze próby dyskredytowania organizatorów czy kapłanów, którzy uczestniczyli w tym przedsięwzięciu, oskarżanie ich o dostrzeganie wszędzie szatana czy sugerowanie, że w istocie pentekostalizują oni chrześcijaństwo. Tam, na Jasnej Górze,

Paweł II, a teraz do nich właśnie odwołują się polscy świeccy. Ich zdaniem we współczesnym, pełnym zagrożeń świecie trzeba wrócić do Matki Bożej i wytrwałej modlitwy różańcowej. Tylko ona może uratować Polskę przed postępującą laicyzacją (coraz mniej polskiej młodzieży praktykuje regularnie, a jeszcze mniej żyje zgodnie z zasadami moralnymi Kościoła), tylko ona może uratować rodzinę, która jest przez rozwody niszczona, emigrację, pogoń

za pieniądzem czy życie na kocią łapę. I wreszcie tylko modlitwa może uchronić Polskę przed wielkim zagrożeniem, jakim jest radykalna zmiana społeczna i demograficzna, jaką chcą nam zafundować instytucje unijne, przysyłając nam tysiące imigrantów.

Jednak, wbrew sugestiom wielu katolickich komentatorów, polski katolicyzm nigdy nie był i w tym przypadku także nie jest wsobny. Dlatego w trakcie „Różańca do Granic” Polacy będą się modlić także za całą Europę, za to, by udało się jej powrócić do korzeni, do wiary, do Kościoła. Sytuacja może wydawać się beznadziejna, laicyzacja nie do odwrócenia, ale w takich sytuacjach katolicy (nie tylko polscy, lecz także wszyscy, czego przykładem jest modlitwa przed bitwą pod Lepanto czy Wiedniem) zawsze zwracali się do Matki Bożej. I właśnie do tego wzywają organizatorzy akcji, proponując, by otoczyć Polskę modlitwą różańcową, tak by Maryja chroniła ją, ale także by modlitwę prowadzić w intencji nawrócenia Europy, jej przemiany, powrotu do Boga. Nie jest to przy tym modlitwa przeciwko komuś, bo nawet jeśli początkowo wspomniano o tym, że modlitwa będzie dotyczyć także obrony przed islamizacją, to warto przypomnieć,

**Polacy będą się modlić
za całą Europę,
za to, by udało się jej
powrócić do korzeni,
do wiary, do Kościoła**

że dla katolików najlepszą obroną jest ewangelizacja, w istocie obrona oznacza tu modlitwę o nawrócenie muzułmanów i przyjęcie przez nich wiary w Jezusa Chrystusa.

POLACY W GRAGNANO

Polakom, w tym także polskim katolikom, często zarzuca się akcyjność. Nasza pobożność, tak jak nasza pomoc charytatywna, ma być skupiona na jednorazowych wydarzeniach, i to często bardzo specyficznie polskich, niemogących zmieniać świata. Wydaje się jednak, że współczesne polskie przebudzenie religijne wcale takie nie jest. Najlepszym przykładem są wydarzenia z Gragnano z połowy września. W tym nieodległym

od Neapolu mieście, europejskiej stolicy makaronów, Polacy wraz z Włochami zorganizowali wielką procesję z nową figurą św. Charbela, z mszą świętą, błogosławieństwem. Uczestniczyło w niej nie tylko 200 Polaków (z całej naszej ojczyzny), lecz także kilka tysięcy Włochów, w tym arcybiskup diecezji Sorrento Francesco Alfano. Miasto było zablokowane, ale nikomu to nie przeszkadzało. – Polacy umieją się modlić – mówili ludzie. A arcybiskup dziękował ks. Jarosławowi Cieleckiemu za to, że udało się tam mocno ożywić neapolitańską pobożność. Figura, poświęcona w czasie uroczystości, zostanie na razie w Gragnano, ale w przyszłości będzie krążyć między Polską a Włochami, a także innymi krajami Europy, by budzić żywą pobożność, kult św. Charbela i zaangażowanie głównie świeckich.

Między uroczystościami charbeliańskimi a „Różańcem do Granic” nie ma oczywiście powiązań organizacyjnych, choć często w jednym i drugim uczestniczą ci sami ludzie, jednocy je jednak ten sam duch, to samo zaangażowanie, ten sam rodzaj pobożności. Pobożności, która jest znakiem żywotności polskiego katolicyzmu, a także jego uniwersalizmu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RT, P101A



Katarzyna Pinkosz

Nie będzie żył albo będzie żył jak roślina – takie diagnozy słyszą często bliscy osób, które po wypadkach zapadły w śpiączkę. Z beznadziejnego stanu można jednak wrócić do życia

Mariusz Wachowicz, dziennikarz PAP, dwa lata temu po posiedzeniu sejmowej Komisji Zdrowia zdecydował się pojeździć wieczorem na rowerze. Nie wiadomo, co się wydarzyło: w nocy znaleziono go nieprzytomnego na ścieżce rowerowej w pobliżu mostu Marii Skłodowskiej-Curie. Urazy przeczą temu, że przewrócił się sam – głowę miał rozbity po lewej stronie, kości połamane po prawej. Na rowerze nie było widać nawet śladu zadrapania. Ktoś go potrafił? Przypadkiem? Umyślnie? Policji nie udało się tego ustalić.

Życie uratowała Mariuszowi przypadkowa osoba, która zadzwoniła po pogotowie. Pierwsze diagnozy brzmiały: „Nie przeżyje”. Kiedy okazało się, że jednak przeżył, kolejne diagnozy też nie były optymistyczne: całe życie pozostanie „rośliną”, nie będzie w stanie chodzić, mówić, nawiązać logicznego kontaktu. Delikatne znaki, które dawał, czemu dziwili się nawet lekarze, pokazywały jednak, że jest świadomy tego, co się wokół dzieje.

Wbrew diagnozom Mariusz żyje, nawiązuje logiczny kontakt, zaczyna mówić. Właśnie wchodzi na rynek jego książka: „5 pór roku w kuchni. Smak na życie”. To cud czy determinacja: jego, rodziny, lekarzy, rehabilitantów?

OLSZTYŃSKA NADZIEJA

Nie ma statystyk, które mówią, jak wiele osób rocznie w Polsce zapada w śpiączkę. Wypadek, uraz, zakrztuszenie, udar mózgu, powikłania po zabiegu – przyczyn śpiączki może być wiele. Kilka sekund potrafi zmienić życie o 180 stopni. Większość osób „wybudza się” na oddziałach intensywnej terapii lub, niestety, tam umiera. Część jednak ani nie umiera, ani nie wraca do pełni życia.

Kiedyś uważano, że nadal są w śpiączce, dziś medycyna potrafi



FOT. ARCHIWUM RODZINNE MARIUSZA WACHOWICZA

Piąta pora roku

odróżnić stan wegetatywny od stanu minimalnej świadomości czy zespołu zamknięcia. O ile osoba w stanie wegetatywnym w zasadzie żyje w innym świecie, o tyle w stanie minimalnej świadomości może być przytomna, ale nie potrafi się z nami skontaktować. Z kolei w zespole zamknięcia jest w pełni świadoma tego, co się dzieje wokół, ale nie jest w stanie dać o tym znać. Osoba pozornie może wyglądać tak samo, jednak o ile ze stanu wegetatywnego w zasadzie nie ma powrotu, o tyle w zespole zamknięcia trzeba znaleźć sposób komunikacji, a stan minimalnej świadomości może się zmienić w stan świadomości pełnej.

W stanie minimalnej świadomości jest Ola, córka Ewy Błaszczuk. Aktorka walczy o nią od 17 lat, a „przy okazji” stwarza system opieki w Polsce nad osobami w śpiączce, którego wcześniej nie było. W stanie minimalnej świadomości jest też 15 innych osób, u których w ubiegłym roku przeprowadzono innowacyjne operacje wszczepienia stymulatorów poprawiających przepływ krwi przez mózg – pierwsze z nich odbyły się wraz z prof. Isao Moritą, który przyjechał na zaproszenie fundacji Ewy Błaszczuk do Olsztyna. – Według danych przedstawianych przez Japończyków poprawę stanu zdrowia uzyskuje się u 60–70 proc. osób, choć trzeba na nią czekać nawet kilkanaście miesięcy – mówi prof. Wojciech Maksymowicz, szef Kliniki Neurochirurgii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Pierwszą operowaną była córka Ewy Błaszczuk. W drugiej grupie osób, którym wszczepiono stymulatory w lipcu ubiegłego roku, znalazł się Mariusz Wachowicz. Z jego operacją prof. Maksymowicz wiązał duże nadzieje m.in. dlatego, że przed wypadkiem Mariusz był niesłuchanie aktywny: znał biegle kilka języków, oprócz pracy w PAP pasjonował się roślinami (był doktorem ogrodnictwa, opracowywał m.in. hasła do encyklopedii z dziedziny botaniki), fotografią, gotowaniem (prowadził kulinarny blog), malował kwiaty, pejzaże. Plastyczny mózg ma większe szanse na odbudowanie zniszczonych komórek nerwowych.

Na 16 wszczepień stymulatorów wyraziła zgodę Komisja Bioetyczna Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Były to pierwsze tego typu operacje wykonane w Europie, a drugie na świecie.

Pieniądze zebrała fundacja Akogo?. Nie były finansowane przez NFZ. – Gdy będziemy mieć pozytywną ocenę efektów wszczepienia stymulatorów, chcemy wystąpić do Agencji Oceny Technologii Medycznych, żeby stworzyć procedurę medyczną dostępną dla wszystkich osób, które będą się do niej kwalifikować i o których wiadomo, że może im pomóc – mówi Ewa Błaszczuk.

Profesor Maksymowicz jest pełen optymizmu: u większości operowanych widać poprawę, a u czterech spośród nich bardzo wyraźną. – Jeden z pacjentów zaczął mówić wkrótce po wszczepieniu stymulatora. Początkowo prawie w ogóle się nie ruszał, dziś już chodzi przy balkonie. Drugi pacjent po poważnym urazie głowy długo był nieprzytomny. Dzisiaj wykonuje polecenia, nawiązuje kontakt, a niedawno po raz pierwszy wypowiedział imię żony. Dużą poprawę widać też u Agnieszki potrąconej przez samochód i u Mariusza Wachowicza, który zaczyna mówić i bez wątplenia nie jest już w śpiączce – wylicza prof. Maksymowicz.

SIŁA RODZIN

Stymulatory poprawiają pracę mózgu, konieczna jest jednak ciągła intensywna rehabilitacja. W Polsce nadal jej brakuje. W stosunkowo najlepszej sytuacji są dzieci, które mogą zostać przyjęte do kliniki Budzik. Dla osób, które skończyły 18 lat, od początku roku działa pierwszy w Polsce Budzik dla dorosłych w Olsztynie. Jednak to kropla w morzu potrzeb – jest w nim tylko osiem miejsc.

Profesor Maksymowicz wraz z fundacją Akogo? chce tworzyć kolejne Budziki dla dorosłych – pierwszy już niedługo ma powstać w Warszawie. Na pomoc w tych miejscach mogą jednak liczyć tylko osoby w dobrym stanie fizycznym (nie mogą być np. pod respiratorem), a od wypadku nie może minąć więcej niż rok.

Jednak nawet wybudzenie nie oznacza końca konieczności rehabilitacji. Tę muszą organizować rodziny. – Koszty są ogromne, w naszym przypadku to ok. 12 tys. zł miesięcznie. Do domu przychodzą logopeda, neuropsycholog, dwóch neurofizjoterapeutów, jest też terapia neurofeedbackiem. To

mozolna praca, ale są efekty – opowiada Anna Chmielewska, siostra Mariusza Wachowicza.

SMAK NA ŻYCIE

Mariusz robi postępy. Czyta, zaczyna pisać – po polsku i po angielsku, wykonywać coraz bardziej skomplikowane polecenia, w sytuacjach śmiesznych głośno się śmieje, w smutnych lub wzruszających widać w jego oczach łzy. Zaczyna wypowiadać pierwsze słowa. Powoli ustępuje spastyzacja (silne napięcie) prawej strony ciała. – Akceptuje fakt, że musi jeszcze więcej pracować, by mógł kiedyś wstać z łóżka i pójść na spacer o własnych siłach. Nie odpuszcza, choć widzimy, jak wiele go to kosztuje. To wojownik: tytaniczna praca przynosi wymierne efekty – opowiada Anna Chmielewska.

Żeby mógł kiedyś wstać z łóżka, potrzebne są rehabilitacja i pieniądze. Tak zrodził się pomysł wydania książki Mariusza „5 pór roku w kuchni. Smak na życie”. Znalazły się w niej przepisy kulinarne i zdjęcia z bloga, który prowadził przed wypadkiem. Nie jest to jednak tylko książka kulinarna, lecz także historia jego życia opowiedziana w rytmie pięciu pór roku. Po „Wiosnie” (młodość), „Lecie” (pełnia życia), „Jesieni” (wypadek), „Zimie” (walka o powrót do normalności) następuje „Wiosna 2”, czyli to, co dzieje się teraz: postępy, nadzieja.

– Gdy Mariusz zobaczył swoją książkę, już wydaną, był uśmiech, a potem łzy. Po trzy razy czytał wszystkie wstępy do rozdziałów, sam przewracał kartki. Na koniec przycisnął ją do siebie i tak zasnął – opowiada Anna Chmielewska.

I to jest najlepsza recenzja „5 pór roku w kuchni”. Książka dostarcza oryginalnych przepisów, smaku na życie. I wielu wzruszeń.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



MARIUSZ WACHOWICZ
„5 PÓR ROKU W KUCHNI. SMAK NA ŻYCIE”
ZONA ZERO

Mariusz jest pod opieką stowarzyszenia To Ma Sens, za którego pośrednictwem można wpłacać pieniądze na jego rehabilitację:
nr konta 19 1090 2851 0000 0001 2977 5390; tytuł wpłaty: „Mariusz Wachowicz”
Można go też wspomóc, wysyłając SMS na numer 75165 o treści: POMOC 6674, koszt: 6,15 zł.



Krzysztof Mastoń

Ukraiński film „Szlachetni włóczędzy” – kręcony we Lwowie – już w fazie realizacji wzbudza zaniepokojenie nie tylko Polaków

O lwowskich batiarach opowiadać ma film „Szlachetni włóczędzy”, kręcony ostatnio w tym mieście na ul. Ormiańskiej, cmentarzu Łyczakowskim, przed kościołem o.o. Dominikanów, na dziedzińcu greckokatolickiej katedry św. Jerzego, a przede wszystkim na Rynku. Oczywisty – wydawałoby się – domysł, że oto Ukraińcy po latach dopisują ciąg dalszy do „Włóczęg”, pamiętnej komedii Michała Waszyńskiego z 1939 r., czyli tworzą coś na kształt remake'u obrazu z Kazimierzem Wajdą i Antonim Vogelfangerem w rolach Szczepcia i Tońcia, okazuje się całkowicie błędny. O szczegółach sprawy, która zbulwersowała przynajmniej część mieszkańców Lwowa, szczególnie tych starszych, doniósł „Kurier Galicyjski” w artykule Konstantego Czawagi pod znanym tytułem „Jak Szczepcio i Tońcio stali się Bodią i Mirkiem”.

Producentem filmu jest kijowska spółka Ganzafilm, a reżyserem Oleksandr Bereżań, który tak anonsuje swoje dzieło: „Istnieje błędne przekonanie, że język i kultura ukraińska są wyłącznie chłopskie. Chcemy przedstawić osobliwą subkulturę miejską lwowskich batiarów. Jest rzeczą konieczną, by wypełnić treścią ukraińską wszystkie obszary naszego życia”.

ZBĘDNI KONSULTANCI

Ukraińska Państwowa Agencja ds. Kina przeznaczyla na „Szlachetnych włóczęgów” 18,5 mln hrywien (drugie tyle dali ponoć prywatni sponsorzy). A kto finansuje, ten wymaga. Współscenarzysta filmu Dmytro Naumow przyznaje, że początkowo obraz miał inaczej wyglądać, ale „[...] scenariusz został zmieniony. W naszym filmie będzie przedstawiona ukraińska atmosfera Lwowa 1938 r. i wydarzenia, jakie miały miejsce w ówczesnej Polsce. Z fabuły starych »Włóczęg« pozostali jedynie dwaj bohaterowie. Na początku mieli to być Tomek i Zbyszek. Kiedy zwrócono nam uwagę, że to są polskie imiona, zmieniliśmy je, choć tamte nam się bardziej podobały, na Bohdana i Myroslawa”.



Kadr z filmu „Włóczęgi”, pamiętnej komedii Michała Waszyńskiego z 1939 r. FOT. NAC

Złamane serce lwowskiego batiara

Gdyby tylko w imionach był problem, niechby sobie bohaterowie filmu nazywali się Taras i Semen. Skoro bowiem ukrainizuje się wszystko, to w czym problem? Co jednak robili na planie osobnicy w rosyjskich strojach ludowych? Takie noszono we Lwowie rok przed wojną? A może ten film to nie „Szlachetni włóczędzy”, ale „Wiesiołyte riebiata”? Chociaż doniesienia ze Lwowa brzmią raczej niewesoło, to powiedziałbym wręcz, że na złe wróży ta noc ponura...

Skąd się bowiem wzięły dwujęzyczne szyldy na lwowskich sklepach, a skąd polskie plakaty (z błędami!)? Te ostatnie eksponują treści antysemickie, przeciwko czemu zaprotestował już przewodniczący lwowskiej gminy żydowskiej Meylakh Sheykhet. Jeszcze większe oburzenie (i zdumienie!) wywołały jednak „grające” w filmie ogłoszenia o naborze do SS-Galizien czy przechadzający się po Rynku oficer Wehrmachtu. Anachronizm,

niewiedza, prowokacja? Zgadywać można w nieskończoność.

Na pytanie o historycznych konsultantów Dmytro Naumow z rozbrajającą szczerością odpowiada, że on sam pochodzi ze Lwowa, doskonale zna język polski, a kiedy zachodzi potrzeba, pomoc znajduje w Internecie.

Ukraińskie zosie samosie samopoczucie mają znakomite. Gdy „Kurier Galicyjski” pyta scenarzystę, czy w filmie usłyszymy piosenki lwowskich batiarów – z tymi najsłynniejszymi, które wyszły spod pióra Emanuela Schlechtera, a istnieją ich tłumaczenia na ukraiński dokonane przez Bogdana Stelmacha i Jurija Wynnyczuka – pada odpowiedź: – Nie skorzystamy z nich ze względu na prawa autorskie i pewne problemy. Sami napisaliśmy piosenki.

ZDZIWIENI HISTORYCY

Reprezentująca Komisję ds. Kina Olga Reiter podkreśla, jak ważne jest to, że

w „Szlachetnych włóczęgach” zagrają m.in. lwowscy aktorzy, jakby mogło to uwiarygodnić film, na którego planie – na co zwracają uwagę obserwatorzy realizacji – słyszy się język rosyjski, za to w nakręconych scenach wyłącznie ukraiński. Wiceprzewodniczący miasta Lwowa Andriy Moskalenko cieszy się natomiast, że miasto na filmie już zarabia, bo ekipa wynajmuje hotel, tutaj się stołuje, wynajmuje sprzęt. Widzowie zaś – dodaje Moskalenko – dzięki „Szlachetnym włóczęgom” rozpoznawać będą Lwów. Z tym to akurat mogą być kłopoty.

Dmytro Naumow natomiast poucza: „W przedwojennym filmie dwaj włóczędzy pomagają dziewczynie, która znalazła się w biedzie. Polacy nazwali ich batiarami, ale to wcale nie były batiairy. Może w pojęciu Polaków takimi się wydawali, ale nas, a szczególnie mnie, jako lwowianina, takie podejście oburza. Gruntownie przerobiłiśmy więc scenariusz. Historycy będą szczerze zdziwieni. W końcu jednak przejrzą”.

Wszystko to byłoby jedynie smutne i świadczyłoby wyłącznie o rozpaczliwym poszukiwaniu tożsamości, gdyby nie ta zdumiewająca pewność siebie oraz przeświadczenie, że jeśli coś się nie zgadza z faktami, to tym gorzej dla faktów.

TRYPTYK WASZYŃSKIEGO

Na szczęście nie wszyscy położyli uszy po sobie. Deputowana Najwyższej Rady Ukrainy Oksana Biłozir na prośbę grupy lwowskich twórców i intelektualistów zwróciła się z apelem do premiera Wołodymyra Hrojsmana, ministra kultury Jewhena Nyszczuka oraz przewodniczącego Państwowej Agencji ds. Kina Pyłypa Ilienki, żeby dopracować projekt filmu zgodnie z prawdą historyczną i kulturową. Przeciw manipulacjom wokół lwowskiej tradycji głośno protestowali reżyserka Myroslawa Sydor, krajoznawcy Petro i Iwan Radkowscy, muzyk Wiktor Morozow, pisarze Jurij Wynnyczuk i Natalia Gurnicka. W swoim liście tłumaczyli: „Batiary – to cały szmat lwowskiej historii, to subkultura, która stanowiła o ówczesnej mentalności Lwowa i, co należy podkreślić, nie zaginęła do dziś! Autorzy powstającego filmu w anon-sach i aktorzy w wywiadach opowiadają o batiarach jak o złodziejach”. Tymczasem – wyjaśniają dalej – „lwowskich bandytów nazywano »kinderami«, a nie batiarami. Batiary nie cierpiały tych pierwszych, nie były pospolitymi złodziejaskami, nie okra-
dały ludzi”.

W związku z całą tą sprawą przypominało mi się, że w 1939 r. w Polsce Misza Waszyński zdążył jeszcze nakręcić trzeci – po „Będzie lepiej” i „Włóczęgach” – film ze Szczepciem i Tońciem. Tyle że filmu nie ma, gotowy negatyw spłonął, zachowały się jedynie cztery ujęcia i ścieżka dźwiękowa. A teksty piosenki do filmu napisał znów ten sam nieodżałowany Emanuel Schlechter.

SEMPER FIDELIS

Emanuel Schlechter, autor tekstów takich piosenek jak: „Trudno”, „O’key”, „Odrobinę szczęścia w miłości”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą” i, naturalnie, słynnych numerów lwowskich z „Tylko we Lwowie” na czele, po wejściu Niemców do Lwowa w 1941 r. znalazł się w getcie, a potem w obozie koncentracyjnym przy ul. Janowskiej, gdzie zginął wraz z żoną i synem, nawet nie wiemy kiedy, w 1942 lub 1943 r. Przez pamięć o nim wypadłoby film odwołujący się do batiarskiej tradycji Lwowa potraktować z minimalnym choćby pietyzmem. Do tego jednak potrzeba czegoś więcej niż ordynarnej chęci zarobienia kasy. Na przykład wiedzy. Niechby i o batiarach.

Józef Wittlin tak o nich pisał: „Mylne byłoby mniemanie, że każdy batiar jest dzieckiem ulicy, a za ojca ma ryszotok. Batiary rodziły się również w patrycjuszowskich pałacach, a często w szlacheckich dworach. Niejeden z nich później trząsł parlamentem wiedeńskim lub chadzał w profesorskiej todze, pobrękując dziekańskim, ba, nawet rektorskim łańcuchem, a nie kajdankami”.

Przesada? Niewielka, a to dlatego, że pojęcie batiara ewoluowało, najpierw za sprawą obrony Lwowa, a potem przymusowej ekspatriacji większości obywateli tego miasta, które miało być „semper fidelis”, ze swej małej ojczyzny. W końcu najbardziej reprezentatywnym batiarem był doktor praw, wzięty adwokat, po latach w szkołach angielskich nauczyciel łaciny i zasad brytyjskiej konstytucji, czyli nie kto inny jak Tońko Tytyłta z radiowej „Wesołej Lwowskiej Fali” – Henryk Vogelfanger. Partner innego wzorcowego batiara, Szczepcia Migacza, czyli Kazimierza Wajdy, radiowca, dziennikarza, niedoszłego inżyniera.

Trudno i darmo, dla kilku pokoleń lwowian są to jedyne prawdziwe batiary. Bezprzymiotnikowe: ani szczęśliwe, ani wesołe, ani szlachetne, jeśli już – to modułowe. Z Sèvres.

Co nie znaczy, by polszczyć batiarów na siłę, zwłaszcza gdy pamięta się o tym, że Henryk Vogelfanger pochodził ze spolonizowanej rodziny żydowskiej... Takie samo było pochodzenie twórców przedwojennych komedii „batiarskich”: Emanuela Schlechtera, Henryka Warsa, Konrada Toma i wreszcie Michała Waszyńskiego, naprawdę Mosze Waksa z Kowla na Wołyniu, bohatera „Księcia i dybuka”, dokumentalnego filmu Elwiry Niewiery i Piotra Rosołowskiego nagrodzonego właśnie na Festiwalu Filmowym w Wenecji.

Ukraińskich filmowców nikt o zdrowych zmysłach nie odsądzały od czci i wiary, gdyby nie zachowywali się jak słoń w składzie porcelany i chcieli widzieć coś więcej ponad koniec swojego nosa.

WSPÓŁCZESNE MITOLOGIZOWANIE

Warto tu zacytować jeszcze jednego sławnego lwowianina, Stanisława Wasylewskiego: „Jeżeli ludność Lwowa jest aliażem i »miskulancją« różnych nacji, które tędy w ciągu wieków przepływały – to cóż dopiero jej przedmiejski łązik, »słodki wariatunio« i »makabunda« z Kręconych Szupów czy Czartowskiej Skały? Rozdobędność, chętkę do włóczęgi wziętą od jeńców tatarskich, przebiegłości nauczyli go kupcy ormiańscy i greccy korzennicy, zastrzyk buty zadziornej dali mu przybysze węgierscy z tamtej strony Karpat, fantazję polską masa szlachecka, której służył i ciurą w obozach chodził. Śpiewała uczył się od sąsiadów Rusinów i od grajka wędrownego z Czech, a i małpowania kupletów wiedeńskich i od siebie samego także trochę. Oczajdusze i łąziki przedmieść lwowskich – to plemię, bez którego nie sposób wyobrazić sobie tego miasta w ogóle. Przyszli na świat z Lwowem samym”.

Dzisiejszy ukraiński Lwów buduje swoją współczesną mitologię. Ma do tego prawo – tak jak my do tworzenia mitologii wrocławskiej czy gdańskiej, a nie w kółko do wywoływania niemieckich duchów miast Breslau i Danzig – o ile nie jest budowana jest ona na przeinaczaniu faktów, na chciejstwie, wreszcie na prostackim łgarstwie. Niestety, ukraińska ekipa kręcąca „Szlachetnych włóczęgów” nie budzi zaufania. Wręcz odwrotnie. I na pewno nie dzieje się tak wyłącznie na skutek białoruskiego pochodzenia reżysera, co wytyka Jurij Wynnyczuk, szukający przyczyn zadziwiającej niewiedzy twórców filmu o lwowskich batiarach. Niewiedzy z państwowego nadania.



Orhan Pamuk

FOT. LEEMAGE/EAST NEWS

Ojcowie i dzieci



Wojciech Engelking

Nową, wybitną powieść „Rudowłosa” Orhana Pamuka można odczytać jako prostą historię o skutkach młodzieńczej miłości, pełną odwołań do mitologii i klasyki literatury. Ciekawiej jest jednak, jeżeli potraktujemy ją jako polityczną przypowieść o przemianach w Turcji

Jest rok 1986. Po gwałtownych zawirowaniach ostatniej dekady – walkach neofaszystowskich Szarych Wilków z Armią Wyzwolenia Robotników, w których zginęło 5 tys. osób – w Turcji panuje pozorny spokój: za rok premier Özal znów wygra wybory, kraj rozwija się dzięki kredytom z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Pamięć o tym, co działo się nie tak dawno temu, wciąż jest jednak żywa w rodzinach tych, którzy wtedy zginęli lub zostali aresztowani – na

przykład nastoletniego Cema, który chce zostać pisarzem.

Kiedy chłopaka i jego matkę opuszcza ojciec, dawny lewicowy rewolucjonista, to młodzieniec musi wziąć na siebie ciężar wyżywienia rodziny. Zatrudnia się więc przy budowie studni w jednym z podstałbulskich miasteczek. Budową kieruje niejaki mistrz Mahmut. Co wieczór, po ciężkiej, prowadzonej starą, czasochłonną metodą pracy, mężczyzna i chłopak raczą się historiami, wśród których naczelną miejsce

zajmują dwa mity: zachodni, o królu Edypie, nieświadomym zabójcy swego ojca, i wschodni, o dwóch wielkich wojownikach – Rostamie i Sohrabie, w którym to ojciec zgładził syna. I chociaż relacja Cema z mistrzem szybko staje się relacją ojca z przybranym synem – Cem wprost stwierdza, że Mahmut jest dla niego ojcem troskliwym, jakiego nigdy nie miał – wszystko zmienia się, gdy do miasteczka przybywa wędrowną trupą teatralną, w której prym wiedzie kobieta o rudych włosach. W starszej odei o kilkanaście lat damie Cem zakochuje się swoją pierwszą miłością i – nie do końca niesłusznie – zaczyna podejrzewać, że także mistrzowi Mahmutowi rudowłosa piękność nie jest obojętna. A tego znieść młodzieńcza miłość nie może.

Tyle fabuły. Najnowsza, znakomicie napisana powieść Orhana Pamuka z pozoru może wydawać się kameralną reinterpretacją toposu konfliktu ojca z synem. Z innych jego reinterpretacji autor „Muzeum niewinności” czerpie wszak obficie – na kartach „Rudowłosej” znajdziemy odwołania nie tylko do Sofoklesa i mitów mużmańskiego kręgu kulturowego, lecz także „Braci Karamazow”, Freuda czy Turgienie-wa. Problem w tym, że tę powieść o ojcach i dzieciach stworzył pisarz, który z pewnością jest świadomy, że w tureckiej filozofii politycznej ojciec – „ata” – to nie tylko mężczyzna, który spłodził syna. To także ojciec narodu, jak Atatürk, ojciec wszystkich Turków, a także Recep Erdoğan, noszący przydomek: „Papa Tayyip”.

LIBERAŁ?

Od polityki Pamuk nigdy nie stronił i to on się wziął do niej, a nie ona do niego; w autobiograficznym „Stambule” ironicznie wszak zauważa, że jego rodzina żyła dobrze z każdą władzą (jak Nabokowowie w Rosji aż do rewolucji). To dobre życie umożliwiło rodowi Pamuków znaczne wzbogacenie się: urodzony w 1952 r. pisarz dorastał wśród tureckiej elity.

Pamuk (inaczej niż tureccy pisarze, którzy starali się pisać o swej ojczyźnie na zachodnią modłę) nie neguje kultury, z której się wywodzi. Chociaż wielu komentatorów chciałoby go dzisiaj postrzegać jako kosmopolitycznego liberała (co roku wszak spędza sześć miesięcy w Nowym Jorku, gdzie wykłada na uniwersytecie Columbia), w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel” w 2005 r. otwarcie stwierdza, że jakkolwiek poczucie sacrum jest mu obce, nie uważa siebie za ateistę, lecz mużmańszynę. Jako pierwszy przedsta-

wiciel świata mużułmańskiego w 1989 r. potępił zresztą fatwę, którą ajatollah Chomeini obłożył Salmę Rushdiego. Rok później, po ukazaniu się „Białego zamku” w USA, „The New York Times” nazwał go nową gwiazdą światowej literatury. A Pamuk zaczął głośno mówić (i pisać) o tym, o czym w Turcji mówić nie było wolno.

Tym czymś była turecka odpowiedzialność za rzeź Ormian – wymordowanie 1,5 mln przedstawicieli tej mniejszości podczas I wojny światowej. Rok po roku Pamuk opowiadał o niej coraz bardziej otwarcie, jednocześnie umacniając swoją pozycję literacką. Na początku XXI w. wydał bestsellerowe „Nazywam się Czerwień”, za które został uhonorowany International Dublin Literary Award – powieść o konflikcie Wschodu z Zachodem w świecie sztuki, ale też o wyznaczanych przez polityków granicach wolności słowa. I właśnie za przekroczenie tychże w wywiadzie dla BBC, gdzie o ludobójstwie wyraził się wprost, podając szacunkową liczbę ofiar, został w 2005 r. oskarżony – proces wytoczył mu powiązany z nacjonalistycznymi środowiskami prawnik Kemal Kerinçsiz. Traf chciał, by w tym samym roku wydał „Śnieg”, powieść traktującą o przewrocie wojskowym w małym tureckim miasteczku, gdzie władzę przejmują islamisci. Rok później, gdy musiał już chodzić z rządową ochroną, właśnie za „Śnieg”, spotkało go wyróżnienie największe z możliwych – Nobel.

Recep Tayyip Erdoğan, który swoich politycznych związków z islamem nigdy się nie wypierał, od dwóch lat był wówczas premierem Turcji.

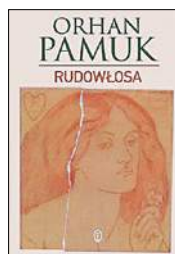
SKOMPLIKOWANE RELACJE

Stosunek Pamuka do Erdoğan – i odwrotnie – jest skomplikowany. Z jednej strony propagandowa, prorządowa prasa

wali w autora „Muzeum niewinności”, aż iskry lecą. W 2014 r. oskarżyła go np., a także inną turecką prozaiczkę, Elif Şafak, o bycie członkami międzynarodowego lobby, które powstało w celu zniszczenia prezydenta; regularnie też zajmuje się jego życiem prywatnym.

Z drugiej strony Pamuk nie jest dysydem na wzór tych z dawnego bloku wschodniego: kiedy w 2016 r. w Turcji przeprowadzono nieudany zamach stanu celem obalenia Erdoğan, w wywiadzie dla amerykańskiego „Slate” stwierdził, że jest wdzięczny tym wszystkim ludziom, którzy bronili prezydenta. Rok później jednak przypomniał, że 40 tys. ludzi aresztowanych po próbie przewrotu wciąż, bez procesów, pozostaje w aresztach.

Tureckie władze centralne z kolei nigdy otwarcie na Pamuka nie napadły – chociaż spokojnie przypatrywały się, jak w 2005 r., na chwilę przed Noblem, islamistyczni bojówkarze palą jego książki, a prefekt jednej z prowincji nakazuje wycofanie tychże z bibliotek. Turecki prezydent ani razu wprost się na temat Pamuka nie wypowiedział (inaczej niż, dajmy na to, premier Francji na temat Houellebecqa), pisarz zaś – chociaż europejska opinia publiczna chętnie widziałaby w nim prostego krytyka jego poczyni – o obecną sytuację w Turcji oskarżał równie mocno Erdoğan, jak i Zachód. Można zapewne powiedzieć, że ten pierwszy zdaje sobie sprawę, jak mocnego ma w Pamuku partnera (bo nie przeciwnika) z drugiej strony barykady: gdy w kwietniu 2016 r. autor „Nazywam się Czerwień” udzielił wywiadu liberalnej gazecie, w której namawiał do głosowania na „nie” w referendum o zwiększeniu



ORHAN PAMUK
„RUDOWŁOSA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2017

władzy prezydenta, po prostu doprowadził do tego, że wywiad się nie ukazał, chociaż wielu innych tureckich znanych intelektualistów spotkało za podobne oświadczenie wyrzucenie z pracy i procesy.

Czy Erdoğan jest dla Pamuka zachodnim ojcem narodu – „ata” – Edypem, który zostanie przez swojego syna zabity, czy jednak wschodnim, Rostamem, który go – nie chcąc, by wypełniło się fatum – zgładzi? Pamuk nie

udziela na to pytanie odpowiedzi. Swojego bohatera Cema, marzącego o karierze pisarskiej, w latach dojrzałych opisuje jako rzutkiego dewelopera, jednym słowem – kapitalistę, który na demokracji neoliberalnej podczas rządów partii obecnego prezydenta po prostu się dorobił.

Za czasów Cemowej świetności nikt już nie kopie studni metodą mistrza Mahmuta, Turcja rozwija się jak szalona, a podstambulskie miasteczko, w którym jako nastolatek pracował i się zakochał, zostało dawno wchłonięte przez stolicę. Jego mieszkańcy są dumni, że właściciel – nazwa nieprzypadkowa – Sohrabu, jednej z największych firm budowlanych w kraju, kiedyś był jednym z nich. Gdy Cem zamierza na wolnej działce wybudować osiedle, zapraszają go na spotkanie. Na tym zaś obecna jest nie tylko starzejąca się Rudowłosa. Jest na nim najmłodsze pokolenie Turków, pokolenie Cemowych synów, które – zdaje się mówić Pamuk – prezydent Erdoğan, islamista umiarkowany, sobie wyhodował: islamistów radykalnych, politycznych rewolucjonistów jak z Dostojewskiego. I to właśnie to pokolenie może sprawić, że spełni się odwrócenie przepowiedni, którą Edyp usłyszał od delfickiej wyroczni, nim udał się do Koryntu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**

I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII
POLSKIEGO KINA

Filmopedia 

FILM
od 1946 roku

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ



GRZEGORZ BRZOWICZ: We wrześniu 1985 r. pierwszy raz zagraliście w Polsce, i to na ludycznej imprezie „Pożegnanie lata z jarmarkiem”. W finale wylądowaliście helikopterem na murawie Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie i daliście dość dziwny koncert.

PAUL HUMPHREYS: To było surrealistyczne zdarzenie. Widzowie nie mogli wchodzić na płytę boiska, więc przed sceną nie było nikogo. Było ciemno – można powiedzieć, iż graliśmy do pustej sali, tyle że na koronie stadionu było ok. 50 tys. widzów. Słyszeliśmy owacje, ale dochodziły do nas jakby z zaświatów. To był najbardziej zwariowany koncert, jaki kiedykolwiek daliśmy.

ANDY MCCLUSKEY: Kilka godzin wcześniej, w Monachium, nagrywaliśmy na żywo program telewizyjny. Zaraz po zakończeniu pojechaliśmy na lotnisko i małym odrzutowcem poleciliśmy do Warszawy. Nie było czasu ani możliwości na odbycie próby. Byliśmy przerażeni, więc zagraliśmy z playbacku. Udawaliśmy granie do muzyki odtwarzanej z kasety i w pewnym momencie musieliśmy przerwać występ, by kasety przełożyć na drugą stronę. Przez 30 lat to był jedyny koncert, jaki zagraliśmy w Polsce [w 1991 r. OMD wystąpił na festiwalu w Sopocie, ale bez Andy’ego w składzie – przyp. G.B.].

Tytuł ostatniego albumu, „The Punishment of Luxury”, wzięliście od nazwy obrazu Giovanniego Segantiego z 1891 r., a piosenkę „La Mitrailleuse” zainspirował obraz Christopha R.W. Nevinsona z 1916 r.

A.M.: Sam tytuł „Kara za luksus” ma wielką moc. Przyjęliśmy tylko tytuł, bo wymowa obrazu, zresztą bardzo dobrego, jest mizoginiczna. Obraz przedstawia złe matki, które chciały czegoś więcej niż zajmowania się domem, opieki nad rodziną i spełniania powinności małżeńskich. Ukradliśmy tytuł, bo uważamy,



Muzycy zespołu OMD przyjechali do Warszawy, promując swoją najnowszą płytę „The Punishment of Luxury” FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS



Z Paulem Humphreysiem i Andym McCluskeyem z zespołu OMD rozmawia Grzegorz Brzowicz

Humanizm muzycznych maszyn

że w zachodnim świecie wiele osób ma więcej, niż potrzebują, i przez to jest nieszczęśliwych. Nasze mózgi są wyprane przez marketing. Zmusza się nas do nabywania dóbr, które nie są nam potrzebne. Natomiast drugi obraz, „Karabin maszynowy”, utożsamia OMD. Dzieło angielskiego malarza przedstawia francuskich żołnierzy obsługujących karabin maszynowy. Podczas I wojny światowej po raz pierwszy doszło do rzezi ludzi na skalę przemysłową. Pod obrazem przeczytałem podpis: „Zginaj ciało wedle woli maszyny”. To jest najprostszy, najbardziej lakoniczny, a zarazem najbardziej konkretny opis przemysłowego humanizmu, który jest istotą twórczości OMD. Inaczej rzecz ujmując – na brzmienie naszej muzyki składają się odgłosy

wystrzałów karabinowych, spadających pocisków oraz mój, często melancholijny, głos. Taki jest humanizm maszyn.

Na początku byliście traktowani jako zespół awangardowy, ale dość szybko staliście się gwiazdami muzyki synthpopowej.

P.H.: Zaczynaliśmy w czasach, kiedy nie istniał Internet i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy częścią nowego muzycznego ruchu. Wiedzieliśmy, że w Londynie tworzy Daniel Miller jako The Normal. Natomiast nie mieliśmy pojęcia o istnieniu Cabaret Voltaire, Human League, Ultravox etc. Pierwszy koncert zagraliśmy przed Joy Division, drugi przed Cabaret Voltaire. Po tym ostatnim wręczyliśmy wspomnianemu Tony’emu Wilsonowi kasety demo. Zadzwoił po ty-

godniu i powiedział: „Jesteście przyszłością muzyki pop”.

A.M.: „Pieprz się, my jesteśmy zespołem eksperymentalnym” – odrzzyknęliśmy. „Mylicie się, niebawem wystąpiacie w »Top of the Pops«” – zakomunikował. Dziewięć miesięcy później, po wydaniu singla „Electricity”, mieliśmy pierwszy przebój i byliśmy w tym najpopularniejszym muzycznym programie telewizyjnym. Nasz debiutancki album zdobył miano złotej płyty.

Znakiem rozpoznawalnym OMD były zawsze wpadające w ucho melodie.

P.H.: Uczyliśmy się od Kraftwerk. Niemiecka grupa podchodziła do muzyki w sposób szalenie intelektualny, tworzyła niesamowite brzmienia, ale gdy rozłożysz ich utwory na części, u ich podstawy są wspaniałe melodie. Umiłowanie do melodii wpoił mi starszy brat, który bez przerwy słuchał Beatlesów. Możesz mieć wspaniałe pomysły, chęć do eksperymentowania, ale na koniec to, co powoduje, że ludzie wracają do twojej piosenki, to jest melodia, którą mogą zanucić.

A.M.: Paul jest specem od elektroniki, ale to ja jestem bardziej ekstremalny w tym, co robimy. Jeśli w naszej muzyce pojawia się coś agresywnego lub z drugiej strony coś ekstremalnie melancholijnego, to są rzeczy, które ja wymyśliłem. Paul przetwarza moje szaleństwa na rzeczy bardziej akceptowalne dla otoczenia.

Współpracujecie ze sobą i przyjaźnicie się od 40 lat. Czy tak długie wspólne funkcjonowanie w show-biznesie nie wywołuje konfliktów?

A.M.: Nie, da się przeżyć. Natomiast strasznie ciężko jest kibicować wrogom sobie klubom piłkarskim. Football wyzwała niebywałą agresję.

P.H.: Andy kibicuje Manchesterowi United, a ja Liverpoolowi. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.



Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

WSPÓŁORGANIZATOR



MECENAT KONCERTU



PARTNERZY WYDARZENIA



PATRONI MEDIALNI



WSPÓŁPRACA
REDAKCYJNA





FOT. MATERIAL PRESS

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Sępy zjadają Tutsi



★★★★★
REŻ. KRZYSZTOF
KRAUZE, JOANNA
KOS-KRAUZE
„PTAKI ŚPIEWAJĄ
W KIGALI”
POLSKA 2017

wyst. Jowita Budnik,
Eliane Umuhire,
Witold Wielński

Afryka. W nienazwanym kraju (wszyscy i tak wiedzą, że chodzi o Rwandę) ornitolog z Europy ratuje młodą Murzynkę. Zabiera ją do Francji, gdzie Klarysa skończy studia i zwiąże się ze swym wybawcą. Wspomnienie rzezi nie pozwala jednak spuentować ich historii sakramentalnym zwrotem: „Żyli długo i szczęśliwie”.

Opowiadanie Wojciecha Albińskiego „Kto z państwa popełnił ludobójstwo?” (swoją drogą, tytuł godny Tadeusza Borowskiego) za-uważono i doceniono, choć odległe tragedie z reguły mało zajmują Polaków. Masakrę w Rwandzie przesłoniły w dodatku bestialstwa, do których w tym samym czasie dochodziło w byłej Jugosławii. Trudno było też zrozumieć, czemu jedni afrykańscy chrześcijanie mordują swych współwyznawców.

Na motywach opowiadania Krzysztof Krauze wspólnie z żoną napisał scenariusz „Ptaki śpiewają w Kigali”. Klarysę zastąpiła Klaudyna, zaś Francję – Kanada. Główną rolę męską zainteresowany był Nick Nolte, potem pojawiła się kandydatura Andrzeja Chyry. Minęły cztery lata i film, który wszedł właśnie na nasze ekrany, jest zupełnie inny od zapowiadanego. Wkrótce po rozpoczęciu zdjęć umarł Krauze. Odszedł też Krzysztof Ptak, jeden z najbardziej doświadczonych i twórczych polskich operatorów filmowych, współautor „Domu złego” i „Nikifora”. Ornitolog po raz kolejny zmienił paszport, a przy okazji płeć – w ramach walki z postkolonialnym stereotypem. Zmieniło to w sposób radykalny relacje między parą głównych bohaterów.

Czy z korzyścią dla wiarygodności fabuły? Myślę, że wątplię.

Anna i Klaudyna kochają się i nienawidzą. Chciałyby odciąć się od koszmaru, lecz zapomnieć się nie da, zaś wybaczyć trudno, jeśli druga strona skruchy nie okazuje. „Dzisiaj wy, jutro my” – to wszystko, co ma do powiedzenia zapuszkowany morderca. Skoro pojednanie to fantasmagoria, pozostaje program minimum: znaleźć i godnie pochować zwłoki bliskich i pogodzić się z tym, że ocaleni oraz kaci będą musieli nadal razem żyć na ziemi skażonej śmiercią i nienawiścią.

Polskę obrzydzą Klaudynie bezduszni urzędnicy oraz sąsiedzi, ściągający jej na kark policję. Jednak to nie jest film o problemie uchodźców, lecz o przezwyciężaniu traumy. Programowo ascetyczny, z nieostrymi zdjęciami, wyprany z kolorów. Mało dialogów, dużo milczenia. Niby słusznie – bo żadne słowa tragedii z 1994 r. nie opisz – wyrozumiałość widzów ma jednak granice, za którymi czyhają nuda i zmęczenie.

Dzisiaj w Rwandzie panuje spokój – chciałoby się powiedzieć – cmentarny. Czy jedyną alternatywą dla krwawego chaosu jest państwo policyjne? Może to dobrze, że kino takimi tematami się nie zajmuje. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BOTOKS”

Twórca uwielbianego przez widzów cyklu „Pitbull” (serial telewizyjny plus filmy kinowe) zabiera się do recenzowania polskiej służby zdrowia. Wbrew tytułowi nie koncentruje się jedynie na pacjentkach klinik medycyny estetycznej, wśród czterech bohaterek filmu są także: pani

ginekolog, pani chirurg oraz lekarka z SOR. ©©

Piotr Gociek

• „Botoks”, reż. Patryk Vega,
wyst. Olga Bołgud, Agnieszka Dygant,
Katarzyna Warnke, Marieta Żukowska,
Polska 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Linia życia” („Flatliners”), reż. Niels Arden Oplev, USA 2017
- „Maudie”, reż. Aisling Walsh, Kanada/Irlandia 2016
- „Niewygodna prawda 2” („An Inconvenient Sequel: Truth to Power”), reż. Bonni Cohen, USA 2017

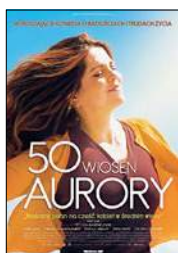
Sposób na menopauzę

Pięćdziesiątka to dla kobiety wiek wysoce niebezpieczny. Pojawiają się kłopoty ze snem, uderzenia gorąca, huśtawka nastrojów, ogólne rozkojarzenie. Lekarz mówi, że to już jest równia pochyła i trzeba się z tym pogodzić. Gruski nie rosną na wierzbie, zaś medycyna nie zna lekarstwa na menopauzę. Cóż ma począć dojrzała niewiasta? Pójść w ślady podstarzałych facetów, którzy zmieniają partnerki na młodsze? Pomysłu o liposukcji i botoksie?

Nowy szef degraduje Aurorę do roli barmanki (dotąd była kelnerką) i zmienia jej imię na Samanta, bo sądzi, że tak jest seksowniej. Trudno rozstrzygnąć, czy to jeszcze standardowy mobbing, czy już godny potępienia

ageizm. „Wy, biali, nic nie wiecie o dyskryminacji” – pociesza bohaterkę sprzątaczką intelektualistka. W życiu prywatnym Aurorze jednak też się nie wie. Film jest lekki jak café crème w Dzielnicy Łacińskiej, momentami autentycznie zabawny (w restauracji ze śpiewającymi kelnerami konsumenci muszą rozmawiać na migi). Lansuje jednak błażutną teorię, że dwa razy można wejść do tej samej rzeki. Od początku przeczuwamy, że Aurorze nie są pisane samotność i bezrobocie. Nie będąc „targetem”, obejrzałem „50 wiosen Aurory” bez przykrości, choć z nostalgią za czasami, w których Jaoui udzielała się w trochę mądrzejszych fabułach. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. BLANDINE LENOIR
„50 WIOSEN AURORY”
(„AURE”) FRANCJA 2017

wyst. Agnès Jaoui, Thibault de Montalembert, Pascale Arbillot



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W GÓRĘ RZĘKI

Brytyjski oficer żądny odnalezienia, sławy i przygody rusza w boliwijską dżunglę z misją geograficzno-dyplomatyczną. Trafia do świata wyjątko trochę z „Jądra ciemności” Conrada, trochę z „Fitzcarralda” Wernera Herzoga. Wróci ogarnięty obsesją – widział w dzikich ostępach ślady prastarej, nieznannej nauce cywilizacji. Choć jest wyśmiewany i nazywany kolejną ofiarą marzenia o Eldorado, to wróci do Ameryki Południowej. Film Jamesa Graya smakuje lepiej od typowej hollywoodzkiej karmy, jest oryginalny i wciągający, choć nierówny. Opowieść jest intrygująca, aktorzy wypadają świetnie (zwłaszcza, o niespodziankę, Robert Pattinson i Sienna Miller – plus genialny epizod Franco Nero), ale całość szkodzi polityczna poprawność. Żona głównego bohatera wygłasza monologu niczym współczesna feministka, a on sam wychodzi na herosa antykolonialnego. Na szczęście film jest o czym innym. Jak dalece jesteśmy więźniami własnych marzeń i ambicji? Czy warto chcieć więcej, gdy może to kosztować nas wszystko? ©©



wyst. Charlie Hunnam, Robert Pattinson, Sienna Miller

★★★★★
REŻ. JAMES GRAY
„ZAGINIONE MIASTO Z”
(„THE LOST CITY OF Z”) USA 2017, MONOLITH

PODWÓJNE POŻEGNANIE

Numer 9 w serii rozpoczęty przez Bryana Singera w roku 2000 filmem „X-Men”. Akcja toczy się w przyszłości, w której mutantów już prawie nie ma: nowi się nie rodzą, starzy zostali wybiti albo ukrywają się przed władzami. Jednym z tych ostatnich jest Wolverine (raz jeszcze Hugh Jackman), który w sekrecie opiekuje się także sędziwym już prof. Xavierem (Patrick Stewart). Dla obydwu aktorów to pożegnanie z rolami, w „Loganie” więcej zatem melancholii niż czystej zabawy. Sędziwych mutantów wyrwie z otępienia pojawienie się młodej mutantki. Film doczekał się niezłych recenzji krytyków i ekstatycznej reakcji fanów, ale nie jest aż tak dobry, jak głosi wieść. Wypada dobrze na tle poprzednich, słabszych części serii (szczególnie kiepskiego „X-Men: Apokalipsa”). Zatem: dla fanów cztery gwiazdki, dla wszystkich innych – trzy. ©©



wyst. Hugh Jackman, Patrick Stewart, Dafne Keen

★★★★★
REŻ. JAMES MANGOLD
„LOGAN: WOLVERINE”
(„LOGAN”) USA 2017, IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „AGENTS OF MAYHEM”

Komiksy, superbohaterzy, luźna narracja, futurystyczna broń i nowoczesne miasta. Ile razy widzieliśmy już podobne gry i filmy? A jednak nie bez powodu dodanie tych elementów do siebie prawie zawsze gwarantuje dobrą rozrywkę. Nie inaczej jest w przypadku produkcji „Agents of

Mayhem”, która oferuje niezliczone pojedynki na ulicach Seulu z żołnierzami demonicznego Legionu. Gra wyróżnia się możliwością skompletowania trzysobowego składu bohaterów, zmienianego dynamicznie w trakcie pojedynków. Co niedomaga? Mimo wszystko powtarzalność



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przeciwników oraz schematyczne misje. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** TPP
- **Platforma:** PS4
- **Producent, dystrybutor:** Volition Inc./Techland
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Trzy godziny **W ZOO**

Za sprawą „Dzikiego królestwa” poznajemy amerykańską pisarkę Gin Phillips, autorkę popularną już w swoim kraju, nagradzaną, a przy tym stojącą na progu prawdziwego sukcesu, jakim może się stać ekranizacja właśnie wydanego w Polsce thrillera.

Opowiada on historię rozgrywaną się w ciągu trzech godzin, czasu mniej więcej równego temu, jaki poświęcimy na lekturę powieści rozpoczynającej się – jak czytamy – o godz. 16.55, a kończącej o 20.05 tego samego dnia.

Czas znamy, miejscem akcji jest ogród zoologiczny. To w nim przebywa bohaterka „Królestwa...”, Joan, ze swoim czteroletnim synkiem. W tamtejszym parku spędza z nim czas, bawi się, spaceruje. Feralnego dnia ociąga się z wyjściem, gdy jednak w popłochu opuszcza ogród, by zdążyć przed jego zamknięciem, słyszy niepokojące odgłosy, a następnie widzi coś, co każe jej natychmiast wrócić i szukać schronienia w zoo. Nie, to nie dzikie zwierzęta są zagrożeniem. To ludzie. Joan nie wie, ilu ich jest, ale widok ciał leżących na ziemi bez ruchu sprawia, że pewna jest tylko jednego: musi uciekać i ochronić swoje dziecko przed tym, co najgorsze.

W gruncie rzeczy akcja powieści, to, co się dzieje w opanowanym przez tajemniczych zabójców ogrodzie zoologicznym, jest wtórna wobec tego, co rozgrywa się w mózgu Joan. Ważne są jej strach i odwaga, wszechogarniająca miłość do synka oraz niechęć do wszystkich, którzy mogą sprowadzić na nich niebezpieczeństwo. A tacy się pojawiają: młoda czarnoskóra pracownica znajdującej się na terenie parku

restauracji i emerytowana nauczycielka. Oba przyjdzie odegrać istotną rolę w prezentowanych wydarzeniach, ale przecież nie decydującą. Ta przypadnie oczywiście Joan, która przy okazji przekona się o sile rodzicielskiego uczucia.

„To całkiem inny rodzaj bliskości niż na przykład z kochankiem – tłumaczy sobie wycieranie o kołnierzyk smarków Lincoln. – Z kochankiem możesz być doskonale dopasowana fizycznie, mieć poczu-

W tym thrillerze ciekawsze są jednak relacje matki z dzieckiem niż to, co się dzieje między osobnikami niosącymi zło. Kim są? Dlaczego zabijają Bogu ducha winnych ludzi? Czy są świadomi, że prowokują także swój koniec? A jakie to naprawdę ma znaczenie? Co obchodzi ofiarę motywacja kata? Człowiekowi, któremu grozi śmierć, obojętne są hasła o równości i wolności, a jeśli nawet był przeciw karze śmierci, to raptem diametralnie zmienia zdanie.

Oczywiście Gin Phillips o tym wszystkim nie pisze wprost. Pamięta o poprawności politycznej, choć ta czasem i ją uwiera, a wtedy pisze np. kilka słów prawdy o współczesnej telewizji. Ot tak, niejako przy okazji.

Dowiadujemy się, że kupiła synkowi w sklepie precenioną figurkę Predatora, gdyż „Lin-

coln zawsze szukał postaci, która odgrywałaby rolę obcego. Pewnego wieczoru skakali po kanałach telewizyjnych i zobaczyła ten stary film ze Schwarzeneggerem, w ocenzonej wersji, zapewne bez wulgaryzmów i krwi. Pozwoliła Lincolnowi go obejrzeć. Tyle że teraz w telewizji można do woli mówić »nie bądź cipak« albo »niech cię szlag«, więc jak można pozwolić czterolatki oglądać cokolwiek?».

A czy można pójść z dzieckiem do zoo? A czy można iść z nim gdziekolwiek? A czy zamknięcie w domu zatrzęsniętym na cztery spusty na pewno zapewni nam bezpieczeństwo? Co uczyniliśmy z danym nam światem, że nie da się w nim żyć?

Nie tylko do niecierpliwego oczekiwania zakończenia, lecz także do stawiania pytań tego rodzaju – jak na thriller raczej nietypowych – skłania „Dzikie królestwo”. ©



FOT. RYAN ERIE

cie, że wasze ciała należą do siebie nawzajem i z całkowicie bezwładną swobodą kłaść dłoń na jego udzie, pieścić go wargami, tak jak najbardziej lubi, lub wtulać się w niego w łóżku, biodro przy biodrze. Ale ostatecznie oboje jesteście dwoma różnymi ciałami i przyjemność jest wywołana tą właśnie różnicą.

Z Lincolnem ta granica między dwojgiem jest zatarta. Joan kąpie go i ociera wszystkie wydzieliny jego ciała, a on wpycha palce do jej ust lub łapie równowagę, kładąc rękę na czubku jej głowy. Kataloguje jej piegi i pieprzyki równie starannie jak swoje zadrapania i siniaki. Nie do końca zdaje sobie sprawę, że jest osobną istotą. Jeszcze nie. Razie jej ramię jest równie łatwo dostępne jak jego – jej kończyny są też jego kończynami”.

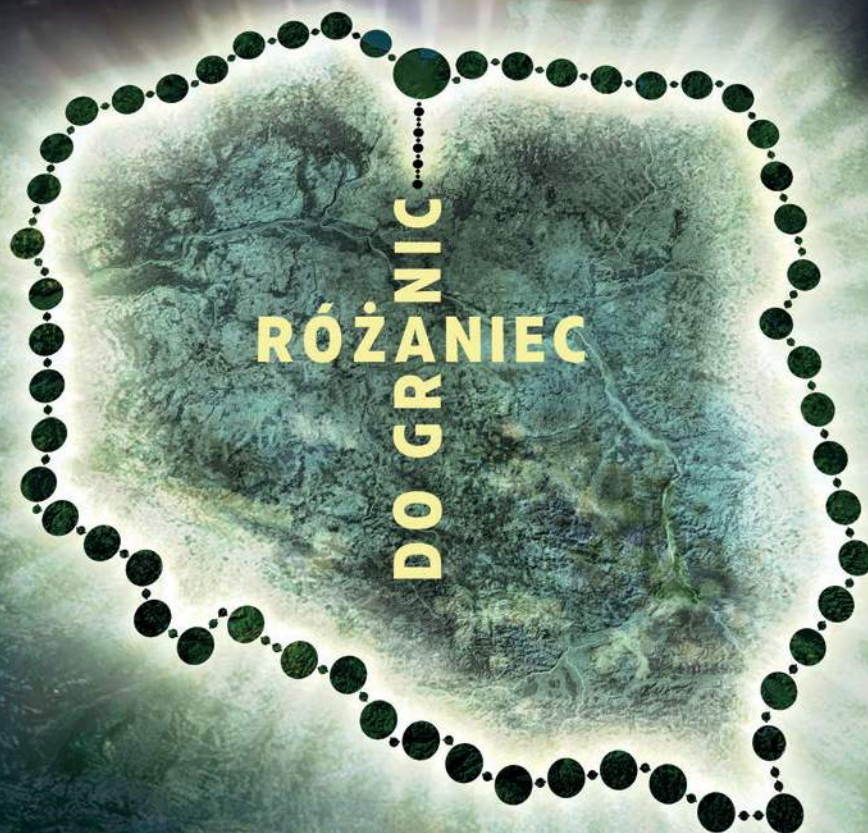
Cytowany fragment nie wygląda, jakby pochodził z thrillera, ale – żaręcam – jest stamtąd właśnie.



★★★★★
GIN PHILLIPS
„DZIKIE
KRÓLESTWO”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2017



RATUJ RÓŻAŃCEM POLSKĘ I ŚWIAT



7 października

Weź udział w wielkiej modlitwie różańcowej na granicach kraju!

Świat bardzo potrzebuje modlitwy. Dlatego staśmy wszyscy na granicach Polski, otoczmy nasz kraj różańcem. Odpowiedzmy na wezwanie Matki Bożej, odmówmy wspólnie cztery części różańca, błagając o ratunek dla Ojczyzny i całego świata.

Program wydarzenia:

10:30 Spotykamy się w kościołach stacyjnych, rozlokowanych wzdłuż całej granicy Polski. Na naszej stronie internetowej możesz wybrać miejsce, do którego chcesz przyjechać.

11:00 Msza Święta.

12:00 Specjalnie przygotowane nabożeństwo eucharystyczne – adoracja.

13:00 Ruszamy do stref modlitwy – wolontariusze prowadzą do wyznaczonych miejsc na całej granicy Polski.

14:00 Modlitwa różańcowa. Zaczynamy o tej samej godzinie na całej granicy, odmawiamy wszystkie cztery części różańca.

16:00 Koniec. Jedziemy do domów, a Błogosławieństwo ogarnia cały świat!

Mecenasi:



Sponsorzy:



Partner:



I pamiętaj – odmawiaj różaniec. Codziennie!

eprasa.pl ed449cf27b

Szczegóły i zapisy na stronie:

www.rozaniecdogranic.pl



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nowy stary horror

Im mniej ludzi wie, kim naprawdę jest Samir, tym lepiej. W przypadku jego książki jest odwrotnie – bardzo przyda się jej rozgłos. Imię to pseudonim, autor dziś przebywa w jednym z obozów dla uchodźców w północnej Syrii, ale w książce opowiada o tym, co widział na własne oczy wcześniej, żyjąc w mieście Rakka opanowanym przez samowznające Państwo Islamskie. Mielśmy już okazję oglądać konflikt syryjski różnymi oczami: działaczy organizacji humanitarnych, dziennikarzy, pisarzy (wystarczy wspomnieć „Zapiski z Homs” Jonathana Littella), teraz przyszedł czas na relację z brzucha potwora, jakim jest nieudany na szczęście (na razie) terrorystyczny kalifat.

Reżim, który opisuje Samir, to typowy reżim bandycki, jego przedstawiciele powołują się na islam, na prawo szariatu, ale dopisują do niego sami dowolne zalecenia. Potem sami tych zaleceń nie przestrzegają, bo i tak rządzą prawo pięści, karabinu oraz miecza. Tak, miecza, bo ulubioną karą w Państwie Islamskim jest ścięcie. „Ścięte głowy tych, którzy przeciwstawili się PI, wieszają się na parkowych ogrodzeniach i latarniach – pisze Samir. – Służą jako okrutne ostrzeżenie”. Kamienowane za cudzołóstwo kobiety, tortury, wszechobecna korupcja – opowieść jest przerażająca.

Samir i jemu podobni (nawet w Państwie Islamskim działają niewielkie grupki opozycyjne) starają się te zbrodnie dokumentować. W tym nadzieja – tłumaczy autor – jeśli świat zobaczy, to może coś zrobi. I przytacza opowieść o masakrze w Hamie w roku 1982, kiedy na rozkaz Hafiza al-Asada wymordowano 35 tys. cywilów. Nikt za granicami Syrii nie protestował, bo nikt o tej zbrodni po prostu nie wiedział.

Świat coś próbuje robić, ale tu opowieść robi się jeszcze bardziej gorzka. W oczach mieszkańców Rakki działania międzynarodowej koalicji to przede wszystkim rosyjskie bombardowania. Żołnierze Putina nie patrzą, gdzie zrzucają bomby. „Czy nie dość terroryzmu cierpimy już na ziemi? – pyta Samir. – A wy nam go też zsyłacie jeszcze z nieba”. Potem podsumowuje akcje militarne podejmowane przez wszystkie strony: w Syrii „wszystko krwawi i umiera – z wyjątkiem reżimu”.

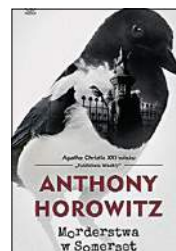
Godna uwagi jest niezwykle dobra graficzna oprawa niewielkiej książki. Przemycane z Rakki zapiski Samira zilustrowano rysunkami Scotta Coella. Dzięki nim publikacja jest nie tylko dokumentem, lecz także wydarzeniem artystycznym – coś jak słynny komiks „Persepolis” Marjane Satrapi o życiu w Teheranie ajatollahów. ©



★★★★★
SAMIR
„ZAPISKI Z RAKKI.
UCIECZKA
Z PAŃSTWA
ISLAMSKIEGO”
INSIGNIS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasyczna powieść kryminalna w duchu dawnych dokonań Agathy Christie. Autor zna się zresztą na klasyce wybornie – to on został wybrany, by pisać nowe książki o Sherlocku Holmesie, ma także na koncie powieść o Bondzie.



ANTHONY
HOROWITZ
„MORDERSTWA
W SOMERSET”
REBIS

Popularni i regularnie wyjeżdżali na Zachód – piłkarze i trenerzy w PRL musieli więc być obiektem szczególnego zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. O tym, jak tropiono m.in. Gadochę, Kasperczaka czy Deynę (czytaj też na str. 64–65).



GRZEGORZ
MAJCHRZAK
„TAJNA HISTORIA
FUTBOLU”
FRONDA

Ciąg dalszy kultowej serii „Autostopem przez galaktykę” (tom zawiera oprócz powieści tytułowej także tom trzeci, czyli „Życie, Wszechświat i cała reszta”). Wznowienie, ale po raz pierwszy w porządnej, twardej oprawie.



DOUGLAS ADAMS
„RESTAURACJA
NA KOŃCU
WSZECHŚWIATA”
ZYSK I S-KA

Zbiór kilkudziesięciu prac historycznych dedykowanych prof. Jerzemu Eislerowi w 65. rocznicę urodzin. Wśród autorów m.in. Marcin Kula, Antoni Dudek, Paweł Kowal, Tomasz Szarota, Andrzej Paczkowski. ©



AUTORZY RÓŻNI
„YESTERDAY.
STUDIA Z HISTORII
NAJNOWSZEJ”
IPN I IH PAN

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY WŚRÓD AUDIOBOOKÓW:

1. **David Lagercrantz** „Mężczyzna, który gonił swój cień” (czyta Adam Bauman) – piąta część bestsellerowej serii „Millennium” wymyslanej przez Stiega Larssona.
2. **George R.R. Martin** „Taniec ze smokami” t. 1. (czyta Krzysztof Banaszyk) – najnowszy tom serii fantasy zapoczątkowanej powieścią „Gra o tron”.
3. **Stanisław Lem** „Solaris” (czyta zespół lektorów) – klasyka nie tylko polskiej fantastyki, lecz także jedna z najbardziej znanych powieści zmarłego w 2006 r. pisarza.
4. **George R.R. Martin** „Gra o tron” (czyta zespół aktorów) – od tego wszystko się zaczęło: wielka sława amerykańskiego pisarza i słynny serial telewizyjny HBO.
5. **Remigiusz Mróz** „Oskarżenie” (czyta Krzysztof Gosztyła) – pracowitość popłaca, szósty tom cyklu o Joannie Chyłce stał się hitem jeszcze przed premierą.

(Najchętniej kupowane audiobooki miesiąca w serwisie Audioteka.pl)

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS!**



Szokujący wywiad z więźniem
niemieckich obozów

- Tomasz Stańczyk – **Pogrom polskiego ziemiaństwa**
Mikołaj Iwanow – **Kto zrobił rewolucję bolszewicką?**
Sławomir Cenckiewicz – **Jak uratowano polskie złoto**
Laura Johnston Kohl – **Gujana: szalona sekta samobójców**
Dariusz Szymanowski – **Na tropie grobu „Hubala”**
Piotr Semka – **Lewaccy terroryści mordują**
Piotr Zychowicz – **Każń profesorów lwowskich**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



KONTRA/BASEM

Etno i filharmonia

Tak się uтарыło, a 12-letnia praktyka potwierdziła, że za sprawą warszawskiego festiwalu Skrzyżowanie Kultur mamy szansę odkrywać wszystko, co najciekawsze na światowych scenach World Music. Zainagrowana w ubiegłą sobotę 13. edycja wygląda niezwykle bogato.

W namiocie przy Emilii Plater spotyka się Ameryka Łacińska reprezentowana przez śliczną Kolumbijkę Martę Gómez, z tureckim kwartetem Baba Zula i afrykańskim DJ-em Chiefe Boimą. Możemy wybierać pasujące nam koncerty. Są też pasjonaci, którzy wykupują karnety, świętując cały tydzień, złożony z sześciu muzycznych wieczorów, warsztatów dla dzieci, kilku wydażeń i tropikanej dyskoteki.



Beskidzko-śląski kwintet Wołosi

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak widać, marka imprezy ściąga etnofanów z całej Polski. W tym roku chciałbym zwrócić uwagę na koncert beskidzko-śląskiego kwintetu Wołosi (bracia Lasoniowie i spółka), z którym gościnnie zagra wirtuoz Félix Lajkó. Młody Węgier opanował perfekcyjnie grę na skrzypcach i cytrze, występując nad Dunajem nie tylko na weselach i wiejskich potańcówkach, lecz także w filharmoniach i najbardziej prestiżowych salach. Tym, co łączy Wołochów i Felixa, jest śmiały wchodzenie w obszar, gdzie zaciera się granica między folklorem a muzyką poważną.

Ich dokonania uważam za znakomite przyczynę do dyskusji nad powołaniem w polskich szkołach i akademiach muzycznych wydzia-

łów, gdzie folklor oraz muzyka źródeł uzyskają prawo obywatelstwa. Takie kierunki istnieją nie tylko w Rumunii, na Węgrzech, lecz także w Szwecji, na Białorusi i Ukrainie. Aby uruchomić instytucjonalne nauczanie folkloru, potrzebna jest tylko dobra wola. Kadra – w osobach choćby znakomitej szefowej festiwalu, Marii Pomianowskiej (wykładała kiedyś wiolonczelę), czy solisty Wołochów, Krzysztofa Lasonia (obecnie prowadzi klasę skrzypiec), już jest. Sukcesy naszych artystów reprezentujących właśnie ten nurt na świecie (Pomianowska, Smoczyński, Lasoniowie) i wzrost zainteresowania muzyką źródeł wśród młodych ludzi sprawiają, że na kierunkach tych nie powinno brakować studentów. © ©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Zaopiekuj się mną – cierpienia Berningera

Niski, lekko mamroczący męski głos robi na kobietach zawsze wrażenie. Jeśli dodamy, że ulubionym kolorem Matta Berningera jest czarny, to mamy idealny album na jesienną deprechę.

Ponura okładka przedstawia ciemny dom z lekko oświetlonym pokojem, w którym rozgrywa się jakiś dramat. Tak, bohater przeżywa kryzys małżeński. O jakże to świetny powód do samczego użalania się nad sobą!

Panie też znajdują wiele powodów, by zakochać się w tej płycie. Przecież ten cierpiący przystojniak wymaga opieki, zrozumienia i wysłuchania.

Nie, to nie jest zła płyta, bo to jest niezły zespół. Trzeba tylko lubić takie melancholijno-depresyjne klimaty. The National są w ich tworzeniu chłodnymi profesjonalistami, a aranżacje braci Dessnerów zasługują na uznanie. Siedem lat temu zespół z Ohio idealnie trafił w czas z albumem „High Violet” i z niszowego stał się kultowym. Tegoroczne tournée po Wielkiej Brytanii jest wyprzedane. Nie dziwiota, bo tam ponoć ciągle śpią.

I jeszcze jedno. Wiarygodności cierpieniom Berningera dodaje to, że w pisanie tekstów pomagała mu żona Carin Besser. © ©



★★★★★
THE NATIONAL
„SLEEP WELL
BEAST”
4AD



★★★★★
STANISŁAW DANIELEWICZ/
MARCIN JACOBSON
„ROCKOWISKO
TRÓJMIASTO
– LATA 70.”
BERNARDINUM

Monumentalne, pięknie wydane dzieło (ponad 500 stron) poświęcone historii rocka w Trójmieście w latach 1967–1980. Dziesiątki wspaniałych zdjęć, rozszerzone biogramy wykonawców, opisy miejsc... © ©



★★★★★
KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA/
TYMON TYMAŃSKI
„ZŁOTNICKIE”
AGORA

Tradycyjne pieśni złotnickie nagrane z jazzowo-rockowym feelingiem. KTT od ćwierćwiecza uczestniczy w fuzjach muzyki góralskiej z innymi gatunkami. Tymon w roli kreatywnego aranżera i akompaniatora. © ©

MACIEJ PIECZYŃSKI: Używając języka historii, którą się zajmujecie, zaczynaliście jako „podziemie” polskiej kultury. Dzisiaj chyba jesteście na fali?

ARKADIUSZ GOŁĘBIEWSKI:

Budowane z determinacją fundamenty tego festiwalu przyniosły realne korzyści. Zaczynaliśmy jako grupa nielicznych twórców realizujących filmy opowiadające o polskiej historii najnowszej. Brakowało nam miejsc, gdzie możemy prezentować swoje produkcje oraz toczyć żywe rozmowy o tym, jak prawdę historyczną przekładać na język filmu, aby była ona nie tylko prawdziwa, lecz także ciekawa.

Widzów jest coraz więcej. Jednak czy rośnie też liczba artystów zainteresowanych tworzeniem dzieł poświęconych wyklętem, niezłomnym, niepokornym?

W tym roku do konkursu zgłoszono ok. 100 filmów,



Z Arkadiuszem Gołębiewskim, dyrektorem Festiwalu Filmowego „Niepokorni Niezłomni Wyklęci” rozmawia Maciej Pieczyński

Wolna Polska w wolnym świecie

z czego 30 to propozycje konkursowe. Dynamicznie przybywa też twórców zgłaszających swoje projekty filmowe i stylizacje modowe w ramach projektu „Młodzi dla Historii”.

Co wydarzy się podczas tegorocznej edycji?

Tegoroczna edycja odbędzie się pod hasłem: „Wolna Polska w wolnym świecie”.

Udział w niej weźmie spora grupa artystów i świadków historii z zagranicy. Będziemy gościć m.in. Marię Wittner, uczestniczkę powstania węgierskiego z 1956 r., skazaną na śmierć przez komunistyczne władze. Z Los Angeles przyjeżdża Josef Mašín, który jako jeden z nielicznych czeskich partyzantów przedarł się w latach 50. na Zachód, by potem walczyć w amerykań-

skich szeregach na różnych frontach antykomunistycznej wojny. Odwiedzą nas także laureaci naszego konkursu przeznaczonego dla amerykańskiej młodzieży. Na festiwal przyjedzie też lider zespołu Budgie – Burke Shelley – któremu podziękujemy, że w szarych latach komunizmu uchylał nam swoją muzyką drzwi do wolności.

Podczas festiwalu honorujemy też naszych bohaterów narodowych – wręczamy nagrody: Sygnety Niepodległości i Drzwi do Wolności. Przywracamy pamięć nie tylko o polskich bohaterach. Cieszę się, że nasza determinacja inspiruje również inne narody, wyzwolone z oków komunizmu, by naszym śladem odrywały swoje „Łączki”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Festiwal Filmowy „Niepokorni Niezłomni Wyklęci” odbędzie się 27–30 września w Gdyni.

REKLAMA

JEZIORO ŚLABĘDZIE

ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH
ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

26.11.2017 - Gdynia Arena

27.11.2017 - Sala Ziemi - Poznań

28.11.2017 - Dom Muzyki i Tańca - Zabrze

29.11.2017 - TAURON Arena Kraków

30.11.2017 - Hala Torwar - Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Kooperacja koncertowa kopconcerts.com

Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

RMC Classic

Dziennik
Bałtycki

wprost

Rzecz

PANI

STYL

LAVIE

T3

WP

trojmiasto.pl

cgm.pl

DlaWasz

Multikino

VIXON

Nowy wizerunek Marcina Lutra

Fragment książki „Luter. Ciemna strona rewolucji”, która wkrótce pojawi się w księgarniach



Paweł Lisicki



Najpierw było zdziwienie. Wszyscy znają to uczucie: oglądamy obraz, jesteśmy gotowi przysiąc, że go rozpoznajemy, ale coś się nie zgadza. Trochę jak we śnie, tylko całkiem na jawie. I takie właśnie miałem uczucie, gdy patrzyłem na pierwszą stronę niemieckiego tygodnika „Die Zeit”: niby wszystko pasowało do siebie, ale nie całkiem. Po chwili dopiero byłem w stanie nazwać trudność: nie wiedziałem, jak nazwać to, co widzę. Był to papież Franciszek umieszczony w stroju Marcina Lutra lub odwrotnie – Marcin Luter z rysami twarzy obecnego Ojca Świętego. Na pewno z okładki spoglądał nieco zwrócony profilem ku mnie papież, przedstawiony w najbardziej typowym dla siebie ujęciu, z otwartym, szczerym, radosnym niemal uśmiechem, ze zmarszczonymi, przymrużonymi oczami i nieco wysuniętymi białymi, równymi zębami. Tyle że zamiast białej piuski i białej szaty,

tak typowej dla biskupa Rzymu, na jego głowie tkwił charakterystyczny ciemny doktorski biret z czasów renesansu, twarz okalały kędzierzawe loki, spod nakrycia głowy wyskoczył nawet niesforny kosmyk, a cała szyja i tułów opatulone były grubym czarnym płaszczem ściśle przylegającym do ciała. Rzeczywiście, pomyślałem, doskonały to był kolaż, perfekcyjne połączenie oryginalnego zdjęcia i najbardziej charakterystycznego, znanego wszystkim obrazu reformatora wykonanego przez Lucasa Cranacha.

WSPANIAŁA HYBRYDA

Nie tylko jednak technika była godna podziwu, w końcu dzisiejsi fotoedytorzy mogą dokonać prawdziwych cudów, tną, dopasowują, wyrównują, wydłużają, łączą i dzielą w taki sposób, że nikt, nawet obdarzony najsprawniejszym okiem, nie rozpozna, co jest oryginałem, a co kopią, co podstawą, a co zostało

dorysowane. Tym, co mnie uderzyło, był sam pomysł. Prosty i genialny zarazem. Tak, to połączenie, stworzenie osobliwej hybrydy ni to papieża, ni to reformatora było, zdałem sobie z tego sprawę, najlepszym opisem dziwnej duchowej sytuacji, w jakiej znajduje się Kościół. To odczucie wzmacniał jeszcze nieco ironiczny podpis: „To, że papież Franciszek docenia Lutra, jest czymś znanym. Ale aż tak?”.

Była to ilustracja do dużego eseju Juliusa Müllera-Meiningena, opublikowanego 4 listopada 2016 r., o wymownym tytule „Teza. Antyteza. Synteza?”. Właściwie tylko znak zapytania wydawał się w tym tytule zbyteczny. Autor od pierwszego zdania stawiał sprawę jasno: „Ut unum sint” – brzmi hasło ruchu ekumenicznego zaczerpnięte z Ewangelii Jana. Chrześcijanie winni się zjednoczyć, aby przynajmniej dzięki tej jedności ich posłanie zdało się wiarygodne. Nie miał też wątpliwości, że właśnie najlepszym



FOT. STEFANO RELLANDINI/REUTERS/FORUM

bohaterem wydarzenia był bez dwóch zdań papież Franciszek, któremu towarzyszył kardynał. Ledwo dostojni goście znaleźli się na podwyższeniu, z głośników ryknęła głośna muzyka: „You'll Never Walk Alone” – piosenka znana doskonale fanom ze stadionów piłkarskich, a w roku 2016 hymn towarzyszący imprezom i przedsięwzięciom ekumenicznym.

O dobrą atmosferę spotkania zadbał zresztą wcześniej sam Ojciec Święty, który kilka dni przed przyjazdem do Lund udzielił wywiadu jezuickiemu pismu „Signum”. To, co się w nim znalazło, w czasie wspólnych modłów w katedrze nawet jeszcze podkreślił. Można podsumować – zauważył autor tekstu z „Die Zeit” – że papież dokonał pełnej rehabilitacji Marcina Lutra. Faktycznie, słuchając wypowiedzi, czytając teksty i spoglądając na gesty, trudno było wyciągnąć inne wnioski. W wywiadzie dla „Signum” Ojciec Święty opowiadał o swoich doskonałych relacjach z luteranami, których poznał jeszcze za młodu w Argentynie. Chwalił panią prymas Kościoła Szwecji, arcybiskupkę Antje Jackelén, z którą najwyraźniej znajduje wspólny język: dwukrotnie odwiedziła go w Watykanie, Ojciec Święty poznał też męża pani prymas. Można sądzić, że obaj panowie też przypadli sobie do gustu. Poza komplementami dla pani arcybiskup papież twierdził, że katolicy mogą się nauczyć od luteranów przede wszystkim dwóch rzeczy: reformy i Pisma Świętego. Nie chciał wspominać o żadnych problemach, choćby o radykalnym, może się wydawać, zwrocie luteranów ku lewicy i odrzuceniu przez nich jakkolwiek rozumianej wierności moralnej tradycji chrześcijaństwa. Według Ojca Świętego są to problemy dla teologów, on zaś jest pełen entuzjazmu i cieszy się na wspólną modlitwę oraz dzieła miłosierdzia. Najwyraźniej takie drobiazgi znajdują się poza horyzontem zainteresowań Franciszka.

Zbliżenie z luteranami jest wielkie – wskazywał papież – a jedynym wyzwaniem jest zagrożenie sekciarstwem. „Jedno kryterium winno być dla nas w każdym razie jasne: prowadzenie prozelityzmu na polu kościelnym jest grzechem”. Nie ma mowy o nawracaniu luteranów na katolicyzm, wszelki taki pomysł należy uważać za grzech – wynika ze słów papieża. W kraju, w którym luteranizm przez wieki był oficjalną religią państwową, a w okresie 1617–1781

konwersja Szwedów na katolicyzm była karana śmiercią, później zaś wygnaniem, słowa papieża, same w sobie dziwaczne, zabrzmiały wręcz groteskowo. Katolickie kaplice, znowu trzeba przypomnieć, mogły się znajdować, podobnie jak księża, jedynie na terenie obcych ambasad, np. francuskiej czy hiszpańskiej. Dopiero po 1860 r. Szwedom wolno było bezkarnie przechodzić z luteranizmu na inne wyznanie chrześcijańskie. Opowiadać dziś, że nawracanie protestantów na katolicyzm, i to przy zachowaniu całkowitej wolności, stanowi grzech, i robić to w kraju, który przez wieki siłą niszczył Kościół, używając do tego wszystkich sił państwa... Jak to nazwać? – pytam.

W ogóle Ojciec Święty pokazał, że wielkich wymagań nie ma – wskazał choćby na to, że pozytywnym krokiem jest już choćby przejście od postawy ateizmu do agnostycyzmu. Faktycznie, trudno nie uznać tego za swoisty minimalizm. Jak poważnie wziął sobie do serca sprawę walki z prozelityzmem, pokazuje i to, że do ostatniej chwili papież nie chciał odprawić w Szwecji mszy katolickiej. Ustąpił dopiero wskutek usilnych próśb miejscowych katolików, ale uczynił to w taki sposób, żeby katolicka msza nie zakłóciła wymowy ekumenicznego spotkania. Franciszek tłumaczy: „Odpowiadając na gorącą prośbę wspólnoty katolickiej, zadecydowałem, że odprawię Mszę, przedłużając ją podróż o jeden dzień. Chciałem bowiem, aby Msza była sprawowana nie tego samego dnia i nie w tym samym miejscu, co spotkanie ekumeniczne, aby uniknąć pomieszania dwóch planów. Zostanie zachowane głębokie znaczenie spotkania ekumenicznego według ducha jedności, który jest moim duchem”. Najwyraźniej jakakolwiek ostentacja, a za taką uważał Ojciec Święty odprawienie mszy tego samego dnia, kiedy to odbywały się modlitwy ekumeniczne, była wykluczona. Znowu czytałem te słowa i szczyptałem się w policzki. Papież, którego wierni muszą prosić, ba, na którym wywierać muszą presję, żeby odprawił mszę w kraju, w którym przez tyle wieków ich prześladowano, a on, łaskawca, zgadza się, ale tak trochę chyłkiem i ukradkiem, żeby nic nie zakłóciło dobrych relacji z luteranami?

LEKARSTWO BRATA MARCINA

W wywiadzie tym papież mówił też wyjątkowo ciepło o dziele Marcina

sposobem osiągnięcia tej wymarzonej, wyteśknionej, ewangelicznej jedności były uroczystości 500. rocznicy reformacji w Szwecji, gdzie 31 października przybył papież Franciszek.

Tekst opisuje entuzjazm tłumów zgromadzonych na wielkiej arenie w Malmo, kiedy to ku scenie sunął oświetlany jasnym światłem reflektorów mały golf z czterema gośćmi, wciśniętymi do wnętrza nie największego przecież auta i przez to nieco zaambarasowanymi. Byli to m.in. dwaj pastorzys, nie pierwsi lepsi zresztą, ale szczególnie, bo przewodniczący Luterskiego Związku Światowego Munib Younan, Palestyńczyk, oraz jego sekretarz Martin Junge, Niemiec – reprezentowany przez nich związek zrzesza 145 kościołów i 74 mln luteranów. Przynajmniej statystycznie jest to potęga. Jednak tym razem to nie ich obecność przyciągała uwagę patrzących, wiernych, komentatorów, ciekawskich. Głównym

■ Lutra – chciał on na początku reformować Kościół, przygotował nawet dla niego lekarstwo, jednak to nie zostało przyjęte. Od Lutra należy się – zdaniem Franciszka – nauczyć, że Kościół ma się zawsze reformować. Inną wielką zasługą Lutra ma być – według papieża – odzyskanie Pisma, Słowa Bożego i przekazanie go w ręce ludzi. To samo powtarzają najbliżsi współpracownicy Ojca Świętego. I tak kard. Kurt Koch, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, w czasie jednego ze swoich wykładów na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie podkreślał, że Marcin Luter „w żadnej mierze nie chciał rozłamu z Kościołem katolickim ani założenia nowego Kościoła”. Chodziło mu jedynie o „odnowienie całego chrześcijaństwa w duchu ewangelii”.

Te wątki stale przewijają się w naukach papieża na temat Lutra i wywiad dla „Signum” nie był wyjątkiem. Wcześniej, wracając z Armenii, mówił tak: „Wierzę, że intencje Marcina Lutra nie były błędne: był reformatorem. Być może pewne metody nie były właściwe, ale w tym czasie, jeśli przeczytamy na przykład historię [Ludwiga von] Pastora – niemieckiego luteranina, który następnie się nawrócił, widząc rzeczywistość tego czasu, i stał się katolikiem – widzimy, że Kościół nie był przykładem do naśladowania: istniała korupcja w Kościele, była światowość, przywiązanie do pieniędzy i władzy. I dlatego Luter zaprotestował. Ponadto był inteligentny i zrobił krok naprzód, uzasadniając, dlaczego to zrobił. A dzisiaj luteranie i katolicy, wraz ze wszystkimi protestantami, zgadzamy się co do nauki o usprawiedliwieniu: w tej kwestii tak ważnej nie błędził. Sporządził on »lekarstwo« dla Kościoła, następnie ten lek się skonsolidował w pewnym stanie rzeczy, w dyscyplinie, w sposobie wiary, w sposobie działania, sprawowaniu liturgii”. W podobnym tonie papież mówił w czasie uroczystości w katedrze w Lund, gdzie u jego boku główną rolę odgrywała występująca w roli gospodyni pani prymas. „Z wdzięcznością uznajemy, że reformacja przyczyniła się do przyznania bardziej centralnego miejsca Pismu Świętemu w życiu Ko-



Portret Marcina Lutra pędzla Lucasa Cranacha (1529)
FOT. WIKIPEDIA

ścioła” – nauczał Ojciec Święty. Według papieża Marcin Luter odkrył prawdę, że bez Boga niczego nie da się uczynić. Dręczyło go wciąż pytanie: „Gdzie mogę znaleźć miłosiernego Boga?”. „Luter odkrył tego miłosiernego Boga w Dobrej Nowinie o Jezusie Chrystusie wcielonym, ukrzyżowanym i zmartwychwstałym. Poprzez wyrażenie »tylko z łaski Boga« przypomina nam, że Bóg zawsze przejmuje inicjatywę i uprzedza wszelką ludzką odpowiedź w tej samej chwili, w której stara się wzbudzić taką odpowiedź. Nauka o usprawiedliwieniu wyraża więc istotę ludzkiego życia przed Bogiem”.

Widać zatem już, jakie są główne punkty papieskiego rozumienia Lutra.

Miał on przynieść Kościołowi lekarstwo, które nie zostało jednak przyjęte, jest wzorcem reformatora i nauczyciela, a jego nauka o usprawiedliwieniu nie zawiera błędów, jest wspólną obecnością doktryną katolików i luteranów. Jakikolwiek nawracanie luteranów na katolicyzm jest z tego punktu widzenia grzechem, a szacunek dla nich jest rzeczą najważniejszą. To absolutnie pozytywne podejście do Lutra jest stałą cechą obecnego pontyfikatu. Dwa tygodnie przed przyjazdem do Lund Franciszek spotkał się w Rzymie, w Auli Pawła VI, z tysiącem luteranów przybyłych. Było to wydarzenie nie mniej wyjątkowe niż wspólne modlitwy w Lund. Papież poprosił bowiem, żeby na scenie, na honorowym miejscu, luteranie umieścili figurkę Marcina Lutra, którą przywieźli ze sobą. W darze od luteranów papież przyjął specjalnie oprawiony egzemplarz 95 tez, od których publikacji rozpoczął się reformacja. Ojciec Święty w czasie uroczystości miał też na sobie dwie wstęgi: żółtą – znak papieństwa, i niebieską – symbol luteranizmu. Komentatorzy zwrócili uwagę, że papież zawiązał obie wstęgi i zawiesił na szyi, co miało wyrażać unię dwóch Kościołów. Nie mniej ważne od gestów było przemówienie: „W Kościele największymi reformatorami są święci, innymi słowy, mężczyźni i kobiety, którzy podążają za Słowem Pana i praktykują je. Jest to droga, którą musimy podjąć, bo ona reformuje Kościół i to są wielcy reformatorzy. Oni może nie są teologami, może nie są uczonymi, mogą być pokornymi, ale dusze tych ludzi są przesiąknięte ewangelią, są wypełnieni nią, i to oni są tymi, którzy z powodzeniem reformują Kościół. Zarówno w Kościołach luteranowskich, jak i katolickich są święci, mężczyźni i kobiety o świętym sercu, którzy podążają za ewangelią: oni są reformatorami Kościoła”. Wydaje się, że używając takich słów i posługując się takimi symbolami, Ojciec Święty faktycznie doszedł do granicy, poza którą może być już tylko formalne wyniesienie Lutra na ołtarze. Pewnym problemem może być wprowadzenie, że sam reformator dogmat świętych obcowania odrzucał, że z kultem świętych walczył, uznając, iż żadnych świętych, ludzi zjednoczonych z Bogiem, nie ma, ale



takie błahostki nie wydają się spędzać snu z oczu Ojcu Świętemu.

CHAOS I NIEPOKÓJ

Zwykły lud widzi jedynie narastający chaos i nie rozumie jego powodów. Czasem jednak nawet odziedziczona pobożność i wrodzony instynkt wiary nie są w stanie stłumić niepokoju. Jak to jest bowiem, że znaczek Lutra z okazji 500-lecia reformacji wydaje Poczta Watykańska i umieszcza go w tej samej serii, w której pojawiły się podobizny Matki Teresy z Kalkuty i Jana Pawła II? Jak rozumieć sytuację, w której prymas Polski, abp Wojciech Polak, wchodzi do komitetu honorowego 500-lecia reformacji, chociaż wcześniej Kościół i prymas obchodzili Rok Piotra Skargi? Co zrobić choćby ze ślubami króla Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej i późniejszymi o 300 lat ślubami narodu polskiego na Jasnej Górze? W obu przypadkach przecież zakładano, że Maryja, Matka Boża, jest nie tylko faktyczną królową Polski, lecz także Pośredniczką łask. Czy wszystkie te określenia odnosiły się do czegoś rzeczywistego, czy były tylko wyrazem emocji królewskich lub po prostu polskich? Jak to się wszystko ma to stwierdzenia, że Marcin Luter – jak mówią to watykańskie dokumenty – był świadkiem ewangelii?

Żeby zrozumieć skalę chaosu, wyobraźmy sobie, że polski prezydent wpada na pomysł zbudowania z okazji 100-lecia niepodległości w centrum Warszawy wielkiego pomnika Róży Luksemburg lub przywrócenia dawnego pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Jak zareagowałoby Polacy? Co powiedzieliby o głowie państwa, która postanowiła uczcić ludzi jawnie wrogich idei niepodległości? Tych, którzy powstając z zaborów Polskę zwalczali, nienawidzili jej, uważali ją za zbyteczną. Stojący przez lata na pl. Bankowym monument pierwszego szefa Czeki mógł się tam utrzymać tylko dlatego, że stała za nim brutalna siła komunistycznych władz. Pomysł, by dzisiaj go przywrócić, zostałby, i słusznie, uznany za aberrację, przejaw niepoczytalności, może nawet za zdradę. To, co jest pozytywnym symbolem dla komunistów, dla współczesnych marksistów i lewicowców, dla przywiązanych do wartości narodowych Polaków byłoby skandalem i obrazą. Nawet bez głębokich studiów historycznych ogół zdaje sobie sprawę z niestosowności i niewłaściwości takich pomysłów. Naród nie może

budować pomników chwały tym, którzy nim gardzili, odrzucali go i zwalczali. Gdyby kiedyś jednak tak się stało, gdyby faktycznie w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu pojawił się taki pomysł, świadczyłoby to jedynie o postępującej anemii tożsamości narodowej, byłoby widomym znakiem choroby i paraliżu. Jak nazwać zatem próbę przywrócenia do chwały w Kościele Lutra, tego samego Lutra, który ów podległy papieżowi Kościół miał za tyranie? Który wzywał, by go wszelkimi środkami i za wszelką cenę zniszczyć, a księży, biskupów oraz papieży przepędzić, a nawet, kiedy to konieczne, wytracić.

Zamieszanie jest zresztą jeszcze większe, bo wśród samych biskupów i najwyższych rangą hierarchów nie wszyscy się z Franciszkiem zgadzają. I tak choćby kard. Walter Brandmüller, do niedawna jeszcze przewodniczący Papieskiego Komitetu Nauk Historycznych, powiedział w kwietniu 2017 r., że „traktuje Lutra jako heretyka i słusznie się stało, że został wyłączony z Kościoła”. Czyli jak to jest? Jak kard. Brandmüller może twierdzić, że Luter to heretyk, podczas gdy papież uważa go za lekarza Kościoła? Z kolei inny kardynał, do niedawna przewodniczący Kongregacji Nauki Wiary Gerhard Müller, uznał, że Kościół katolicki pomylił się, ekskomunikując wittenberczyka. Jeszcze dalej poszedł Karl Lehmann, według którego Luter może być dla katolików „ojcem w wierze”, jego wystąpienie może mieć charakter profetyczny, a jego samego należy nazywać „świadkiem ewangelii”.

Sam Ojciec Święty twierdzi, że swoje nowe rozumienie rebelianta z Wittenbergi opiera na gruntownej wiedzy. Tak mówił 31 marca 2017 r., przemawiając do uczestników międzynarodowego sympozjum „Luter 500 lat później”, zorganizowanego z inicjatywy Watykanu: „Uważne i skrupulatne badania, wolne od uprzedzeń i ideologicznych polemik, pozwalają Kościołom prowadzącym dzisiaj dialog rozpoznać i przyjąć to, co było pozytywne i słuszne w reformie i zdystansować się od błędów, przesady i niepowodzeń”. Papież zauważył, że jeszcze niedawno seminarium na temat Lutra w Watykanie byłoby niemożliwe, ale to, że teraz, w 2017 r., do niego doszło, przypisał „dzia-

łaniu Ducha Świętego, który przekracza wszelkie bariery i przekształca konflikty w okazję do wzrostu w jedność”.

Żeby dokładniej zrozumieć, na czym ma polegać nowe spojrzenie na Lutra i na podstawie czego ono powstaje, należy sięgnąć do innych źródeł niż wypowiedzi papieskie. Doskonałym przewodnikiem będzie zapewne kard. Walter Kasper, powszechnie uważany za najbliższego współpracownika Franciszka. Wielu mówi o nim wręcz jako o „papieskim teologu”. Otóż pisze on: „Dla katolików Luter przez lata był wzorcowym heretykiem, który jest winny podziału zachodniego Kościoła wraz ze wszystkimi tego złymi skutkami. Te czasy ostatecznie minęły. [...] Dla wielu Luter stał się wspólnym ojcem Kościoła”. Cóż, ile zdań, tyle pytań. Nie wiadomo, skąd kard. Kasper wie, że „te czasy [kiedy katolicy uznawali Lutra za heretyka] ostatecznie minęły”. Być może jest odwrotnie. Być może, jak to nieraz bywało, Kościół będzie potrafił otrząsnąć się z letargu, zerwać kajdany poprawności i wtedy odzyska własny, mocny oraz klasyczny język?

Nie mniej zagadkowo musi brzmieć uwaga kardynała, że „znaczącego zwrotu w rozumieniu Lutra dokonali katoliccy badacze XX wieku”. Hm, to bardzo ciekawe. Katolickimi badaczami XX w. byli choćby autorzy fundamentalnych dzieł o Lutrze – Heinrich Suso Denifle (dominikanin) i Hartmann Grisar (jezuita) – uważani przez ówczesnych papieży, Leona XIII, Piusa X i Piusa XI, za wielkich katolickich historyków dziejów Kościoła. Nie wierzę, żeby jakikolwiek uczciwy historyk, niezależnie od tego, jakiego jest wyznania, mógł zgodzić się z kardynałami Kasperem lub Lehmannem, twierdzącymi, że Luter może być „wspólnym [dla katolików] ojcem Kościoła”. Jest to prawdziwe horrendum.

Nie chodzi tu, powtarzam, o spór antykwaryczny. Jest tak naprawdę tylko jeden sposób radzenia sobie z wypowiedziami i gestami papieskimi – zamknąć na nie oczy. Tylko nie widząc ani nie słysząc, można usprawiedliwić zachowania Franciszka. Po prostu najwyuczajniej w świecie to, co mówi o Lutrze i luteranach papież, nie mieści się w głowie. Przynajmniej w mojej za nic nie chce się pomieścić.



PAWEŁ LISICKI
„LUTER.
CIEMNA STRONA
REWOLUCJI”
FRONDA 2017



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Gra o tron

Ostrzeżenie: zazwyczaj piszę tu o sprawach najważniejszych. Dzieciach, żonach, kotach, podróżach, skomplikowanych relacjach międzyludzkich. Dzisiaj jednak dla odmiany będzie kilka akapitów o pierdołach. Czyli o polityce. Obiecuję, że szybko to się nie powtórzy.

Problemem obozu dobrej zmiany nie jest to, że – jak to opisują wrogie obecnej władzy media – wszystkim rządzi jeden człowiek – Jarosław Kaczyński. Problem jest dokładnie odwrotny: że jeden Kaczyński nie jest w stanie wszystkim zarządzić i wszystkiego skontrolować. Zwłaszcza że z miejsca, które sobie wybrał, czyli z tylnego siedzenia, jest to trudne.

Idźmy jednak dalej. PiS i, szerzej, prawica są teraz mocno podzielone. Toczone jest coraz ostrzejsza wojna wewnętrzna. Niby nic się nie zmieniło, bo zawsze tak było. Jednak zazwyczaj frakcyjna walka czy też starcia osobowości toczyły się o względy Kaczyńskiego, który wynosił jednych i pogrążał innych. Teraz natura tego konfliktu się gruntownie zmieniła. Coraz wyraźniej widać, że walka nie toczy się o pozyskanie Kaczyńskiego, lecz o schedę po nim. Formują się obozy, które szukają się do przejęcia władzy nad PiS, gdy obecny prezes przejdzie na emeryturę. Zaczęła się gra o tron.

Najpoważniejszym graczem w tej grze jest Zbigniew Ziobro. Trudno nie docenić, że jako polityk Ziobro bardzo dojrzał. Będąc liderem słabiutkiej partii, która

ma w Sejmie ledwo paru posłów, potrafił podporządkować sobie ogromne przestrzenie. Kieruje kluczowym ministerstwem, a związani z nim ludzie są w wielu spółkach Skarbu Państwa, po cichu budują siłę środowiska. Premier Beata Szydło jest jego bliskim sojusznikiem i być może uważa się za lidera tego aliansu, ale może się rozczarować. Ziobro to typowy ogon, który macha psem. I jest w tym świetny.

Na jego rywala wyrasta Andrzej Duda. Nie ma ani struktur, ani armii lojalnych mu ludzi, ale jest bardzo popularny. Ten kapitał jest bezcenny. Ku prezydentowi mogą ciążyć ci ludzie PiS, dla których Ziobro jest zbyt radykalny. I zbyt potężny.

Jest wreszcie Mateusz Morawiecki. Najślabszy gracz w tej konkurencji. Nadal jest on jedynie pół-, a może i ćwierćpolitykiem. I jest obcym ciałem w PiS. Jest jednak członkiem PiS, czego nie można powiedzieć o Ziobrze. Jeśli Joachim Brudziński, aparat PiS-u i zakon dawnych PC-towców uznają, że warto go poprzeć właśnie ze względu na jego słabość, to Morawiecki w grze o tron może się liczyć.

Nie wiem, co nastąpiło, że frakcyjne walki w PiS nabrały charakteru walki o schedę. Czy prezes PiS bąknął coś o emeryturze, czy może dostrzeżono jego przemęczenie, czy może ktoś zajrzał mu w PESEL. Wiem natomiast, że Kaczyński może też szachownicę wywrócić. Wszak jedną z jego ulubionych postaci jest Konrad Adenauer, który wycofał się z polityki, mając lat 87. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Pomnik bezskuteczności i gadulstwa

Coraz bardziej podoba mi się Trump. Może nie jako mężczyzna, to pozostawiam kobietom, ale jego posunięcia – broń dla Ukrainy, twarda linia wobec Korei, walka ze światowym lewactwem i całkowity brak szacunku dla świętych krów. Jedną taką świętą krowę ma pod bokiem, w Nowym Jorku. Mało ryczy, mleka w ogóle nie daje, a nazywa się ONZ. Trudno o przykład mniej funkcjonalnego ciała, nawet Unia jest skuteczniejsza.

Marzenia idealistów legły w gruzach wraz z Ligą Narodów i ONZ było jedynie reanimacją trupa

Od czasu wojny koreańskiej ONZ nie rozwiązała żadnego większego konfliktu, a potrafi jedynie wydawać pieniądze – głównie na własne potrzeby. W dodatku główny sponsor – Stany Zjednoczone – bywa przegłosowywany, stawiany do kąta i nie ma z tego żadnego pożytku. Nawet Rada Bezpieczeństwa (od dawna niereprezentatywna) przez prawo weta nie jest zdolna do prawdziwego

działania. ONZ wzięło się z iluzji Roosevelta, że po wojnie bezpieczny świat jest marzeniem wszystkich. Trudno o większą pomyłkę. Najpierw przez parę dekad Rosja chciała przemałować glob na czerwono. Teraz Arabowie chętnie zmieniliby go w kalifat. Ustępliwość Zachodu i chęć do kompromisu zawsze oceniano jako słabość, a forum międzynarodowe do uprawiania propagandy, dezinformacji i transferu szpiegów. Marzenia idealistów legły w gruzach wraz z Ligą Narodów i ONZ było jedynie reanimacją trupa.

Polityka światowa jest polityką silnych mocarstw bądź mniej lub bardziej trwałych bloków państw. Można sobie wyobrazić jakiś parlament światowy (a w przyszłości nawet i jakiś rząd), ale proporcje w nim musiałyby wynikać np. z PKB konkretnych państw i składek wnoszonych do wspólnej kasy, musiałyby mieć własną żandarmerię, gotową zaprowadzać porządek. Trump jako biznesmen wie, że samym gadaniem, bankietowaniem i narzucaniem świata obcych wzorców kulturowych pokoju się nie zbuduje. Po co zatem dawać szmal na atrapę? Na razie ze swoimi 193 państwami członkowskimi nadaje się jedynie do Księgi rekordów Guinnessa. ©©



LEGALNY „ANTYRADAR” W CENIE JEDNEGO MANDATU

6,5 mln
kierowców
w Polsce

1,5 mln
użytkowników
miesięcznie

350 mln
przejechanych
kilometrów miesięcznie

150 tys.
użytkowników
online

co 3 sek.
kolejne zgłoszenie
w systemie

FIZYCZNE PRZYCISKI

INFORMACJE M.IN.
O KONTROLACH PRĘDKOŚCI

OGRANICZENIA
PRĘDKOŚCI

ECODRIVING

TWOJA LOKALIZACJA

MOBILNY PARKOMAT



Kazimierza Deyny, jednego z najlepszych piłkarzy w historii polskiego futbolu, nie trzeba starszym kibicom przedstawiać. Młodszym zaś wystarczy przytoczyć liczby – 97 występów w seniorskiej reprezentacji i 41 strzelonych bramek oraz jego osiągnięcia – mistrz (1972) i wicemistrz (1976) olimpijski oraz brązowy medalista mistrzostw świata (1974). A ponadto kilka sezonów (1966–1978) w warszawskiej Legii i udział w największych sukcesach stołecznego klubu (m.in. w 1970 r. półfinalista Pucharu Europy, odpowiednika dzisiejszej Ligi Mistrzów).

PRL OCENIA GWIAZDĘ

Jako że Legia była klubem wojskowym, podlegała „operacyjnej ochronie” Wojskowej Służby Wewnętrznej, również nim zainteresowali się „smutni panowie” z WSW. I to jeszcze zanim zaczął grę w stolicy. W 1966 r., kiedy jako młody obiecujący piłkarz (Łódzkiego Klubu Sportowego) znalazł się na celowniku Legii Warszawa. A ponieważ wcale nie chciał w niej grać, zaczął się „ukrywać”, a oprócz milicji szukały go również (zresztą skutecznie) patrole WSW. Zasadniczą służbę wojskową w szeregach Ludowego Wojska Polskiego zaczął 31 października, a trzy lata później (1 grudnia 1969 r.) został żołnierzem „zawodowym”. Notabene, jak pisał w stosownym raporcie: „Proszę swą motywującą tym, że praca w wojsku da mi możliwość uprawiania wyczynowego piłki nożnej [...] i umożliwi mi dalsze dokształcanie się”. Młodszym czytelnikom trzeba w tym miejscu przypomnieć, że polscy sportowcy (w tym piłkarze) byli w okresie Polski Ludowej, przynajmniej na papierze, „amatorami”. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć też, że wcześniej Deynie zasadniczą służbę wojskową przedłużono do trzech lat, aby go zatrzymać w stołecznym klubie, przenosząc go do Marynarki Wojennej, co oznaczało dodatkowe 12 miesięcy „woja”.

Początkowo „żołnierza” Kazimierza Deynę oceniano pozytywnie. Pod koniec 1969 r. jego przełożeni pisali o nim: „Jako wybitny sportowiec polski, a zarazem dość wyraźnie ukazujący swój patriotyzm wobec Ojczyzny obywatel PRL [...] w toku licznych kontaktów z przedstawicielami szerokiej opinii publicznej i sportowej różnych krajów, nieodmiennie wypowiada się, że swoje osiągnięcia zawdzięcza głównie warunkom i pomocy, jakie zapewnia Partia i Rząd PRL szerokim rzeszom sportowców. Akceptuje w pełni socjalistyczną strukturę

Porucznik Deyna na celowniku bezpieki



Grzegorz Majchrzak

Kazimierzem Deyną, podobnie jak wieloma innymi polskimi sportowcami, interesowała się bezpieka. Jako że był „żołnierzem”, obserwowała go głównie Wojskowa Służba Wewnętrzna

naszego kraju”. Później ta ocena się pogorszyła. W przeglądzie kadrowym na koniec 1973 r. pisano o nim: „Nie reprezentował równie wysokiego poziomu sportowego jak w latach ubiegłych i nie był tak przydatny dla zespołu [narodowego – przyp. red.] i klubu, jak to miało miejsce 2–3 lata temu”. Ta surowa ocena zmieniła się nieco podczas kolejnego przeglądu, dokonanego po trzech latach. Zauważano jego „większe zaangażowanie się w proces szkoleniowy”, „wyższy poziom sportowy”. Z kolei na koniec 1977 r. pisano o nim z jednej strony: „Jedyny piłkarz w Polsce, który rozegrał 90 meczów w I reprezentacji krajowej, co jest osiągnięciem na skalę światową”. Z drugiej jednak dodawano: „Jako kapitan drużyny za mało oddziałuje na młodszych kolegów w kierunku kształtowania u nich patriotyzmu i dążenia do jak najlepszych wyników sportowych”.

Dużo gorzej od przełożonych oceniali go oficerowie Wojskowej Służby Wewnętrznej. Pod ich lupą znalazł się w pierwszej połowie lat 70. Jak potem stwierdzano: „Z racji częstych wyjazdów do państw

kapitalistycznych i nawiązywania tam ciekawych z punktu widzenia kontrwywiadowczego kontaktów” znalazł się „w stałym [...] operacyjnym zainteresowaniu” WSW. Był rozpracowywany „ze względu na nawiązanie i utrzymywanie kontaktów” z osobami za granicą i w kraju, które były podejrzewane „o współpracę z obcymi służbami specjalnymi, w tym RFN i USA”. W związku z tym był też przesłuchiwany. Interesowała się nim także bezpieka cywilna – Służba Bezpieczeństwa. Tej również nie podobały się jego kontakty. Zarzucano mu m.in., że podczas mundialu w Republice Federalnej Niemiec (13 czerwca–7 lipca 1974 r. „często wieczorami wychodził z hotelu i bardzo często był widziany w towarzystwie Mariana Szymczaka, pracownika bazy amerykańskiej w RFN”. W tej sytuacji, w sierpniu 1974 r., Kazimierzowi Deynie założono podsłuch na wewnętrzzną linię telefoniczną, z której korzystał.

POŻYCZKA OD SZPIEGA

Działania wobec niego wojskowa bezpieka zintensyfikowała w 1978 r. Ponow-

nie chodziło o jego podejrzone kontakty z obcokrajowcami, w tym uciekinierami z PRL. Dla WSW zapewne szczególnie niepokojąca była jego znajomość z obywatelem Indii Mahendrą Prakashem Vaish, którego w maju 1977 r. aresztowała SB pod zarzutem szpiegostwa na rzecz RFN i Stanów Zjednoczonych – w czerwcu 1978 r. skazano go z tego powodu na karę siedmiu lat więzienia. Nic zatem dziwnego, że piłkarza w tej sprawie przesłuchano (10 marca 1978 r.). Co prawda Deyna w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej przyznał się do znajomości z Hindusem, którego miał znać jedynie z imienia, i opisał swoje z nim kontakty, ale – przynajmniej w ocenie Wojskowej Służby Wewnętrznej – miał być „nieszczerzy i dopiero na przedstawione konkretne fakty dotyczące ich znajomości przytakiwał lub udzielał wypowiedzi z dużą ostrożnością”. Zapewne chodziło o domniemaną pożyczkę 1 tys. marek zachodniemieckich na zakup samochodu – Vaish zeznał, że jej udzielił, a piłkarz stanowczo temu zaprzeczył, stwierdzając, iż żadnych pieniędzy od niego nie pożyczał.

Sprawa jest niejasna. Kazimierz Deyna miał tych kontaktów nie ukrywać. Jak zeznawał: „Wiem, że jako oficer [porucznik WP – przyp. red.] mam obowiązek meldować przełożonym o kontaktach z cudzoziemcami. O swoich kontaktach z Mahendrą meldowałem sekretarzowi generalnemu Legii płk. Olczakowi i członkowi zarządu płk. Dudnikowi”. Na dodatek za ich radą – jak twierdził – podobno je zerwał. Według Wojskowej Służby Wewnętrznej NPW miała rzekomo rozważać jego aresztowanie, z czego jednak zrezygnowano z powodu „braku jednoznacznych dowodów świadczących o możliwości prowadzenia wrogiej działalności”. Czy tak było? Rzeczywiście trudno powiedzieć. Wiadomo natomiast, że protokół przesłuchania Deyny został odczytany (podobnie jak zeznania niemal 50 innych osób) podczas rozprawy obywatela Indii, a piłkarz nie musiał stawiać się w sądzie ani po raz kolejny przed obliczem prokuratora. Być może zatem prawdziwy powód zainteresowania wojskowej bezpieki jego osobą był zupełnie inny – jego plany gry w klubie zawodowym na Zachodzie, w angielskim Manchesterze City.

W każdym razie WSW założyła przeciwko niemu sprawę (w kategorii materiały wstępne) o kryptonimie Mundzio. W jej ramach rozmowę z piłkarzem przeprowadził starszy oficer Oddziału I Zarządu I Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrz-

nej („zabezpieczającego” m.in. warszawską Legię) Marek Chwastek. Uznał on, że Kazimierz Deyna, odpowiadając na pytania o swoje kontakty z cudzoziemcami, nie był szczery i „wie o wiele więcej, niż nam mówi”. Czy tak było rzeczywiście? Tego nie da się stwierdzić. Jeśli tak, to piłkarz sporo ryzykował – WSW mogła nawet zablokować jego zagraniczny transfer. Tak się jednak nie stało. I to mimo negatywnej oceny Deyny ze strony wojskowej bezpieki.

POZORY JARUZELSKIEGO

Według Chwastka miał on rzekomo „nie cieszyć się autorytetem i szacunkiem” wśród kolegów z klubu, a także zachowywać się arogancko „w stosunku do przełożonych i zawodników młodszych wiekiem”. Ponadto miała go ponoć cechować „wyjątkowa dążność do wzbogacenia się”. Oficer WSW zarzucał mu ponadto, że „większość wolnego czasu spędza w środowisku o ujemnej opinii politycznej i moralnej”.

Do ocen tych należy podejść bardzo ostrożnie, wręcz sceptycznie. Trudno np. przypuszczać, aby tak znakomity piłkarz nie cieszył się wśród kolegów z boiska uznaniem – świadczyło o tym m.in. wielokrotne powierzenie mu opaski kapitana, zarówno reprezentacji, jak i klubu. Jak podkreślał zresztą legendarny trener drużyny narodowej Kazimierz Górski: „Jego autorytet widać było na każdym kroku”. A że bawił się zarówno w najlepszych stołecznych lokalach, jak i w mniej ekskluzywnych knajpach Powiśla czy Bródna, to już zupełnie inna kwestia.

Trzeba zresztą podkreślić, że ta opinia wojskowej bezpieki odbiegała od oceny jego przełożonych z wojska. Kiedy w połowie listopada 1978 r. Kazimierz Deyna napisał raport do ministra obrony narodowej Wojciecha Jaruzelskiego o zwolnieniu ze służby wojskowej i przeniesienie do rezerwy, podkreślali oni, że „por[ucznik] Deyna jest wysoce zasłużonym zawodnikiem dla sportu wojskowego”, a także iż „przez cały okres służby wojskowej reprezentował barwy kraju i wojska”. A w opinii specjalnej z tej samej okazji stwierdzali, że „jako zawodnik cechował się pracowitością, zdyscyplinowaniem oraz zaangażowaniem”.

Jak wynika z dokumentów WSW, o losach znakomitego piłkarza zdecydował sam Jaruzelski, a sprawę Deyny miano mu

przedstawić jeszcze we wrześniu 1978 r. Podjął on decyzję, że „zwolnienie z wojska por. Kazimierza Deyny nastąpi przy zachowaniu odpowiednich pozorów, łącznie z notatką w prasie”, a transfer piłkarza do angielskiego klubu odbędzie się „pod egidą PZPN”. Kazimierza Deynę oficjalnie zwolniono (z dniem 21 listopada 1978 r.) z zawodowej służby wojskowej na podstawie rozkazu Szefa Departamentu Kadry MON. Zachował się jednak również wyciąg z rozkazu personalnego ministra obrony narodowej oraz szefa Głównego Zarządu Politycznego Włodzimierza Sawczuka, niestety niedatowany, o zwolnieniu piłkarza za służby i przeniesieniu ich do rezerwy.

22 listopada 1978 r. szefostwo Wojskowej Służby Wewnętrznej poinformowało Biuro Paszportów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, że „nie wnosi zastrzeżeń” do wyjazdu piłkarza do Wielkiej Brytanii. Zgodę na dwuletnią grę Deyny w Manchesterze City wyraziły też władze sportowe – 18 listopada Polski Związek Piłki Nożnej, a trzy dni później Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu. I ostatecznie 25 listopada 1978 r. mógł on zadebiutować w barwach angielskiego klubu.

Nie oznaczało to końca jego rozpracowania przez WSW, która również po jego wyjeździe za granicę, zbierała informacje o nim. I tak np. w lipcu 1986 r., po mistrzostwach świata w piłce nożnej w Meksyku, WSW uzyskała informację (tym razem nie agenturalną, ale po „linii wojskowej”) o jego roli podczas mundialu. Miała być ona ze wszech miar pozytywna. Deyna miał się przyczyniać do mobilizowania polskiej reprezentacji, o której słabych występach wypowiadał się ponoć „prawie z płaczem”. Notabene, mimo że od jego ostatniego meczu w drużynie narodowej upłynęło ponad osiem lat, wyrażał ponoć nawet gotowość do gry, jeżeliby tylko został zgłoszony – do Monterrey, gdzie grała Polska, przyjechał z butami piłkarskimi.

Jakże bardzo jego postawa kontrastowała z zachowaniem niektórych ówczesnych naszych piłkarskich gwiazd, dla których ważniejsza była zabawa (alkohol i panienki) niż godne reprezentowanie kraju. To już jednak zupełnie inna, równie ciekawa historia...



GRZEGORZ MAJCHRZAK
„TAJNA HISTORIA
FUTBOLU. AFERY,
SŁUŻBY
I SKANDALE”
FRONDA 2017



Brygada Świętokrzyska NSZ FOT. WIKIPEDIA

Zły spór o NSZ



Piotr Zychowicz

Lewica wytyka antysemityzm jednostce, która uratowała kilkaset Żydów przed straszną śmiercią

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej specjalną uchwałą uczcił 75. rocznicę powstania Narodowych Sił Zbrojnych. Uroczystość była bardzo wzruszająca, a nastrój podniosły. Na sali polskiego parlamentu byli obecni veterani tej formacji. Jeden z posłów, Zbigniew Gryglas z partii Nowoczesna, przemawiał z sejmowej mównicy z białoczerwoną opaską NSZ na ramieniu. Wszystko to wywołało oburzenie naszej

lewicy, która uznała, że polski parlament uczcił „faszystów i antysemitów”. „Sejm przyjął właśnie haniebną uchwałę, w której stwierdza, że hitlerowscy kolaboranci dobrze zasłużyli się ojczyźnie” – grzmiał Adrian Zandberg, lider radykalnej partii Razem.

Niesmak z powodu uczczenia „kolaborantów III Rzeszy” wyraziła również oczywiście zawsze czujna w takich sytuacjach „Gazeta Wyborcza”. Swoje zaniepokojenie w liście otwartym do prezydenta Andrzeja Dudy i marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego wyraził Sergiusz Kowalski z żydowskiego stowarzyszenia B'nai B'rith. A od posła Grylasa odcieło się jego własne ugrupowanie.

„NSZ były organizacją przynajmniej kontrowersyjną – mówił z kolei prof. Dariusz Stola, dyrektor Muzeum Żydów Polskich. – [Jej członkowie] byli dumni z tego, że są faszystami. Niektórzy z nich

nie znaleźli w sobie wystarczającej bariery, żeby nie współpracować z Niemcami pod koniec wojny. To, że ktoś w jawnej współpracy z Niemcami ewakuuje się na Zachód, no to doprawdy nie znam takiego kraju w Europie, gdzie uznawano by to za powód do dumy”.

Podobnych głosów było znacznie więcej. Spotkały się one z polemikami ze strony zwolenników tradycji NSZ. Część z tych polemik była rzeczowa i merytoryczna, a część mniej, żeby wymienić choćby tekst portalu wPolityce. pl utrzymany w charakterystycznym dla tego medium histeryczno-napastliwym tonie. „Podły atak na Brygadę Świętokrzyską! – napisał anonimowy dziennikarz portalu. – »GW« bierze na cel żołnierzy z Brygady Świętokrzyskiej. Perfidnie uderza się w nich, rzucając oskarżenia o »współpracę z hitlerowcami«! »GW« chce zohydzić NSZ”.

W efekcie, wydawałoby się niewinna, rocznicowa uroczystość zamieniła się w wielką ideologiczną awanturę.

NA ZACHÓD

O co w tym wszystkim chodzi? O marsz na Zachód podjęty w połowie stycznia 1945 r. przez Brygadę Świętokrzyską NSZ. Wbrew temu, co w swojej zdumiewającej wręcz ignorancji napisał redaktor w *Polityce.pl*, dowództwo Brygady rzeczywiście podjęło wówczas współpracę z Niemcami i polska formacja wycofała się przed nacierającymi bolszewikami u boku jednostek Wehrmachtu.

Lokalne porozumienie zostało zawarte najprawdopodobniej za pośrednictwem Hauptsturmführera-SS Paula Fuchsa. Słynnego „Lisa z Radomia”, oficera gestapo, który od 1941 r. próbował nakłonić polskie podziemie do współpracy antykomunistycznej. Brygadzie podczas marszu towarzyszyli oficerowie łącznikowi Wehrmachtu i SS, a żołnierze NSZ otrzymywali od Niemców racje żywnościowe, furaz, elementy umundurowania, obuwie i inne niezbędne materiały. Ranni i chorzy Polacy byli kierowani do niemieckich lazaretów wojskowych.

„Dla ratowania Brygady porozumiałem się z dowództwem fortyfikacji niemieckich, aby przejść przez ich linie na zachód – napisał 19 stycznia w rozkazie do żołnierzy dowódca Brygady płk. Antoni Szacki »Bohun«. – Tym samym weszliśmy w stan niewojowania z Niemcami na czas nieokreślony”.

Niemcy chcieli natychmiast skierować Polaków do walki z nacierającymi bolszewikami i zatkać nimi jedną z dziur frontu wschodniego. Dowództwu jednostki udało się jednak oprzeć naciskom – polscy oficerowie zastrzelali się brakiem niezbędnego sprzętu i przeszkolenia. „Niech panowie sobie nie wyobrażają, że Brygada będzie księciem Józefem Poniatowskim dla III Rzeszy” – miał powiedzieć niemieckim oficerom ppłk. Leonard Zub-Zdanowicz „Ząb”.

Polacy grali na czas i w marcu 1945 r. udało im się dotrzeć do w miarę bezpiecznego Protektoratu Czech i Moraw. Władze niemieckie skierowały ich na poligon w Rozstáni w okolicach Brna, gdzie rozpoczęły się intensywne szkolenia. Na mocy zawartego porozumienia Niemcy przerzucili również na tyły Armii Czerwonej kilka grup wywiadowo-dywersyjnych złożonych z żołnierzy NSZ. Po wylądowaniu na terenie okupowanej przez bolszewików Polski nie wykonywały one jednak zadań powierzonych im przez Niemców.

W obliczu ostatecznego załamania się III Rzeszy 13 kwietnia 1945 r. dowództwo Brygady nakazało dalszy marsz na Zachód. Polacy znowu zmienili front i uderzyli na swoich niemieckich „przymusowych sojuszników”. Jednocześnie przechodząc na stronę armii gen. George’a Pattona. Amerykanie przyjęli ich z otwartymi ramionami i stanowczo odrzucili sowieckie żądanie wydania im żołnierzy Brygady. Po wojnie Polacy służyli w Niemczech w amerykańskich kompaniach wartowniczych.

POLITYCZNY PRAGMATYZM

Przedstawione wyżej fakty dowodzą, że spór nie może się toczyć o to, czy Brygada Świętokrzyska współdziałała czy nie współdziałała z Niemcami. Nie można bowiem zaprzeczać prawdzie. Spór powinien się toczyć o to, czy dowództwo Brygady postąpiło słusznie czy niesłusznie, zawie-

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że dowództwo NSZ nawiązując współpracę z Niemcami, podjęło słuszną decyzję

rając porozumienie z Niemcami. Wbrew stanowisku naszej lewicy uważam, że była to decyzja arcyśluszną.

Zacznijmy od tego, że Brygada Świętokrzyska NSZ wcale nie zawarła tego paktu z powodu rzekomej „bliskości ideologicznej między polskimi a niemieckim faszystami”. Stawianie takiej tezy jest niesprawiedliwe wobec tych oficerów i wynika nie tyle z wiedzy historycznej, ile z ideologicznej niechęci wobec obozu narodowego.

Znane nam materiały źródłowe jasno wskazują bowiem, że decyzja dowództwa Brygady nie wynikała z miłości do Hitlera i narodowego socjalizmu, ale z realnej oceny sytuacji. Była to decyzja taktyczna i pragmatyczna. Oficerowie NSZ podjęli ją, aby ratować swoich żołnierzy przed karami UB i NKWD. Chodziło o ocalenie tych ludzi przed torturami i śmiercią. Nie ma bowiem najmniejszych wątpliwości, że gdyby dostali się w ręce bolszewików, ich los byłby straszliwy.

Cel ten udało się zrealizować. Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej – a było ich około tysiąca – ocaleli.

Na tym zresztą nie koniec. 8 lutego 1945 r. na drodze w pobliżu Kottwitz

Brygada natknęła się na kolumnę polskich jeńców eskortowanych przez SS. Byli to żołnierze AK wzięci do niewoli po kapitulacji Powstania Warszawskiego. Żołnierze NSZ sterroryzowali esesmanów, wyzwolili kolegów z AK i wzięli ich pod swoje skrzydła.

5 maja 1945 r. doszło zaś do jeszcze bardziej spektakularnego wydarzenia. Brygada Świętokrzyska zaatakowała i wyzwoliła niemiecki obóz koncentracyjny dla kobiet pod Holiszowem. Uwolniła w ten sposób kilkaset więźniarek, w tym 167 Polek i ok. 300 Żydówek. Te ostatnie Polacy ocalili przed przerażającą śmiercią. Zostały one bowiem zamknięte w dwóch barakach otoczonych drutem kolczastym. Niemcy szykowali się, aby oblać oba budynki benzyną i spalić kobiety żywcem.

Wszelkie działania polityczne i militarne należy oceniać przez pryzmat ich skutków. To jedyne merytoryczne kryterium oceny. Skutkiem zawarcia porozumienia z Niemcami przez Brygadę Świętokrzyską było zaś uratowanie ok. 1,5 tys. ludzkich istnień. Młodych żołnierzy NSZ i AK oraz żydowskich więźniarek. Wszyscy ci ludzie przetrwali wojnę, mogli założyć rodziny, uczyć się, pracować. Żyć.

Nie mam więc najmniejszych wątpliwości, że dowództwo NSZ nawiązując współpracę z Niemcami, podjęło słuszną decyzję. W przeciwieństwie do dowództwa Armii Krajowej, które swoim żołnierzom nakazało współpracować z bolszewikami (to oczywiście nikomu nie przeszkadza!). Przeprowadzona przez AK akcja „Burza”, w przeciwieństwie do marszu Brygady Świętokrzyskiej, przyniosła bowiem narodowi polskiemu olbrzymi wpływ krwi.

Pośród wszystkich negatywnych reakcji na sejmową uchwałę w sprawie NSZ najbardziej zasmucił mnie list żydowskiej organizacji B’nai B’rith. W przeciwieństwie do wielu apologetów NSZ nie mam zamiaru udawać, że formacja ta składała się z miłośników Żydów, którzy brzydzili się antysemityzmem.

Wydaje się jednak, że z perspektywy Żydów w ocenie Brygady Świętokrzyskiej kwestią dominującą powinno być uratowanie Żydówek z Holiszowa. Gdybym był na miejscu pana Sergiusza Kowalskiego zamiast pisać list protestacyjny do prezydenta, napisałbym apel do Yad Vashem. Apel o pośmiertne nadanie członkom Brygady Świętokrzyskiej NSZ tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czy Rosja straci Kaliningrad?

Gdzie zacznie się III wojna światowa? Pewnie większość ludzi na świecie odpowiedziałaby na to pytanie bez wahania – w Korei Północnej. Tadeusz A. Kisielewski wskazuje jednak na inny potencjalny punkt zapalny. To przesmyk suwalski. Niewielki pas terytorium Polski oddzielający Białoruś od obwodu kaliningradzkiego.

Według analiz sojuszu północno-atlantycznego przesmyk jest obszarem NATO najbardziej zagrożonym atakiem Rosji. W przypadku wojny z Zachodem Rosjanie musieliby go błyskawicznie opanować, aby zapewnić sobie lądowe połączenie Kaliningradu z Białorusią, a co za tym idzie – z rdzenną Rosją.

O tym, jak bardzo poważnie Moskwa traktuje ten teatr działań, świadczą choćby zakończone kilka dni temu manewry „Zapad 2017”. Nawiasem mówiąc – Tadeusz A. Kisielewski nie mógł wydać swojej ciekawej książki w lepszym momencie.

Co powinna robić Polska w obliczu rosyjskiego zagrożenia? Oczywiście zbroić się po zęby. Stwierdzenie tego oczywistego faktu to banał. Tadeusz A. Kisielewski wskazuje jednak i na inną, znacznie

mniej oczywistą sprawę. Otóż Polska i jej sojusznicy w NATO powinni wszelkimi środkami wspierać... Łukaszenkę.

Białoruski przywódca jest, jaki jest, ale udaje mu się utrzymać suwerenność swojego kraju. W momencie, gdy Białoruś ją straci, rosyjskie armie staną na polskiej granicy.

Co by było, gdyby doszło do takiej wojny? Biorąc pod uwagę dysproporcję sił między NATO a Rosją, wydaje się, że Moskwa stoi na przegranej pozycji. Tadeusz A. Kisielewski cytuje opinię znanego amerykańskiego analityka Phillipa Petersena: „Rosjanie muszą zrozumieć, że jeśli Gwardyjska Armia Pancerna przybędzie do Polski, to tu zginie i straci Kaliningrad. Że to jest pewne i nie podlega negocjacjom”.

Kisielewski wskazuje, że Rosja jest państwem, które posiada dwie kolonie. Jedną zewnętrzną – wspomniany Kaliningrad, i jedną wewnętrzną – Syberię.



★★★★★
TADEUSZ A. KISIELEWSKI
„PRZESMYK SUWALSKI. ROSJA KONTRA NATO”
REBIS

„Nie ma powodu uważać – pisze autor – że obu tych terytoriów kiedyś również nie dotknie proces dekolonizacji”.

Brzmi pięknie. Pytanie tylko: Czy państwa NATO w momencie kryzysu odważą się użyć swoich czołgów, rakiet i samolotów? Czy też może schowają głowę w piasek? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Noce i dnie” Barańskiej

Moda na ekranizację lektur szkolnych nie jest nowym pomysłem. Już w PRL chętnie filmowano klasykę. Zekranizowano praktycznie wszystko, co można było sfilmować bez problemów z cenzurą, a niektóre produkcje były nawet nominowane do Oscara. Jedną z nich były „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, które wyreżyserował Jerzy Antczak.

Reżyser uległ presji żony i pozwolił jej „mówić własnym głosem”

Zapewne nie byłoby ekranizacji „Nocy i dni”, gdyby nie upór jego żony, Jadwigi Barańskiej. Usłyszała, jak w radiu powieść czytał Gustaw Holoubek, i nakłoniła męża, aby pomyślał o jej sfilmowaniu. Antczak zapalił się do pomysłu, chociaż wiedział, że wcześniej dwukrotnie przenoszono fragmenty powieści Dąbrowskiej na mały ekran. W 1971 r. zrealizowano spektakle telewizyjne („Bogumił i Barbara” oraz „Noce i dnie”), a w rolę Barbary wcielały się: Joanna Jędryka i Halina Łabonarska. Kreacja żadnej z nich nie mogła jednak równać się z rolą Barańskiej, która stworzyła prawdziwe arcydzieło sztuki aktorskiej. Potrafiła nadać tej roli sympatyczne rysy. Gdyby nie Barańska, zapewne Barbara w filmie Antczaka również pozostałaby wyłącznie

zgrzyliwą żołą zadręczającą męża swoimi obsesjami.

Reżyser uległ presji żony i pozwolił jej „mówić własnym głosem”, dzięki temu pani Niechcicowa „kochala Bogumiła nawet wtedy, gdy go nie kochała”. Paliła wprawdzie dużo papierosów (w obowiązkowej długiej „lufce”), ale robiła to tak sympatycznie, że widz wiedział, iż próbowała tylko rozładować emocje. W pierwszej ze wspomnianych inscenizacji telewizyjnych w rolę Bogumiła wcielił się Jerzy Kamas, który u Antczaka miał zagrać Daniela Ostrzeńskiego, brata Barbary.

Byla to prawdziwa superprodukcja. Zdjęcia realizowano przez 2,5 roku w naturalnych plenerach, dworek Niechciców wybudowano na terenie PGR Seroczyn. Aby dodać autentyczności, wykopano nawet staw i przesadzono kilkaset starych wierzb. Wydzierżawiono także część okolicznych pól – w czasach Niechciców uprawiano przecież zupełnie inne rośliny niż w epoce PRL. Niektóre sceny zrealizowano również w Pogorzeli w pobliżu Mińska Mazowieckiego, natomiast ujęcia niszczenia Kalińca (Kalisza) nakręcono na krakowskim Kazimierzu.

Premiera „Nocy i dni” (23 września 1975 r.) zakończyła się ogromnym sukcesem. Film nominowano do Oscara, wielkim powodzeniem cieszył się również serial telewizyjny. A wszystko to dzięki uporowi i zdecydowaniu Jadwigi Barańskiej. I jak tu nie wierzyć w kobiecą intuicję? ©©

Niedziela 12:00



Tomasz Sakiewicz

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line ► www.telewizjarepublika.pl

Hiszpańska gorączka



Olivier Bault

Spór o niepodległość Katalonii się zaostrza. Separatyści nie zamierzają stosować się do hiszpańskiego prawa, a władze krajowe za wszelką cenę nie chcą dopuścić do zorganizowania referendum

Na mocy ustawy przyjętej 6 września przez parlament w Barcelonie 1 października ma dojść do referendum na temat niepodległości katalońskiej wspólnoty autonomicznej, tj. jednej z 17 wspólnot autonomicznych, z których na mocy konstytucji z 1978 r. składa się Królestwo Hiszpanii. Chociaż już 7 września hiszpański Trybunał Konstytucyjny zawiesił w trybie doraźnym ustawę o referendum mającym doprowadzić do utworzenia Republiki Katalońskiej, to rząd i większość parlamentarna Katalonii mówią jasno, że nie zamierzają się tym przejmować. W przeciwieństwie do 2014 r., kiedy doszło do „konsultacji ludowej” (takiej nazwy używano po wyroku TK zakazującym referendum). Zapewniają też, że wynik głosowania będzie dla nich wiążący. Katalończycy przyjęli już nawet ustawę, która ma być czymś w rodzaju tymczasowej konstytucji niepodległej Katalonii.

A zatem katalońscy separatyści idą na całość, zgodnie ze swoimi zapowiedziami sprzed dwóch lat, gdy koalicja partii niepodległościowych Junts pel Sí (JxSí – Razem dla Tak) przyjęła razem ze skrajnie lewicową, separatystyczną CUP uchwałę o swoim zamiarze przygotowania fundamentów pod nową, niepodległą Republikę Katalońską. Warto przy tym przypomnieć, że JxSí i CUP razem wzięte to 71 posłów

w 135-osobowym parlamencie katalońskim i że dostały one w wyborach z 2015 r. odpowiednio 40 proc. i 8 proc. głosów przy frekwencji na poziomie 75 proc. Aby móc przegłosować obie ustawy, dając władzom krajowym minimalny czas na reakcję, separatyści zmienili w ostatniej chwili porządek obrad 6 i 7 września oraz nie przeszli przez procedurę normalnie przewidzianą dla projektów ustaw. Dlatego też opozycja w parlamencie katalońskim nie wzięła udziału w głosowaniach.

GOTOWI NA NIEPODLEGŁOŚĆ?

Ważne mogą okazać się w tym kontekście czystki polityczne, których od miesięcy dopuszcza się kataloński rząd Carlesa Puigdemonta wobec tych radców (conseillers, czyli ministrów rządu autonomicznego) i wysokich urzędników, którzy mogą się wydawać zbyt mało entuzjastycznie nastawieni do sprawy niepodległości. Najgłośniejszy przypadek to ogłoszona 14 lipca wymiana szefa Mossos d'Esquadra, czyli autonomicznej policji katalońskiej, na zagorzałego zwolennika niepodległości Pere Solera. Obecność separatysty na czele siły liczącej 17 tys. policjantów mogła nie być bez znaczenia dla przebiegu sierpniowych zamachów w Barcelonie i Cambrils. Zastanawia zwłaszcza fakt, że podjęto decyzję o niedopuszczeniu do domu, w którym miał miejsce wybuch dzień przed zama-



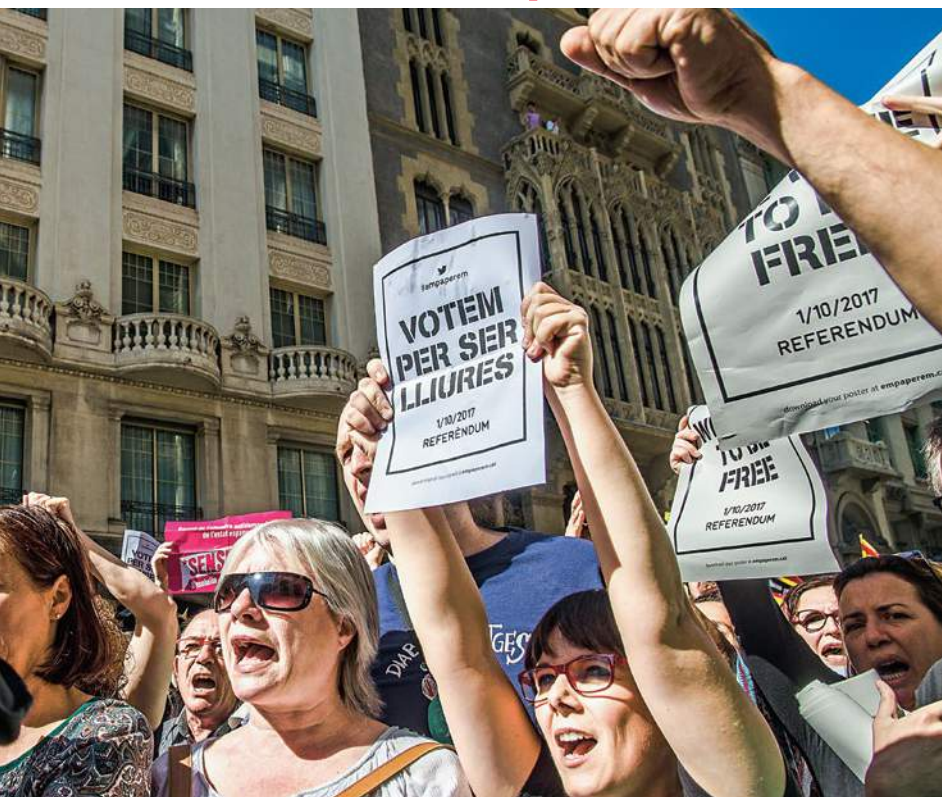
Po aresztowaniu wysokich rangą urzędników biorących udział w przygotowaniach struktur Republiki Katalońskiej doszło do licznych protestów ulicznych. FOT. SOPA/CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

chami w miejscowości Alcanar, bardziej doświadczonych antyterrorystów z policji hiszpańskiej i Guardia Civil bezpośrednio po zdarzeniu. Kto wie, czy gdyby nie przekroczenie swoich kompetencji przez Mossos d'Esquadra i brak pełnej współpracy z ogólnokrajowymi służbami nie można byłoby uniknąć zamachów?

Kilka dni po ataku terrorystów związki zawodowe Guardia Civil i policji hiszpańskiej wydały komunikat, w którym skarżyły się na odsunięcie ich od śledztwa przez Mossos d'Esquadra. Cała akcja antyterrorystyczna przed zamachami i po nich sprawiała wrażenie, jakby najważniejsze w tej sytuacji dla władz regionu było pokazanie, że Katalonia jest gotowa na niepodległość.

OSTRA REAKCJA RZĄDU

Niestety, o ile w „konsultacji ludowej” z listopada 2014 r. wzięło udział tylko nieco powyżej jednej trzeciej uprawnionych do głosowania (w tym mieszkańcy bez obywatelstwa hiszpańskiego), o tyle w referendum z 1 października, jeśli do niego w ogóle dojdzie, zamierza według sondaży brać udział ok. 60 proc. uprawnionych, z których względna większość głosowałaby na „tak”. Możliwe zatem, że separatyści postanowią ogłosić niepodległość z poparciem np. jednej czwartej albo jednej trzeciej wyborców, korzystając z tego, że



przeciwnicy niepodległości podzielił się na tych, którzy postanowią nie wziąć udziału w nielegalnym referendum, oraz na tych, którzy pójdą zagłosować na „nie”.

Jeśli tak się stanie, to mniejszościowy rząd premiera Hiszpanii Mariano Rajoya na pewno zyska poparcie centrowej partii Ciudadanos i socjalistów, aby zawiesić autonomię Katalonii i przejąć stery nad tą autonomiczną wspólnotą, gdyż pozwala mu na to art. 155 hiszpańskiej konstytucji. Część krytyków uważa, że powinien był to już zrobić, ale aby to uczynić, premier potrzebuje poparcia socjalistów, którzy na razie nie wyrazili zgody na taki krok.

Rząd Rajoya, prokuratura i sądy próbują więc uniemożliwić organizację referendum bez zawieszania autonomii Katalonii. I tak np. poczta blokuje listy i materiały związane z organizacją referendum, a Guardia Civil konfiskuje wszelkie materiały wyborcze. W jednej z akcji z 19 września dysponująca nakazem sądowym Guardia Civil przeszukiwała lokal firmy kurierskiej Unipost i zarekwirowała dużą ilość materiałów wyborczych. W lokalu Unipost agenci mieli także szukać kart wyborczych nadesłanych przez władze regionu. Hiszpańska policja odwiedziła też zakłady mogące produkować urny wyborcze, aby upewnić się, że nie realizują one żadnego zamówienia dla władz regionu. Dodatkowo sąd w Barcelonie nakazał operatorom

telekomunikacyjnym blokować strony internetowe mające informować Katalończyków o nadchodzącym referendum.

20 września prokuratura i siły porządkowe poszły o krok dalej, przeszukując biura katalońskiego rządu i aresztując 14 wysokich rangą urzędników biorących udział w przygotowaniach pierwszych ustaw i struktur Republiki Katalońskiej, które mają zacząć funkcjonować dzień po referendum. Wśród aresztowanych znajdował się najbliższy współpracownik wiceprezydenta rządu autonomicznego Oriola Junquerasa. Operacja ta spowodowała liczne protesty uliczne. Przygotowując się na dalszy wzrost napięcia, rząd Mariano Rajoya zamierzał potroić przed 1 października siły policji i Guardia Civil w Katalonii i wyczerperował już cztery duże statki pasażerskie jako wsparcie logistyczne dla tych wzmoczonych sił.

Poza tym prokuratura hiszpańska na początku miesiąca wszczęła kilka spraw przeciwko prezydentowi Puigdemontowi, członkom jego rządu i przewodniczącej parlamentu Carme Forcadell, zarzucając im niestosowanie się do wyroków Trybunału Konstytucyjnego, łamanie prawa i sprzeniewierzenie pieniędzy publicznych (na organizację nielegalnego referendum). Prokuratura wezwała na przesłuchania kilkudziesięciu burmistrzów, którzy odpowiedzieli pozytywnie na wniosek rządu

Puigdemonta o potwierdzenie dostępności lokali wyborczych.

Z kolei ministerstwo finansów w Madrycie uruchomiło mechanizm kontroli nad wydatkami Katalonii, o czym poinformowało banki, i przejęło kontrolę nad „istotnymi” wydatkami niepokornego regionu. Może to zrobić, gdyż to budżet centralny, a nie wspólnoty autonomiczne, zbiera większość podatków. Ministerstwo finansów zawiesiło więc transfer miesięcznej kwoty 1,4 mld euro na rzecz Katalonii, z której wypłacane są m.in. wynagrodzenia 170 tys. katalońskich urzędników i z której spłacani są wierzyciele Katalonii (stąd potrzeba zawiadomienia banków). Minister finansów Cristóbal Montoro zapowiedział także szczegółową kontrolę wszystkich służbowych kart kredytowych używanych przez najważniejszych urzędników katalońskich. Chodzi o to, aby uniemożliwić separatystom wydatki związane z organizacją nielegalnego referendum.

LEWICA CHCE PODZIAŁU

Istotne dla separatystów będzie, czy pani burmistrz Barcelony Ada Colau, stojąca na czele koalicji popartej m.in. przez Podemos, a także przez socjalistów, udostępni 1 października lokale wyborcze miasta na potrzeby referendum. Chociaż lewicowa Ada Colau osobiście opowiada się za tym, żeby Katalończycy mogli wziąć udział w referendum, to jednocześnie wie, że zaryzykuje dużo, jeśli przyczyni się do organizacji nielegalnego aktu wyborczego. W połowie miesiąca ogłoszono jednak porozumienie między partiami separatystycznymi, rządzącymi Katalonią, a niektórymi partiami koalicji Colau w Barcelonie. Porozumienie to miałoby umożliwić organizację referendum w stolicy, nie narażając instytucji i urzędników miasta.

Katalońscy separatyści cieszą się także poparciem m.in. skrajnie lewicowej burmistrz Madrytu Manuela Carmeny oraz skrajnie lewicowej, separatystycznej partii baskijskiej EH Bildu. Chociaż Podemos nie popiera referendum, jego kataloński odłam Podem już tak. Z kolei marksistowski prezydent Wenezueli Nicolás Maduro twierdzi, że skoro hiszpański premier nie chce pozwolić na referendum w Katalonii, to oznacza to, że jest dyktatorem. Podobnie jak w latach 30. XX w. separatyzm kataloński może liczyć na sojusz ze skrajną lewicą w swoich wysiłkach na rzecz rozbicia Hiszpanii. Oby i tym razem nie doszło w końcu do wojny domowej.



Teresa Stylińska

Zdecydowana większość pożarów lasów ma związek z działalnością człowieka. Hektary wypalanej ziemi czasem mają bliski związek z polityką i ekonomią

W ostatnich miesiącach na ekranach telewizorów nie raz ani nie dwa można było zobaczyć szalejący żywioł, który bezlitośnie pustoszył południe Europy, zagrażając ludziom i zwierzętom, niszcząc przyrodę. Nadejście jesieni przynosi uspokojenie. Na razie. Czy zawsze tak będzie? Niekoniecznie. Wśród specjalistów panuje opinia, że pożary lasów przesuwają się w przestrzeni i w czasie. Coraz częściej płoną lasy w Skandynawii, rzecz do tej pory niezwykle rzadka, a tu i ówdzie do pożarów dochodzi już w marcu – tak jak w tym roku w Irlandii, gdzie wczesną wiosną masowo płonęły zarośla janowców. Skoro może palić się na wiosnę, to równie dobrze może i jesienią.

Na stronie internetowej EFFIS (European Forest Fire Information System), biura informacji o pożarach lasów działającego przy Komisji Europejskiej, widać jak na dłoni, gdzie płoną lasy. Na mapie Europy nawet teraz, u progu jesieni, czerwone kropki gęsto wypełniają południe – od Portugalii do Turcji. Wystarczy kliknąć w kropkę, by uzyskać zwięzłą informację i link do jej źródła. Na północ od Alp i Karpat nie ma ani jednej kropki.

Nie tylko natura decyduje o tym, co i gdzie się pali. Również człowiek – i nie tylko dlatego, że może zaproszyć ogień. Może o wiele więcej: doprowadzić do zaniedbań, które ułatwią rozprzestrzenianie się ognia, oszczędzać na prewencji, a nawet uznać, że las jest niepotrzebny, bo zajmuje teren, który może przynieść o wiele większy dochód.

ZA SPRAWĄ LUDZI

Ekstremalnie wysokie temperatury, brak opadów, susza, silne wiatry – na południu Europy tak jest każdego lata. To normalne. Pogoda to czynnik kluczowy, jeśli chodzi o rozmiary pożaru i wyrządzonych szkód, ale ogień pojawia się przede wszystkim za sprawą ludzi – uważają znawcy tematu.



Pożar lasu i

Zdaniem specjalistów z Grecji, która pod wieloma względami ma za sobą najgorsze doświadczenia, bez udziału człowieka wybucha zaledwie 5 proc. pożarów lasów. Za resztę odpowiedzialni są podpalacze, inspiratorzy, a także zwykłe gapy i zapominalscy. W sierpniu 2007 r. w gigantycznym pożarze, który ogarnął Elidę w zachodniej części Peloponezu, 36 osób zginęło tylko dlatego, że pewna kobieta zapomniała o postawionym na kuchence garnku, w którym rozgrzewała oliwę.

Niezależnie jednak od przyczyn, które składają się na wielkie pożary, reperkusje polityczne są zaskakująco podobne. Opozycja nigdzie nie przepuszcza okazji, by wytknąć rządzącym zaniedbania. Ci z kolei niezmiennie dowodzą, że winni są poprzednicy, czyli dzisiejsza opozycja, bo gdy była u władzy, nie dbała o stan lasów.

Obie strony grzeszą niedostatkiem refleksji. Chociaż dobrze wiadomo, że zjawiska ekonomiczne i społeczne rzutują na stan lasów, zarośli oraz pastwisk, a zatem również na ich podatność na ogień, to mało kto się tym przejmuje. Między naturą polityki a naturą lasu istnieje po prostu fundamentalna sprzeczność. Las wymaga długofalowych działań, których skutki są widoczne dopiero po pewnym czasie. A politycy czasu nie mają. Potrzebują efektów szybkich, a jeszcze lepiej natychmiastowych.

Skutki owego braku wyobraźni odczuli w tym roku zwłaszcza mieszkańcy portu-

galskiej miejscowości Pedrógão Grande i podateńskich miasteczek, a także turyści spędzający wakacje w Prowansji oraz na greckich wyspach Zakynthos i Kefalonia. Tegoroczny bilans nie został jeszcze zamknięty, ale wszystko wskazuje na to, że na południu Europy mogło spłonąć nawet kilkaset tysięcy hektarów. W samej tylko Grecji, jak szacują strażacy, ogień strawił 100 tys. ha. Większość pożarów nie spowodowała ofiar śmiertelnych, ale zrekomensowała to z nową siłą Portugalia, gdzie w czerwcu śmierć w ogniu poniosły aż 64 osoby.

BUDYNKI ZAMIAST DRZEW

Lasy nie były utrzymywane jak należy. Nie prześwietlano ich i stały się zbitą gęstwiną drzew oraz zarośli. Przestano wyrąbywać przecinki. Nie dbano o oczyszczenie stromych zboczy z krzaków, przez co ogień z łatwością rozprzestrzenił się coraz wyżej. Zawiodły też metody ostrzegania. Informacja w Internecie to za mało. Trzeba objechać cały zagrożony teren i przez megafon informować o konieczności ewakuacji.

W taki sposób grecki Sąd Najwyższy podsumował błędy i zaniedbania, które doprowadziły do wspomnianych pożarów z 2007 r. – największej w Europie tragedii ostatnich lat. W nie tak wielkim przecież kraju spłonęło wówczas ponad 250 tys. ha lasów, sadów i ziemi uprawnej, śmierć poniosło w sumie ponad 80 osób, zniszczone



ROT NURPHOTO/GETTY IMAGES

polityka

zostały tysiące domów i gospodarstw. Winni zaniedbań stanęli przed sądem i zostali skazani, ale wielu oburza przewlekłość postępowania i to, że wyroki więzienia można zamienić na grzywnę. Sprawiedliwość okazała się bardzo nierychliwa. Tylko nieliczni spośród tych, którzy stracili bliskich albo majątek, otrzymali odszkodowanie. Pozostali muszą procesować się nadal.

Gdy w kolejnych latach w ogniu stanęły zbocza wzgórz górujących nad Atenami, mało kto wierzył, by przyczyną mogło być przypadkowe zaproszenie. Paliły się tereny tak atrakcyjne, że podejrzenie od razu padło na deweloperów. Greckie przepisy zabraniają stawiania domów na terenach zalesionych, ale gdy las się spali, budować wolno. Pokusa, by usunąć przeszkodę, jest więc tyleż ogromna, co oczywista. Nie przypadkiem, jak twierdzą greckie media, w ostatnich latach na wypalonych terenach leśnych stanęło ponad pół miliona budynków. W starciu z deweloperami lasy są bez szans.

Ocena, jaką sformułował grecki Sąd Najwyższy, przy pewnych niuansach lokalnych może też doskonale pasować do innych krajów. Zaniedbania są powszechne również dlatego, że południe Europy to kraje najmocniej dotknięte przez kryzys. Wszystkie one miały i nadal mają powody, by szukać oszczędności. Leśnicy, ekolodzy, strażacy – a więc ci, którzy mają bezpo-

średnio do czynienia z pożarami i ich skutkami – są pewni: rozmiary ognia i szkód nie byłyby tak wielkie, gdyby nie prowadzona przez władze polityka radykalnego ograniczania wydatków.

Mniej wymierne są rezultaty zmian dokonujących się powoli, przez lata, na skutek szeroko pojmowanych przeobrażeń gospodarczych i społecznych. Za pożary, jak to obrazowo ujął brytyjski dziennik „Guardian”, „należy winić kombinację wielu czynników: zaniedbań ze strony władz, odpływu ludności ze wsi i zniknięcia stad owiec i kóz”. Na tym polu, zdaniem specjalistów, działają dwa wzajemnie powiązane czynniki o pierwszorzędym znaczeniu: wyludnianie się wsi i ogromny spadek liczby hodowanych zwierząt. Trawa, nie wyskubana przez owce i kozy, ale za to wysuszona do cna, to wprost wymarzony nośnik ognia. A gdy nie ma stad, nie ma też pasterzy, a więc nikogo, kto mógłby zauważyć tłące się płomienie.

Bywa i tak, że związek między zmianami w gospodarce a ogniem jest oczywisty. To przypadek Portugalii, gdzie powszechne niegdyś dęby i sosny są wypierane przez łatwopalne eukaliptusy. Za ich uprawą, pod kątem potrzeb przemysłu papierniczego, przemawiają względy ekonomiczne: eukaliptusy rosną znacznie szybciej niż inne gatunki i nie wymagają wiele pracy. A że płoną w zawrotnym tempie? Po każdym pożarze sadzone są ponownie,

bo właściciele spalonych terenów wiedzą, że szybciej odrobnią straty. Błędne koło się zamyka.

ORĘŻ POLITYCZNY

– To, co się teraz dzieje, zostało starannie zaplanowane. Tylko wczoraj na Zakynthos odnotowano 15 ognisk pożarów. Jeśli to nie było celowe podpalenie, to cóż to mogło być? – te słowa ministra sprawiedliwości Stawrosa Kontonisa wywołały w Grecji prawdziwą burzę. Minister, choć nie powiedział tego wprost, w czytelny sposób sformułował bowiem teorię spiskową: za pożarami stoją przeciwnicy lewicowego rządu Syriza, dążący do skompromitowania go i odsunięcia od władzy. Tej tezy nie zdołano jednak udowodnić.

Podobnie jak sugestii, że pożary, które ogarnęły okolice miasta Carros w Prowansji, mogły być aktem terroru. Teoretycznie nie jest to niemożliwe, bo ogniem można terroryzować ludzi równie skutecznie jak wielką ciężarówką. We Francji, która w ostatnim czasie doświadczyła aktów terroru w wyjątkowo dużym natężeniu, tego rodzaju podejrzenia wydają się dość zasadne. Niemniej dochodzenie je rozwiało, okazało się bowiem, że sprawcami byli po prostu dwaj młodzi podpalacze.

Za to przywódcy tureckich Kurdów nie mają wątpliwości: pożar lasu to groźna broń w wojnie, jaką toczy z nimi państwo tureckie. Latem ubiegłego roku ostrzały i bombardowanie terenu z powietrza sprawiły, że koło miasta Lice w prowincji Diyarbakir w ogniu stanęły lasy na obszarze aż 50 tys. ha. Czy było to działanie celowe wojska? Kurdowie twierdzą, że tak.

Pożary lasów, jak to bywa z klęskami naturalnymi, zmieniają też układy polityczne. Portugalii jesienią czekają wybory lokalne i bardzo możliwe, że rządzący socjaliści zapłacą za to, co się stało w Pedrógão.

Pożar lasu, taki zwłaszcza, który całkowicie wymyka się spod kontroli, stanowi bowiem doskonały oręż polityczny, skuteczny tym bardziej, że przemawiający do każdego. Gdy w Grecji w 2009 r. rząd Kostas Karamanisa przegrał wybory parlamentarne, jego klęskę łączyło właśnie z pożarami.

Nic więc dziwnego, że obecny rząd Grecji dmucha na zimne i obiecuje wszechstronną naprawę. Jak szumnie ogłoszono, wreszcie przyjęte mają być przepisy, które zakazą budowania na spalonym terenie. Sęk w tym, że wprowadzenie tego rodzaju zakazu obiecywały rządy po wszystkich poprzednich pożarach. Tylko że nigdy się to nie udało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: Donald Trump zagroził w zeszłym tygodniu Korei Północnej „totalnym zniszczeniem”. Tymczasem Seul niechętnie podchodzi nawet do pomysłów dokonania przez USA precyzyjnych uderzeń w kluczowe północnokoreańskie instalacje. Z czego to wynika?

KIM BYUNGKI: Ten opór ma już swoją historię. Przypomnę tylko, że w 1994 r., za rządów Billa Clintona, Amerykanie byli bardzo blisko uderzenia na Koreę Północną, by zatrzymać jej program atomowy. Nie zaatakowali wtedy jednak z uwagi na sprzeciw południowokoreańskiego prezydenta Kim Young-sama.

Dzisiaj może się wydawać, że był to potworny błąd.

Tylko że Korea Północna – w związku z tym, że Ameryka była poza jej zasięgiem – z pewnością zaatakowałyby swojego „zakładnika”, czyli Koreę Południową. Być może również Japonia znalazłaby się na jej celowniku. Oczywiście Korea Północna w przypadku wojny uległaby kompletnemu zniszczeniu, ale zanim by do tego doszło, według poważnych szacunków zniszczone zostałyby również 75–90 proc. południowokoreańskiej infrastruktury.

Pamiętajmy też, że dziś Korea Północna w rewanżu może sięgnąć również po broń atomową...

Jest więc różnica między tym, jak na opcję siłową patrzy Ameryka, a jak Korea Południowa. Jest to niewątpliwie wielki dylemat.

Co w takim przypadku najbardziej zagrażałoby Seulowi poza północnokoreańską bombą atomową?

Północnokoreańska artyleria dalekiego zasięgu, rozmieszczona tuż przy granicy, o zasięgu 80–100 km. Wiadomo, że Korea Północna ma na granicy 5–8 tys. armat. To jest zabójcze zagrożenie, które naprawdę mogłoby zamienić leżący niedaleko granicy Seul – jedna czwarta całej populacji kraju żyje w stolicy – w „morze ognia”. Spustoszenie, jakiego może dokonać ta artyleria, jest dla nas nie mniej groźne niż północnokoreańskie bomby.

Propaganda reżimu z każdego startu rakiety robi wielki show. Jak bardzo w rzeczywistości zaawansowany jest dziś program rakietowy Kima?

Ten reżim już dysponuje sprawdzonymi raketami o zasięgu do 1,5 tys. km. Wśród ekspertów przeważa opinia, że wciąż pracuje on nad zminiaturyzowaniem głowic, by można je było umieścić



Z prof. Kim Byungkiem, ekspertem ds. bezpieczeństwa narodowego, wykładowcą Korea University rozmawia Piotr Włoczyk

Jak powstrzymać



w pociskach rakietowych. Obecnie prace koncentrują się na zbudowaniu pocisku o międzykontynentalnym zasięgu, który zdolny będzie razić cele na terenie USA. To wszystko jest niezwykle niepokojące, tym bardziej że Koreańczycy z północy robią duże postępy w miniaturyzacji.

Jak dużo mamy czasu, zanim do tego dojdzie?

Szacunki mówią, że od roku do czterech lat.

Duże różnice w szacunkach widać nawet w samej liczbie bomb atomowych.

Gdyby zapytał mnie pan o to trzy lata temu, to powiedziałbym, że liczbę bomb atomowych można szacować w przedziale 8–20. Teraz jednak wygląda na to, że

udało im się już wyprodukować 30–60 ładunków jądrowych.

Jak Korea Północna może dostarczyć te bomby nad terytorium swoich sąsiadów?

Na kilka sposobów. Wspomniałem już o raketach krótkiego zasięgu, ale można wykorzystać do tego celu również artylerię dalekiego zasięgu – można w ten sposób wystrzelić bardzo małe ładunki nuklearne o sile mniejszej niż jedna kilotona [bomba zrzucona nad Hiroszimę miała siłę ok. 15 kiloton – przyp. red.].

Musimy zakładać najgorszy scenariusz, więc trzeba też brać pod uwagę najbardziej prymitywny sposób: zrzućcie lub nawet wyrzucenie jej z samolotu. Pamiętajmy również, że Korea Północna rozwija

północ



FOT. EPA/RAP

Korea Północna ma w rezerwie milion ton ropy naftowej. Wygląda na to, że w przypadku całkowitego odcięcia przez Chiny dostaw w ciągu sześciu miesięcy cała tamtejsza gospodarka stanęłaby w miejscu. To jak wyłączenie respiratora pacjentowi, który leży na OIOM-ie. Bez dwóch zdań groźba realizacji tej wizji byłaby najlepszym sposobem na zakończenie zagrażających światowemu bezpieczeństwu północnokoreańskich programów zbrojeniowych.

Pytanie, czy Chiny i Rosja będą chciały przyprzeć do muru reżim, którego istnienie pod wieloma względami jest im bardzo na rękę.

Chiny uważają oczywiście istnienie takiej Korei Północnej za atut w obliczu znajdującego się tuż przy ich granicach sojuszu Korei Południowej, Japonii i USA. Jednak gdy Korea Północna stanie się potęgą atomową zdolną śmiertelnie razić cele bardzo oddalone od siebie, nikt nie da gwarancji, że w pewnym momencie nie zwróci się to przeciwko Chinom czy Rosji. Pekin i Moskwa rozumieją, i to widać, jak wielki to dla nich problem. Oba mocarstwa muszą bardzo szybko podjąć decyzję, czy chcą powstrzymać Kim Dzong Una, ponieważ wkrótce będzie na to za późno.

A może Kim Dzong Un jest po prostu szalony i w związku z tym nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji? Media uwielbiają przecież nazywać przywódcę Korei Północnej „szaleńcem”.

Nie, Kim Dzong Un nie jest szalony. Natomiast niewątpliwie gra bardzo ryzykownie i w związku z tym jest niebezpieczny. Nie w każdym przypadku rozbicie rzeczy niespodziewanych, zaskakujących jest objawem szaleństwa. Kim Dzong Un jest graczem kalkulującym na zimno, myślącym bardzo realistycznie. Ten reżim rozumie, że każda poważna prowokacja – zarówno konwencjonalna, jak i nuklearna – oznaczałaby dla Korei Północnej totalne zniszczenie.

Północnokoreańskie rakiety przelatujące nad Japonią to nie jest objaw szaleństwa?

Nie. Głównym celem Kim Dzong Una nie jest zagrożenie Japonii. Robi to, by uzyskać odpowiednią pozycję negocjacyjną. Jego najważniejszym celem jest zdobycie oficjalnego potwierdzenia ze strony USA i reszty głównych potęg atomowych, że Korea Północna faktycznie dołączyła do klubu nuklearnego. Następnie, w zamian za ograniczenie liczby rakiet i ładunków jądrowych, ten reżim chciałby, żeby USA wycofały swoje wojska z półwyspu. Zniknięcie amerykań-

skiego straszaka otworzyłoby z kolei przed Kim Dzong Unem zupełnie nowe możliwości... Do tego od lat dąży ten reżim.

Bardzo trudno sobie jednak wyobrazić, że Waszyngton przystałby na takie warunki.

Niestety, ta perspektywa wcale nie jest kompletnie niewyobrażalna. Oficjalnie Amerykanie utrzymują, że nigdy nie uznają Korei Północnej za potęgę atomową, ale wiemy, iż nawet na szczytach władzy w Waszyngtonie są osoby, które mówią po cichu: Korea Północna przecież faktycznie jest potęgą atomową i musimy się w końcu z tym pogodzić.

Jak to się może dalej potoczyć?

Myślę, że tak naprawdę jest tylko jeden realistyczny scenariusz – ponowne pojawienie się na terenie Korei Południowej amerykańskiej broni atomowej.

Przez wiele lat budowa naszej własnej bomby atomowej była tematem tabu. To się jednak zmienia i dziś nie jest to już coś kompletnie niewyobrażalnego.

Myślę, że jeżeli Korea Północna będzie kontynuowała prace nad swoim programem atomowym w obecnym tempie, to za mniej więcej trzy lata nie będzie innego wyjścia i USA sprowadzą do nas własną broń atomową. Jeżeli jednak to nie będzie możliwe, np. z przyczyn politycznych, to wcale niewykluczone, że Korea Południowa i Japonia będą musiały stworzyć własną broń atomową. Następnym krokiem byłyby wtedy nuklearny Tajwan. W przyszłości może więc nas czekać nuklearny wyścig w regionie.

Prawda jest taka, że Korea Północna świetnie rozegrała swoją atomową grę, natomiast wspólnota międzynarodowa niezbyt dobrze się tu spisała.

Jak wygląda życie w cieniu bomby atomowej Kima?

Oczywiście w czasie ostatnich kilku miesięcy wzrosło u nas poczucie zagrożenia, ale mamy przecież silny sojusz z Ameryką. Jesteśmy tym wszystkim zaniepokojeni, jednak nie sposób powiedzieć, żebyśmy byli sterroryzowani. Korea Południowa niejedno już przeszła – to naprawdę twardy naród.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Kim Byungki – wykładowca Korea University w Seulu, ekspert ds. bezpieczeństwa narodowego, doradca południowokoreańskiego Ministerstwa Obrony Narodowej.

program odpalania pocisków rakietowych z pokładów łodzi podwodnych.

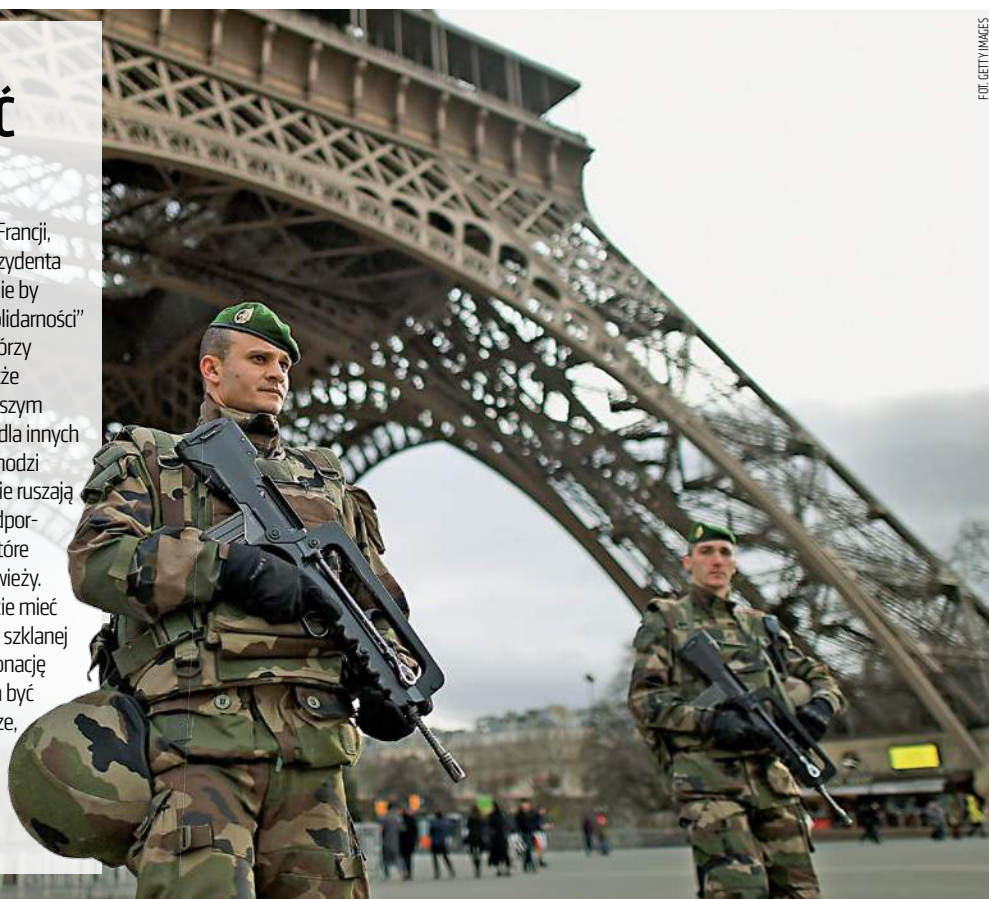
Jest jeszcze jeden sposób, który niesie ogromne zagrożenie: agenci, którzy mogliby dokonać detonacji tzw. brudnej bomby. Niezwykle trudno ich wykryć, co sprawia, że jest to olbrzymi problem.

Amerykanie starają się przekonać inne kraje do nałożenia na Koreę Północną zabójczych sankcji, ale napotykać duży opór ze strony Chin i Rosji. Jakie sankcje mogłyby naprawdę zmusić Kim Dzong Una do zaprzestania zbrojeń atomowych?

Kluczem do powstrzymania agresywnego zachowania Korei Północnej jest całkowite odcięcie jej od dostaw paliwa. Ten reżim w 95 proc. polega w tej kwestii na Chinach i Rosji.

MILIONY NA KULOODPORNOŚĆ WIEŻY EIFFLA

Gdy spojrzysz na to, co dzieje się we Francji, można zacząć rozumieć pretensje prezydenta Macrona. Na jego miejscu każdy pewnie by chciał, żeby w ramach „okazywania solidarności” zabrać do siebie trochę uchodźców, którzy przyjechali nad Sekwanę – pewnie także wielu z tych, którzy są już trzecim i dalszym pokoleniem imigrantów. Bycie miłym dla innych jest bowiem trochę kosztowne. I nie chodzi tylko o zasiłki socjalne. Francuzi właśnie ruszają z przygotowaniami do budowy kuloodpornego ogrodzenia wokół wieży Eiffla, które otoczy główną część ogrodów wokół wieży. Z przodu i z tyłu symbolu Paryża będzie mieć formę trzymetrowej przeciwpancernej szklanej ściany – ta ma wytrzymać nawet detonację bomby. Inwestycja za 20 mln euro ma być gotowa 13 lipca 2018 r. „Le Figaro” pisze, że dzięki temu dzień później Francuzi będą mogli w poczuciu bezpieczeństwa podziwiać tradycyjne fajerwerki z okazji narodowego święta ich kraju.



AWANTURA NA HARVARDZIE

Uniwersytet Harvarda zaprosił na gościnne wykłady niejaką Chelsea Manning. I szybko zaproszenie cofnął. Ponieważ Manning to transpłciowa kobieta. Uniwersytet jednak wykreślił się od wykładów nie z tego powodu. Wcześniej Chelsea była bowiem nie tylko faceitem, lecz także wojskowym. A Bradley Manning – bo tak się wtedy nazywała – odpowiadała za największy wyciek tajnych danych w historii USA. Tych, które trafiły do portalu WikiLeaks. Były wśród nich m.in. tajne raporty z Iraku i Afganistanu oraz informacje o więźniach Guantanamo. Za to Manning został skazany w Stanach na 35 lat więzienia. Wyszedł po siedmiu, po ułaskawieniu go przez ówczesnego prezydenta Baracka Obamę. Po tym, jak w kobiecym wcieleniu zaproszono go na Harvard, z wykładania na uczelni zrezygnował dyrektor CIA Mike Pompeo, który nazywa Manning „amerykańskim zdrajcą”. Uczelnię opuścił też wiceszef CIA Michael Morell. Manning chyba nie usłyszała ich argumentów, bo na Twitterze

napiisała, że jest „zaszczycona”, iż jest „pierwszą odproszoną kobietą transpłciową”.

12 OSÓB W JEDNEJ

W Niemczech aresztowano 27-letniego Sudańczyka, który ubiegał się w tym kraju o azyl. Był poszukiwany przez policję z Hanoweru – tam bowiem wpadł, gdy po raz 13. próbował zarejestrować się pod fałszywą tożsamością, by otrzymać świadczenia socjalne. Najciekawsze jest to, że poprzednie 12 razy mu się to udało. I odebrał niemieckim podatnikom ok. 85 tys. euro. Urzędnicy z Niemiec podobno znaleźli dowody na to, że przed 2015 r. Sudańczyk przebywał w innych krajach UE. Tam także mógł odbierać pomoc socjalną.

SPŁUKANE DZIESIĄTKI TYSIĘCY EURO

Naprawa zatłkanej kanalizacji w oddziale banku UBS i trzech pobliskich restauracjach w Genewie zakończyła się niespodziewanym odkryciem – rury zatłkane były przez pocięte

banknoty o nominałach 500 euro. Ktoś spuścił w ubikacjach w sumie kilkadziesiąt tysięcy euro. Niszczenie banknotów nie jest w Szwajcarii przestępstwem, ale śledczy postanowili tę sprawę zbadać.

UPOLOWAŁ PSA TERAPEUTĘ

Karou – czteroletnia suka rasy tamaskan husky – była wykorzystywana w kanadyjskim centrum rehabilitacji Canine Valley do pracy z dziećmi z autyzmem i osobami z zaburzeniami emocjonalnymi. Gdy w poniedziałek suczka wyszła z właścicielką na spacer, została zastrzelona przez myśliwego. Rasa ta jest podobna do wilków, więc myśliwy tłumaczył, że pomylił psa z dzikim zwierzem, choć celował do niego z ok. 6 m. To tłumaczenie chyba jednak nie wystarczy, bo na tamtym terenie akurat na wilki polować w tym czasie nie wolno.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



CYBERSEC

EUROPEJSKIE
FORUM CYBERBEZPIECZEŃSTWA

DEALING WITH CYBER DISRUPTION

9-10 PAŹDZIERNIKA 2017 R. - KRAKÓW



**Już dziś zarejestruj się
na 1 z 5 najważniejszych konferencji
o cyberbezpieczeństwie w Europie!**



PAŃSTWO



OBRONA



PRZYSZŁOŚĆ



BIZNES

Więcej: <http://rejestracja.cybersecforum.eu/>



@CYBERSECEU

ORGANIZATOR:



INSTYTUT KOŚCIUSZKI

PARTNER MEDIALNY:





SZEWACH WEISS

Marzenia ojca syjonizmu

Minęło 120 lat od pierwszego kongresu syjonistycznego w Bazylei, który odbył się dzięki staraniom dr. Theodora Herzla. Ten Żyd pochodzący z Budapesztu był całkowicie zasymilowany. Do tego stopnia, że jego rodzice nie zdecydowali się na zorganizowanie mu bar micwy. Można zatem powiedzieć, że dla żydowskiego narodu był straconym Żydem. Później wyjechał do Wiednia, skończył prawo, ale został pisarzem i dziennikarzem. Relacjonował z Paryża rozprawę sądową kpt. Alfreda Dreyfusa, zasymilowanego francuskiego Żyda, oskarżonego niesłusznie o zdradę państwa. Rozprawie oficera francuskiej armii towarzyszyły demonstracje antysemickie, m.in. wzywające Żydów do opuszczenia Francji. To była dla Herzla trauma i okropna lekcja. Doszedł do wniosku, że w Europie nie ma miejsca dla Żydów, że muszą odnowić, stworzyć własne państwo i wrócić do dawnej ojczyzny.

Po paryskich doświadczeniach Herzl zamknął się na kilka dni w hotelowym pokoju i napisał chyba najważniejszy dokument narodu żydowskiego w ostatnich 120 latach – „Der Judenstaat” („Państwo żydowskie”). Był to dokładny plan zorganizowania państwa żydowskiego w Palestynie. Opierał się na wartościach europejskich, demokratycznych, poruszał kwestie wolnych wyborów (w których mogłyby uczestniczyć również kobiety, co w tamtych czasach było rzadkością w państwach demokratycznych), zakładał rozdział między państwowością i religią. Herzl był pragmatykiem, stworzył zatem pierwszą kasę syjonistyczną, która później przekształciła się w pierwszy bank syjonistyczny, a następnie w bank narodowy Izraela.

Mimo że Herzl nie był religijny, zrozumiał, że jeśli jego idea

ma się stać ogólnonarodowym ruchem, musi uzyskać wsparcie rabinów i religijnych Żydów. Spotykał się zatem z naczelnymi rabinami w Monachium, Berlinie, Wiedniu, Frankfurtu, ale żaden nie zgodził się na współpracę, tłumacząc, że nie wolno przyspieszać powrotu do starej ojczyzny i Żydzi muszą czekać na Mesjasza. Dopiero rabin w Bazylei, który zajął się sprawami logistycznymi, pomógł Herzlowi zorganizować pierwszy kongres.

Theodor Herzl zmarł młodo w 1904 r. – miał zaledwie 44 lata. Co z jego dziedzictwa się zrealizowało? Państwo Izrael istnieje. Panuje w nim system demokratyczny. Nie ma rozdziału religii od państwa. Partie religijne mają ogromny wpływ na izraelskie prawo i codzienność. Niestety nie udało się dojść do pokoju z naszymi sąsiadami, ale nadzieja na to jest wciąż żywa. Palestyńczycy są w drodze do swojej państwowości, a teraźniejsza sytuacja na Bliskim Wschodzie i to, że w Strefie Gazy stworzyło się państwo kierowane przez Hamas, oddala perspektywę zawarcia pokoju. Jednak naród, który 2 tys. lat potrafi czekać na odnowienie swojej państwowości, z pewnością prędzej czy później znajdzie drogę do zawarcia pokoju ze swoimi sąsiadami.

Czy ruch syjonistyczny zmierz w kierunku wytyczonym przez Theodora Herzla? Nie jestem pewien. Nie brakuje krytyki rządzącej Izraelem od czterech kadencji koalicji, na której czele stoi Benjamin Netanjahu. Padają oskarżenia, że nie sprawuje ona władzy na podstawie wartości liberalnych i demokratycznych. Krytyka rządu to jedno, ale sam system demokratyczny w Izraelu jest bardzo żywy. Czy syjonizm zrealizował się z punktu widzenia żydowskiej migracji? Nie do końca. Istnieje państwo Izrael, które jest bardzo rozwiniętym i nowo-

czesnym krajem, ale żyje w nim nieco ponad 6 mln Żydów, a poza jego granicami – ok. 8 mln. Może dla żyjących w świecie Żydów to, że istnieje państwo, do którego zawsze mogą wrócić, to w głębi serca krzepiąca myśl. Część z nich odwiedza Izrael, a nawet kupuje tu mieszkania, ale nawet jeśli gdzieś poza Izraelem spotyka ich dziś antysemityzm, to nie ma on aż takiej mocy, by przekonać ich do przeprowadzki.

Theodor Herzl spogląda na izraelskich posłów z obrazu wiszącego w Knesecie. Czy przypomina parlamentarzystom o wartościach i celach ruchu syjonistycznego? Wyobrażam sobie, że czasem patrząc na większość parlamentarną w różnych latach, Herzl zasmuca się, widząc, że nie kieruje się ona autentycznymi, liberalnymi wartościami syjonistycznymi. Z pewnością czasami jest zadowolony. I bez wątplenia dumny z tego, że jednak się udało – państwo żydowskie istnieje. Mam podstawy czuć i myśleć, że istnienie tego państwa jest i będzie stałym zjawiskiem politycznym. ©© *oprac. raw*

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

E-składka – jeden przelew na własny rachunek w ZUS

Informację o numerze tego rachunku płatnik dostanie z ZUS listem poleconym w czwartym kwartale 2017 r. Oczywiście list dotrze do płatnika, gdy ZUS zna jego aktualny adres. Jeśli nie zgłosił zmiany danych powinien to zrobić jak najszybciej.

WAŻNE!

Jeśli płatnik do końca grudnia 2017 r. nie otrzyma informacji o numerze rachunku składkowego albo zgubi list, powinien zgłosić się do ZUS albo zadzwonić do Centrum Obsługi Telefonicznej ZUS (nr tel. 22 560 16 00).

Od 1 stycznia 2018 r. wszystkie składki, bez względu na okres którego dotyczą, trzeba wpłacać na indywidualny numer rachunku składkowego. Jeśli płatnik nie będzie znał swojego numeru rachunku składkowego, nie opłaci w 2018 r. składek. Dotychczasowe rachunki będą zamknięte.

Oznacza to, że zamiast trzech albo czterech przelewów będzie wypełniał tylko jeden. Poniesie też niższe koszty. Uniknie także popełnienia wielu błędów, bo nie będzie podawał w przelewach, tak jak obecnie, danych identyfikacyjnych m.in. NIP, numeru REGON czy PESEL, a także okresu i typu wpłaty.

NATYCHMIASTOWE ROZLICZENIE

Dzięki temu, że płatnik będzie miał swój numer rachunku składkowego, ZUS od razu zaksięguje wpłaty na jego

Od 1 stycznia 2018 r. płatnik będzie opłacał wszystkie składki jednym zwykłym przelewem na indywidualny numer rachunku składkowego



koncie. Będą one automatycznie powiązane z jego kontem (kontem płatnika składek).

PROPORCJONALNY PODZIAŁ

Płatnik nie będzie podawał w przelewach jakie składki opłaca i za jaki okres. ZUS każdą wpłatę podzieli proporcjonalnie na wszystkie ubezpieczenia i fundusze. Zrobi to na podstawie składek za ostatni miesiąc, które płatnik wpisał do deklaracji rozliczeniowej albo które wpisał ZUS, jeśli

płatnik był zwolniony z jej przekazywania.

WAŻNE!

Jeśli płatnik będzie miał długi składkowe, to wpłata pokryje najstarszą należność. Dzięki temu nie będą rosły odsetki za zwłokę.

DŁUGI A UBEZPIECZENIE CHOROBY

Płatnik, który ma długi składkowe, nie będzie mógł w 2018 r. opłacić tylko bieżących składek na ubezpieczenia

społeczne (w tym na dobrowolne ubezpieczenie chorobowe), aby korzystać ze świadczeń z ubezpieczenia chorobowego (np. z zasiłku chorobowego). Jego wpłata pokryje najpierw zaległości z odsetkami, a dopiero potem bieżące składki. Poza tym wpłata będzie rozdzielona proporcjonalnie na wszystkie składki.

UKŁAD RATALNY

Jeśli przedsiębiorca nie może spłacić całego zadłużenia a chce podlegać dobrowolnemu ubezpieczeniu chorobowemu i otrzymywać z niego w razie potrzeby świadczenia, to powinien skorzystać z układu ratalnego. Gdy go podpisze ZUS rozliczy jego wpłatę zgodnie z terminem wymagalności raty i bieżących składek. Taka umowa zapewni mu objęcie ubezpieczeniem chorobowym i prawo do świadczeń. W zawarciu układu pomogą doradcy ZUS. Z ich pomocy można skorzystać w każdym oddziale Zakładu. Płatnik, który podpisze układ ratalny będzie spłacał raty na indywidualny numer rachunku składkowego odrębnym przelewem (w terminie wyznaczonym dla kolejnych rat). Będzie mógł również opłacić ratę i bieżącą składkę jedną wpłatą, jeśli zrobi to przed terminem wyznaczonym dla obu tych należności.

W 2018 płatnik jednym przelewem opłaci składki na:

- ubezpieczenia społeczne (emerytalne, rentowe, chorobowe, wypadkowe),
- ubezpieczenie zdrowotne,
- Fundusz Pracy,
- Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych,
- Fundusz Emerytur Pomostowych.





Łukasz Zboralski

Spółki Skarbu Państwa osiągnęły świetne wyniki. Władza chce jednak jeszcze mocniej je kontrolować. Czy nowe statuty nie sparaliżują ich rozwoju?

Dobra zmiana w spółkach to jeden z tematów, którymi rząd często się chwali. I rzeczywiście jest czym. Już w 2016 r. spółki Skarbu Państwa zanotowały spore zyski – Orlen, PGNiG, Lotos czy PZU. Po pierwszym kwartale tego roku widać, że to nie był wyjątkowy rok. Państwowe spółki pobiły rekordy w zyskach, przewyższające te w I kwartale poprzedniego, dobrego dla nich roku. Zysk netto Orlenu wzrósł prawie o 500 proc. (1,92 mld zł), Lotos pochwalił się zyskiem wyższym prawie o 300 proc. (0,41 mld zł). Świetnie mają się też firmy energetyczne. Tauron w I kwartale tego roku miał zysk prawie o 100 proc. większy niż rok temu (0,64 mld zł), a PGE zanotowało wzrost o 11 proc. (0,96 mld zł). O ponad 90 proc. skoczył też zysk PZU (0,94 mld zł).

Jednak dobrze działa się nie tylko u gigantów. Nieźle poszło też jednolubowym spółkom Skarbu Państwa. Wystarczy wspomnieć Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych, która w 2016 r. wypracowała zysk netto na poziomie 234 mln zł.

Chwaląc się w kwietniu w Sejmie dobrymi wynikami gospodarczymi, premier Beata Szydło wypowiedziała znamienne słowa do opozycji: „Wystarczy nie kraść”. Wydaje się, że zgodnie z tą logiką rząd postanowił jeszcze bardziej umocnić kontrolę w państwowych spółkach. Tylko czy kolejne poważne ograniczenie pracy zarządów nie zdusi potencjału rozwojowego tych firm – które też zgodnie z założeniami rządu miały po umocnieniu rozpocząć ekspansję na innych rynkach?

OD MENEDŻERÓW...

PiS od początku zapowiadał obniżenie wynagrodzeń w spółkach z udziałem Skarbu Państwa. Jeszcze w ubiegłym roku przegłosował w Sejmie ustawę, dzięki której o wysokości pensji menedżerów spółek ma decydować sytuacja

i wielkość spółki. Zgodnie z nowymi przepisami dostosowano nie tylko zarobki do wielkości przedsiębiorstwa, lecz także premie – dodatkowe wynagrodzenie nie może przekroczyć 50 proc. podstawowego, a w największych firmach nie może przekroczyć 100 proc. I zależeć ma od konkretnych osiągnięć, m.in. wzrostu zysku netto czy wzrostu wielkości sprzedaży. Ustawa ogranicza też np. prawo do odprawy – menedżer będzie je nabywał dopiero po roku pracy. Odprawy nazywane „złotymi spadochronami” wywoływały w poprzednich latach wiele kontrowersji. Menedżerowie pełniący funkcję tylko kilka miesięcy odchodzili z sowitymi odprawami. I tylko czasem pod presją publiczną – tak jak Maria Wasiak wchodząca do rządu Ewy Kopacz prosto ze spółki PKP SA (miała otrzymać pół miliona odprawy) – rezygnowali z tych pieniędzy.

lony czas. Jednak też utracili prawo do wolnej niedzieli i innych dni ustawowo wolnych od pracy. Czyli nie mogli już np. nie pracować w święta religijne. Stracili też prawo do płatnego urlopu. Od teraz ich czas na wypoczynek miał stać się po prostu bezpłatną przerwą w świadczeniu usług. Pozbawiono ich również prawa do zasiłku chorobowego w przypadku niezdolności do pracy

Spółki na uwieźni rządu

Ustawa nakazywała zmienić kontrakty menedżerskie do czerwca tego roku. Gdy zaczęto to robić, w spółkach wywołało to wielkie poruszenie. Kształt tych zmian był bowiem zaskakujący jak na władzę, która na pierwszym miejscu stawia wartości rodzinne i płynące z wiary chrześcijańskiej. Wystarczy wspomnieć obrazy z Jasnej Góry w grudniu ubiegłego roku, gdy cały rząd podczas kryzysu parlamentarnego szukał oparcia w Opatrzności Bożej, uczestnicząc tam we mszy świętej. Okazało się, że menedżerom przestał przysługiwać okres wypowiedzenia – zgodnie ze zmianami ich kadencje po prostu kończą się wraz z wygaśnięciem umowy zawieranej przecież na okre-

z powodu choroby. Nasi informatorzy nazywają zaproponowane umowy zwykłymi śmieciówkami – takimi, z którymi w innych obszarach rynku pracowników rząd PiS walczy.

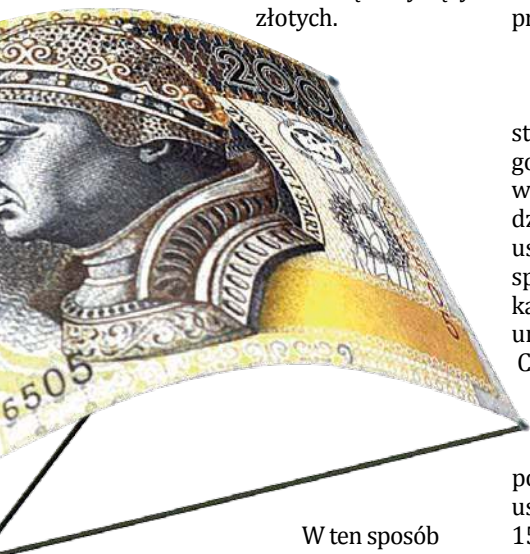


A to nie wszystko. Od tej pory menedżerowie spółek Skarbu Państwa nie mogą bez zgody rady nadzorczej prowadzić jakiegokolwiek innej działalności zarobkowej, czyli nie tylko takiej, która może naruszać zasadę konkuren-



FOT. POLSKA / PAK

cyjności, po prostu każdej – zgodę muszą mieć nawet na wykładanie przedmiotu na uczelni wyższej lub publikowanie prac naukowych. Za zrobienie tego bez zgody grożą im srogie kary, sięgające nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych.



W ten sposób miejsca pracy ważne dla rządu i gospodarki kraju stały się mniej atrakcyjne dla najlepszych fachowców. Jeszcze w 2016 r. odeszło sporo menedżerów z sektora energetycznego – załapując się na wyższe odpłaty, związane z ich kontraktami, które nie zdążyły się zmienić.

Jak wynika z naszych informacji – po wzburzeniu w spółkach niektórzy menedżerowie zdołali osobiście wynegocjować zmiany tych warunków, które większość uznała za niedorzeczne.

... DO STATUTÓW

Spadł jednak właśnie nowy cios. Do sądów trafiły nowe statuty spółek Skarbu Państwa nienotowanych na giełdzie. Ich zapisy przenoszą sporą część kontroli nad działalnością firm na rzecz rad nadzorczych – złożonych z urzędników resortów. W ten sposób zarządom zostaną ujęte kompetencje.

Zdaniem naszych informatorów zmiany są wprowadzane odgórnie i dla wszystkich, bo podobne regulacje znalazły się w regulaminach wielu spółek, takich jak PWPW, Gaz System, PERN czy Polski Holding Nieruchomości.

Co dokładnie się zmieni? Po wprowadzeniu nowych regulaminów zarząd spółki nie będzie mógł sam zawierać umów na usługi doradcze, marketingowe i związane z kontaktami międzyludzkimi (PR) na kwotę przekraczającą 100 tys. zł (netto). Będzie musiał za każdym razem prosić

o zgodę urzędników z rady nadzorczej. To samo dotyczyć będzie zobowiązań warunkowych, poręczeń, gwarancji powyżej kwoty 100 tys. zł. Bariere nałożono też na zakupy – zarząd musi starać się o zgodę RN wówczas, gdy zakup np. nowego sprzętu przekracza kwotę 5 mln zł.

PAŃSKIE OKO KONIA ZAMĘCZY?

W tym ruchu KPRM trudno nie dostrzec chęci stworzenia jeszcze lepszego sita, które mogłoby powstrzymać wyciek publicznych pieniędzy. Nie od dziś wiadomo przecież, że umowy na usługi doradcze czy PR były doskonałym sposobem na wyprowadzanie publicznej kasy do zaprzyjaźnionych firm – takie umowy trudno było też kontrolować.

Chodzi o dziesiątki milionów. Jak ujawnił pod koniec ubiegłego roku minister Antoni Macierewicz, sama tylko Polska Grupa Zbrojeniowa za poprzednich rządów w ciągu kilku lat na usługi doradcze i konsultingowe wydała 15 mln zł. Głośno było też o świadczeniach PR realizowanych przez firmę R4S, którą założył m.in. były rzecznik policji Mariusz Sokołowski, a z którą współpracował były poseł PiS Adam Hofman. Media ujawniły, że firma podpisała m.in. umowę na szkolenie medialne dla członków zarządu Grupy Azoty.

Rząd dawał sygnały, że takie zachowania chce ukrócić, i jeszcze we wrześniu 2016 r. CBA zaczęło kontrolę wydatków na PR, reklamę i marketing w Grupie Lotos, PKN Orlen, KGHM Polska Miedź, Grupie Azoty i PGZ.

O ile jednak kontrolowanie wydatków na takie cele ma sens, o tyle nadmierne ręczne sterowanie może spółkom szkodzić, a nie pomagać. Umowy na doradztwo zawierane są bowiem także np. z kancelariami prawnymi, które za granicą pomagają przy przetargach, gdzie o zlecenia walczą polskie firmy. To norma w wielkim biznesie. Wtedy często liczy się także czas. Menedżerowie spółek obawiają się, że to utrudni im podbój zagranicznych rynków – a właśnie tego, po podniesieniu wyników finansowych, oczekuje od nich rząd. – W radach nadzorczych zasiadają urzędnicy, a ich logika działania polega na tym, i to niezależnie od władzy, która akurat rządzi, żeby nie podejmować decyzji, wtedy na nic się nie narażają – tłumaczy jeden z naszych informatorów ze spółek Skarbu Państwa. – Tymczasem w biznesie o wygraną trzeba czasem zagrać, zaryzykować. Oni tego nie zrobią – dodaje.

Tymczasem polskie spółki są gotowe do ekspansji na inne rynki. Niektóre z nich ją nawet już rozpoczęły, np. PWPW dostarcza już nie tylko dokumenty i banknoty Polakom, bo pieniędzmi wyprodukowanymi w Polsce płacą obywatele kilku krajów Ameryki Południowej. Nad Wisłą produkujemy też paszporty dla obywateli innych krajów – w ubiegłym roku PWPW podpisała dwie umowy i walczy o przedłużenie kontraktu na produkcję paszportów dla Armenii. A na rynku dokumentów zachodzić będzie cyfrowa rewolucja, w której warto zajmować czołowe miejsce. E-dowody mają znaleźć się w rękach Polaków już w 2019 r. Spółka musi wciąż rozbudowywać swój park maszynowy, kilka dni temu do wytwórni wstawiła dwa nowoczesne energooszczędne agregaty.

Duże plany rozwojowe mają też inne spółki, które zostaną dotknięte nowymi regulacjami. PERN w tym roku zapowiedział rozbudowę Terminala Naftowego w Gdańsku. Kolejne pojemniki na ropę naftową mają podwoić możliwości magazynowania tego surowca do 2020 r. Spółka ma ambicje walczyć o miano lidera logistyki ropy i paliw w centralnej Europie.

Inwestować będzie także Gaz-System, który m.in. zarządza terminalem gazu skroplonego LNG. Kilka dni temu przedstawiciele spółki zapowiedzieli rozbudowę terminala. Dzięki temu ma on zapewniać magazynowanie nie 30 proc. polskiego zapotrzebowania na gaz, ale połowy krajowych potrzeb. Do tego polski gazoport ma wejść szerzej na rynek usług i umożliwić obsługę przeładunku surowca z jednego statku na drugi oraz pozwalać na przeładunki bezpośrednio na kolej oraz cysterny.

Czy skracanie kontrolnej smyczy przez rząd nie zaszkodzi w tych planach? I dla czego właściwie państwo zaostreża reguły wobec tych menedżerów, którzy przez ostatni rok sprawdzili się w działaniu?

W odpowiedzi na te pytania Centrum Informacyjne Rządu odpisało nam, że ustawa mająca podnieść jakość zarządzania spółkami i efektywność gospodarowania państwowym mieniem zawiera łagodniejsze wymogi (np. obowiązek zgody RN na wydatki PR po przekroczeniu 500 tys. zł), ale spółki w statutach „mogą zawierać surowsze wymagania”.

„Zmiany te nie ograniczają kompetencji, lecz wprowadzają większą kontrolę ze strony walnych zgromadzeń i rad nadzorczych nad działalnością zarządów i szerzej spółek z udziałem Skarbu Państwa” – uważa CIR. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Od lewej: Włodzimierz Stasiak, wiceprezes BGK Nieruchomości; Tomasz Żuchowski, wiceminister infrastruktury i budownictwa; Grażyna Błaszczak, Nieruchomości z górnej półki; Kazimierz Kirejczyk, prezes firmy doradczej REAS; Piotr Hofman, prezes Grupy Inwest; Maciej Jankiewicz, prezes Polskiego Holdingu Nieruchomości. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– Są firmy, które przystają na takie warunki i współpracują z nami. Rynek jest szeroki, dla wszystkich będzie miejsce, zapraszamy deweloperów do działania. Krajowy Zasób Nieruchomości, który właśnie zaczyna funkcjonować, ma wchodzić w interakcje z szeroko rozumianym rynkiem nieruchomości, więc to nie państwo będzie budować, ale firmy. Jednak na innych warunkach niż u siebie – tłumaczył Włodzimierz Stasiak, wiceprezes BGK Nieruchomości.

Podkreślał, że BGK Nieruchomości stawia warunek na początku negocjacji z firmami chcącymi budować dla państwa: muszą zgodzić się na marżę poniżej 10 proc.

HM INWEST I PHN SĄ CHĘTNE

Jedną z firm, która współpracuje z BGK Nieruchomości w ramach rządowego programu, jest spółka HM Inwest SA.

– Deweloperzy działający w Polsce od ponad 20 lat budują sprawnie i chcą wprowadzać na rynek jak najwięcej tanich mieszkań. To nie jest tak, że mamy eldorado, więc możemy zarabiać 30–40 proc. Nasze średnie marże wynoszą znacznie mniej, kilkanaście procent. Jednak jesteśmy w stanie budować taniej, czyli z ok. 10-proc. marżą przy realizacjach dla odbiorców instytucjonalnych. Ograniczamy bowiem w takiej sytuacji ryzyko niestabilności rynku, koszty marketingu i sprzedaży i koszty finansowania, gdyż mamy odbiorcę instytucjonalnego – tłumaczy Piotr Hofman, prezes Grupy Inwest SA.

Dodaje, że jego firma już zrealizowała dwa projekty dla Funduszu Mieszkań na Wynajem BGKN, a teraz – już w ramach „Mieszkania Plus” – będzie prowadziła kolejne inwestycje dla państwa.

– Aby jednak można było tanio budować, przepisy muszą skrócić proces budowlany. Potrzebna jest „Konstytucja dla branży budowlanej”, czyli ujednolicenie obecnie obowiązujących ponad 140 ustaw, w szczególności: ustawy Prawo budowlane, Ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, wszystkich specustaw, rozporządzenia MIB w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, Ustawy o ochronie praw lokatorów, Ustawy o użytkowaniu wieczystym, Ustawy o gospodarce nieruchomościami, Ustawy prawo

Nadchodzi mieszkaniowa rewolucja



Agnieszka Łakoma

Państwo będzie najpotężniejszym deweloperem w kraju. Nie tylko z powodu największego banku ziemi pod budynki mieszkalne na wynajem. Jak to zmieni układ sił w branży?

Na temat nowego podziału ról na rynku, zasad budowania oraz najmu państwowych lokali dyskutowali goście panelu „Narodowy program mieszkaniowy”, który odbył się w czasie Forum Ekonomicznego w Krynicy. Organizatorem spotkania było Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika.

W czasie dyskusji Tomasz Żuchowski, wiceminister infrastruktury i budownictwa, przyznał, że państwo jest gotowe udostępnić deweloperom grunty pod budynki mieszkalne w ramach programu „Mieszkanie Plus”, ale ci musieliby zrezygnować z marż uzyskiwanych dotychczas na rynku. Te są nie do przyjęcia, jeśli

wziąć pod uwagę niskie limity kosztów budowy mieszkań w rządowym programie. W zależności od miejscowości i projektu budynku mieszkalnego metr kwadratowy lokalu miałyby kosztować 1,7–2,5 tys. zł.

WARUNEK: NISKIE MARŻE

Ile dziś zarabiają deweloperzy? Jedne firmy twierdzą, że mają marżę kilkunastoprocentową, a inne – że zaledwie 10-proc. Jednak analitycy badający rynek mówią, że przy najlepszych projektach deweloper zarabia nawet 30 proc. Czy zatem firma działająca komercyjnie zadowolony się ok. 8–10-procentową marżą – bo na takie można liczyć przy współpracy w ramach „Mieszkanie Plus”?

Niektóre spółki już negocjują umowy dotyczące realizacji inwestycji mieszkaniowych z BGK Nieruchomości, instytucją, która odpowiada za państwowe inwestycje. Podobno chętnych deweloperów przybywa, choć zdaniem wielu firm stawiających mieszkania komercyjnie nie da się dziś wybudować lokali za niewiele ponad 2 tys. zł za mkw. A takie są oczekiwania państwowego inwestora. Do tego mieszkania mają być oddawane pod klucz.

geodezyjne i kartograficzne – wymieniał prezes Hofman.

Jego zdaniem państwo powinno mobilizować gminy, aby uchwalały plany zagospodarowania, co w efekcie uprości inwestowanie. Do tego należy korzystać z prefabrykatów przy budowie budynków mieszkalnych, stosując powtarzalne projekty i pamiętając, że np. windy i parkingi podziemne podnoszą koszty przedsięwzięcia. – Jesteśmy na szarym końcu Europy w liczbie mieszkań na jednego mieszkańca. Teraz mamy szansę to zmienić – uważa prezes Hofman.

W państwowym programie chciałby mieć swój udział także Polski Holding Nieruchomości, który ma plan, by znaleźć się w pierwszej dziesiątce firm deweloperskich, oddając ponad tysiąc lokali rocznie.

– Dostrzegamy potencjał rynku i chcemy wykorzystać rekordową sprzedaż mieszkań. Dlatego też nasza strategia na lata 2014–2023 zakłada m.in. intensywną działalność deweloperską – zapowiada Maciej Jankiewicz, prezes Polskiego Holdingu Nieruchomości. – Widzimy możliwość udziału Grupy Kapitałowej PHN w programach rządowych wspierających politykę mieszkaniową. Oczywiście wszystko zależy od marży, jaką moglibyśmy zrealizować w ramach takiej działalności, bo jako podmiot publiczny, którego akcje notowane są na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, zobligowani jesteśmy realizować projekty, maksymalizując zyski. Spółka ma wieloletnie doświadczenie zarówno w realizacji projektów inwestycyjnych, jak i w wynajmie oraz w zarządzaniu nieruchomościami, co predysponuje ją do pełnienia funkcji operatora w ramach realizacji programu „Mieszkanie Plus” – podkreśla szef PHN.

RYNKOWE REKORDY

Tymczasem segment mieszkań deweloperskich kwitnie. W pierwszej połowie 2017 r. na sześciu największych rynkach mieszkaniowych w kraju (Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań, Trójmiasto, Łódź) firmy wprowadziły do sprzedaży 33,4 tys. mieszkań i rekordową liczbę 441 nowych etapów inwestycji. Jeśli to tempo z pierwszego półrocza się utrzyma, można spodziewać się, że w całym 2017 r. deweloperzy rozpoczną budowę rekordowej liczby ponad 100 tys. mieszkań – wynika z prognoz firmy REAS.

Deweloperzy nie tylko budują na potęgę, lecz także biją kolejne rekordy sprzedaży. Jak szacują eksperci, rocznie dochodzi na rynku pierwotnym do 100 tys. transakcji.

– Na rynku mieszkań kupowanych na własne potrzeby jest dziś równowaga popytu i podaży. Nadwyżka popytu jest widoczna raczej w segmencie lokali nabywanych na wynajem, ale w określonych lokalizacjach, co ma związek z niskimi stopami – uważa Kazimierz Kirejczyk, prezes firmy REAS. – Kiedy pojawiają się alternatywne możliwości inwestowania, to ten popyt wyraźnie zmaleje. Jeśli rząd zmniejszy opłacalność inwestowania w większą liczbę mieszkań, także ten rodzaj popytu zmaleje. Jednak może się utrzymać, gdy rząd – ale raczej już kolejny – zdecyduje się na wspieranie indywidualnego inwestowania np. ulgami podatkowymi – wskazuje prezes.

Jego zdaniem po wzroście stóp procentowych i zmianie innych uwarunkowań rynkowych liczba transakcji zawieranych rocznie na rynku pierwotnym zmniejszy się z ok. 100 tys. do zaledwie 60 tys. w okresie słabszej koniunktury. W takiej sytuacji część firm działających komercyjnie prawdopodobnie będzie zainteresowana współpracą z państwem.

NADZÓR NAD CZYNSZAMI

Od kilku dni działa już formalnie nowa, państwowa instytucja na rynku mieszkań. 11 września 2017 r. weszła bowiem w życie ustawa o Krajowym Zasobie Nieruchomości (KZN). Umożliwi ona m.in. wykorzystanie pod budownictwo mieszkaniowe gruntów należących do Skarbu Państwa.

– KZN pełni funkcję banku ziemi. Będzie gospodarował państwowymi nieruchomościami, przeznaczając je pod budowę mieszkań o atrakcyjnym czynszu, którego wysokość będzie okre-

ślana rozporządzeniem Rady Ministrów. Dostępna będzie opcja najmu lub najmu z możliwością dojścia do własności – tłumaczy Ministerstwo Infrastruktury i Budownictwa.

Zadaniem KZN będzie też nadzorowanie najmu, a w szczególności wysokości czynszów, tak aby opłaty ponoszone przez najemców nie przekraczały wysokości określonych w przepisach wydanych na podstawie ustawy. Za naruszenie wymogów dotyczących wysokości czynszu zostały przewidziane kary administracyjne.

KZN ma również dbać o spełnianie warunków dotyczących powierzchni mieszkań przeznaczonych na wynajem w danej inwestycji, wysokości opłat eksploatacyjnych czy zawierania i wypowiedziania umów najmu. Za jego pośrednictwem będą dokonywane nabory najemców.

Ministerstwo Infrastruktury i Budownictwa przekonuje, że rozwiązania zawarte w ustawie o KZN gwarantują stabilne warunki inwestowania dla przedsiębiorców, ochronę przyszłych najemców oraz interesy Skarbu Państwa.

– Wprowadzone zostały np. regulacje mające równoważyć interesy inwestorów (operatorów mieszkaniowych) z nakładanymi na nich obowiązkami. Będą oni ponosić mniejsze koszty użytkowania nieruchomości w związku z jej oddaniem w użytkowanie wieczyste, część powierzchni będą mogły stanowić lokale usługowe (20 proc. z ogólnej puli wszystkich lokali) oraz mieszkania o charakterze deweloperskim (30 proc. z lokali mieszkalnych). Przy określaniu wysokości czynszu uwzględniany będzie również racjonalny zysk inwestora – zapowiada resort infrastruktury i budownictwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertką Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika.

Potrzeba mieszkań na wynajem

Agnieszka Pilcicka, analityk rynku nieruchomości, Centrum Amron:

– Polski rynek mieszkań na wynajem jest młody i dość mocno opóźniony w porównaniu z najbardziej rozwiniętymi krajami Unii Europejskiej. Według danych opublikowanych przez Eurostat Polska w 2015 r. zajmowała dopiero 22. miejsce – wśród 28 państw unijnych – pod względem udziału osób wynajmujących mieszkania na warunkach rynkowych. Aż 83,7 proc. Polaków zaspokaja swoje potrzeby mieszkaniowe przez zakup lokalu, a 16,3 proc. społeczeństwa wynajmuje mieszkania, z czego zaledwie 4,5 proc. na wolnym rynku.

O ile na tle regionu nie wypadamy najgorzej, o tyle w porównaniu ze średnią UE różnica w odsetku ludności korzystającej z najmu rynkowego wynosi 15 proc., a w odniesieniu do Niemiec czy Danii – ponad 30 proc.

Wyniku przegranej gry Janar Kokk miał tego lata „za karę” zamieszkać przez miesiąc w mieście w Unii Europejskiej, do którego trudno dojechać, oddalonym od lotnisk, mórz, jezior i oceanów. Słowem: w największej dziurze UE. Wybór padł na polski Hrubieszów, liczące 19 tys. mieszkańców miasto w województwie lubelskim, przy samej granicy z Ukrainą. Władze miasta postanowiły przekuć „karną” wizytę Estończyka na narzędzie promocji. Postarały się, by się nie nudził. Kokk i jego żona dostali miesięczny karnet do tutejszego kina, wejściówki na siłownię i konne przejażdżki. Nie unikano licznych, nie tylko lokalnych, mediów, które nagle zaczęły się miejscem interesować. Kokk zrewanżował się, organizując w tym czasie w mieście charytatywny turniej pokerowy im. Henry’ego Orensteina, legendarnego pokerzysty i twórcy zabawek, który urodził się w tym mieście. W imprezie wzięło udział 40 osób. Pokerzysta zapowiedział, że za rok wróci na kolejną edycję.

Reakcja władz miasta była błyskotliwa, jednak Kokk wrócił do domu, a powody, dla których wybór padł właśnie na Hrubieszów, pozostają te same. W opracowaniu Polskiej Akademii Nauk pt. „Delimitacja miast średnich tracących funkcje społeczno-gospodarcze” stworzonym dla Ministerstwa Rozwoju znalazł się wśród miast określonych jako „kryzysowe”, które silnie tracą swoje funkcje i w których sytuacja społeczno-gospodarcza jest skrajnie zła. Bezrobocie w Hrubieszowie wyniosło w lipcu tego roku 13,7 proc., prawie dwa razy tyle co w całym kraju (7,1 proc.). – Największymi pracodawcami są hipermarkety i markety budowlane. Wielu inwestorów woli wybrać Lublin, gdzie koszty są podobne, a dostępność komunikacyjna jest lepsza. Choć mamy korzystne położenie geograficzne, to obecna sytuacja na Ukrainie nam nie sprzyja – tłumaczy „Do Rzeczy” burmistrz Hrubieszowa Tomasz Zajac.

MIASTO NIE ZROBI SIĘ SAMO

Takich miast jest, zdaniem PAN, w Polsce 122. Jeśli ktoś chce poznać stereotypową (ale prawdziwą) opowieść o polskiej transformacji, to powinien posłuchać dziejów Prudnika w województwie opolskim. Tam cieszącą się tradycją sięgającą I połowy XIX w. firmę Frotex, zatrudniającą na początku lat 90. 1,5 tys. osób,

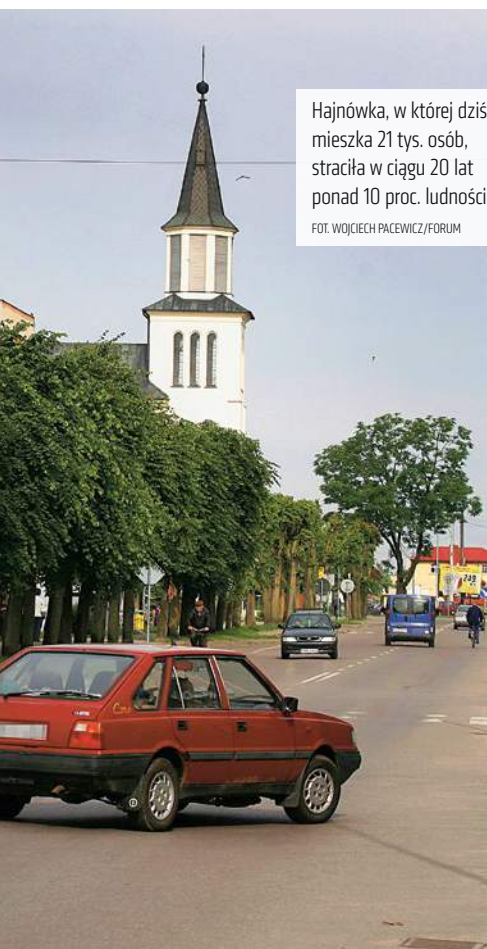


włączono do eksperymentu w ramach Programu Powszechnej Prywatyzacji, co doprowadziło ją do upadku. – Młodzi ludzie uciekają z miasta, a ci, którzy nie mają znajomości, nie mają szans na znalezienie pracy – mówi „Do Rzeczy” tamtejszy senator Prawa i Sprawiedliwości Jerzy Czerwiński. W innej sytuacji są byłe miasta wojewódzkie, które po reformie administracyjnej straciły na znaczeniu. Zdaniem naukowców takie miejscowości jak Zamość i Przemysław mogą stracić nawet 40 proc. mieszkańców do 2050 r., a Wałbrzych czy Łomża jeszcze więcej.

Tylko czy to rzeczywiście problem? Są w Polsce miasta takie jak Biecz i Łęczyca, które przeżywały swoje lata świetności w średniowieczu, a dziś są niewielkimi miasteczkami. Inne zyskały w międzyczasie na znaczeniu. Może tak musi być? Niekoniecznie. Procesy urbanizacyjne rzadko są przypadkowe lub zależą od decyzji stricte rynkowych. Przebieg granic czy podział administracyjny powinny co do zasady odzwierciedlać rzeczywiste podziały, ale ostatecznie są dziełem rządzących. To władza decyduje, gdzie powinien mieścić się urząd czy funkcjo-

nować publiczna szkoła wyższa. Choć prywatnemu przedsiębiorcy w gospodarce rynkowej nikt nie nakaze, by inwestował w danym ośrodku, to będzie wolał robić to w miejscowości, w której znajdzie jak najlepiej wykwalifikowanych pracowników, nie zaś na odludziu, do którego nie da się dojechać, dolecieć ani dopłynąć. A infrastruktura zależy także głównie od współpracy władz centralnych i lokalnych. Naukowcy oraz politycy dyskutują, jaki model rozwoju jest lepszy – „polaryzacyjno-dyfuzyjny” czy „równoważonego rozwoju”.

Ten pierwszy stawia na wzmocnienie dużych ośrodków, z których bogactwo ma skapywać na mniejsze ośrodki. Jego zwolennikiem był Michał Boni, który wskazał nań jako na lokomotywę naszego rozwoju w raporcie „Polska 2030”. Ten model jednak nie do końca się sprawdził. Profesor Przemysław Śleszyński z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN wskazuje, że rośnie rozwarstwienie, jeśli chodzi o dochody gmin, między dużymi a średnimi miastami (co ciekawe – najmniejsze miejscowości, liczące po kilka tysięcy mieszkańców,



Hajnówka, w której dziś mieszka 21 tys. osób, straciła w ciągu 20 lat ponad 10 proc. ludności

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/FORUM



Estoński pokerzysta Janar Kokk w wyniku przegranej zakładu przez miesiąc mieszkał w Hrubieszowie przy granicy z Ukrainą. Władze miasteczka wykorzystały to w celach promocyjnych

burmistrz Hajnówki. – Hajnówka nie traci swoich funkcji, ona już je utraciła – mówi ze smutkiem w rozmowie z „Do Rzeczy”. Miejscowość, w której dziś mieszka 21 tys. osób, straciła w ciągu 20 lat ponad 10 proc. ludności. Władze starają się ściągać inwestorów, korzystając także z bliskości Puszczy Białowieskiej. W planach są budowa ośrodka rehabilitacyjno-rekreacyjnego, długa turystyczna ścieżka rowerowa poza miastem i centrum edukacyjne zwane potocznie Leśnym Kopernikiem. – To są dla nas zbyt potężne inwestycje, byśmy mogli je unieść, do tego potrzebujemy także pomocy ze środków centralnych – mówi Sirak. I taka pomoc ma się pojawić. W ramach Pakietu dla Średnich Miast Ministerstwo Rozwoju przeznaczyło 2,5 mld zł na programy dla średnich miejscowości. Mają one pójść m.in. na wdrażanie innowacji przez małe i średnie przedsiębiorstwa, poprawę jakości środowiska miejskiego oraz rozbudowę i naprawę infrastruktury przeciwpowodziowej.

To wszystko brzmi pięknie i pewnie z tych pieniędzy powstaną liczne ciekawe inwestycje. Niestety, tego typu programy to stąpanie po kruchym lodzie, zwłaszcza gdy mówimy o wsparciu biznesowym. Senator Czerwiński wspomina, że w Prudniku zainwestowanie publicznych środków w budowę hotelu mocno utrudniło funkcjonowanie prywatnym placówkom. Także poszczególne samorządy konkurują ze sobą o pieniądze. – Środki rozdzielane na poziomie województwa trafiają głównie do Opola i gmin zamieszkanych przez mniejszość niemiecką, która wspólnie z województwem – mówi polityk. Trudno się zresztą dziwić, że radni tak te pieniądze rozdzielają, w końcu po to zostali wybrani.

Dysponując środkami publicznymi, zawsze będziemy mieli do czynienia z efektem „krótkiej kołdry”. Nie mamy złudzeń: i tym razem zapadnie wiele dyskusyjnych decyzji, zwłaszcza że owe 2,5 mld zł przypadnie aż na 255 miast. Można jednak wskazać kierunki, w jakich te pieniądze wydać. Do tej pory dbano głównie o polaryzację, a zapomniano o dyfuzji, czyli rozprzestrzenianiu się korzyści. To jest możliwe tylko wówczas, jeśli istnieje solidna infrastruktura transportowa. A z tą jest u nas krucho. – W Polsce są miejsca, w których przedsiębiorcy muszą jechać trzy-cztery godziny, by dojechać do stolicy województwa. To powoduje, że bardziej opłaca im się lokować swe inwestycje w centrum – mówi prof. Śleszyński. Zdaniem posła Nowoczesnej i byłego wicewojewody małopolskiego Jerzego Meysztowicza dobre połączenie z resztą świata może pomóc np. Nowemu Sączowi, w którym już dziś mieści się wiele dużych ogólnopolskich spółek. Polityk wskazuje także inne rozwiązania. – Przykładowo przydałyby się zmiany w regulacjach płacy minimalnej, która powinna być zróżnicowana ze względu na potrzeby lokalnych rynków pracy. Dzięki temu mniejsze miejscowości mogłyby lepiej konkurować z innymi – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Zła sytuacja mniejszych miast odbija się negatywnie na całym kraju. Pomoc im nie jest działaniem z zakresu polityki społecznej, ale rozwojowej. Jednocześnie trzeba pamiętać, że dosypywanie pieniędzy nie rozwiąże wszystkich problemów i że celem takich działań powinno być stworzenie odpowiednich warunków dla przedsiębiorczości, która drzemie w Polakach od Trójmiasta do Ustrzyk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.

są tym problemem dotknięte w mniejszym stopniu). – Duże miasta drenują te mniejsze z pracowników i inwestorów. A to powoduje negatywne sprzężenia zwrotne: brak rąk do pracy sprawia, że mało kto chce lokować w danym miejscu swoje przedsiębiorstwo, co z kolei wpływa na niskie płace i brak pracy. Koło się zamyka – tłumaczy prof. Śleszyński w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Tymczasem to średnie miasta stanowią pomost między większymi a mniejszymi i często bywają tym miejscem, w którym mieszkańcy wiosek mogą załatwić sprawy urzędowe czy zrobić większe zakupy, o znalezieniu pracy nie mówiąc. Oczywiście to samo można zrobić, przenosząc się do dużego miasta. Tylko że masowe migracje do dużych aglomeracji wcale nie wpływają pozytywnie na jakość życia w nich. Żeby przedstawić to obrazowo – przykładowa Warszawa da się lubić, ale nie wtedy, gdy trzeba szybko dostać się z Ursusa na Pragę.

PROBLEM KRÓTKIEJ KOŁDRY

O tym, że średnim miastom trudno samym sobie pomóc, wie Jerzy Sirak,



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Będzie drugi skok na OFE?

Coraz bardziej oddala się termin wprowadzenia w życie reformy systemu emerytalnego. Reformy autorstwa wicepremiera Mateusza Morawieckiego i prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa, polegającej na rozbudowie kapitałowego filaru ubezpieczeń emerytalnych. Najpierw, to prawda – półgębkiem – mówiło się o 2017 r., potem – oficjalnie – o początku 2018 r., a teraz dopiero o lipcu 2019 r.

Startem do budowy tego, kolejnego – po zdemolowaniu OFE przez rząd Tuska – prywatnego filaru systemu emerytalnego ma być przekazanie każdemu posiadającemu pieniądze w OFE 75 proc. zgromadzonych tam przez niego oszczędności na – tym razem już „naprawdę” i „na pewno” – jego prywatne konto emerytalne. Pozostałe 25 proc. ma zostać przyszłym emerytom przez rząd Szydło zabrane i przekazane do Funduszu Rezerwy Demograficznej, skąd prędzej czy później trafią do kieszeni obecnych emerytów, do których świadczeń musimy dopłacać coraz więcej.

Pozostaliśmy jednak przy 75 proc. Powstałe dzięki nim, już „naprawdę” i „na pewno”, prywatne konta, po pieniądze z których „nie mogłaby nigdy sięgnąć żadna władza”, mają się stać zaczątkiem większych, prywatnych oszczędności emerytalnych wszystkich Polaków, gromadzonych przez nich samych, a także przez właścicieli firm, w których pracują, wspieranych w tym celu przez państwo.

Jak jednak napisałem wcześniej, ta perspektywa się oddala. Oddala się niebezpiecznie, zważywszy na zagrożenia czyhające na budżet państwa oraz zachłanność ministrów Rafalskiej i Kowalczyka, którzy nie kryją apetytów na całość oszczędności zgromadzonych w OFE przez przyszłych emerytów. A to przywodzi na myśl coraz bardziej uzasadnione podejrzenie, że rząd Szydło, nie mając pewności, czy w 2018 r. wystarczy mu pieniędzy na wszystkie prezenty podarowane wyborcom – od dodatków „500+” do emerytur dla osób, które znów mogą na nie przechodzić w wieku 60 (kobiety) i 65 (mężczyźni) lat – wciąż woli trzymać zgromadzone w OFE przez przyszłych emerytów pieniądze „w zamrażarce”, „na wszelki wypadek”. To znaczy na wypadek, gdyby mu na coś zabrakło i wtedy zagrabi je w całości, a nie „tylko” w wysokości 25 proc. Wzorem Tuska – bo nigdy dość przypominania o jego skoku na pieniądze polskich emerytów – który w 2014 r., wraz z pomagierami z Platformy i PSL, ukradł Polakom z OFE 150 mld zł, czyli połowę ich oszczędności. Kradzież tę zalegalizował później Trybunał Konstytucyjny pod wodzą – jak wiadomo – całkowicie apolitycznego i niepokornego sędziego Rzeplińskiego, wzoru cnót wszelakich. I to był pierwszy skok na OFE.

A czy teraz nie grozi nam aby drugi skok na OFE – w wykonaniu rządu PiS? I podobny wyrok TK – pod wodzą także apolitycznej i niepokornej sędzi Przyłębskiej? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Płaca minimalna a innowacyjność

Dorobek ośmiu lat rządów PO-PSL w obszarze innowacyjności dobrze opisuje wykres sporządzony na podstawie raportów GUS. Pomimo dziesiątków miliardów złotych, które Polska otrzymała z budżetu Unii Europejskiej na wspieranie innowacyjności w ramach programu „Innowacyjna Gospodarka”, w tym okresie nastąpiła katastrofa innowacyjności w Polsce.

Odsetek firm innowacyjnych w przemyśle spadł o sześć punktów procentowych w porównaniu z 2006 r. Do jeszcze większej katastrofy doszło jednak w usługach, gdzie innowacyjność spadła o ponad połowę i osiągnęła dno w 2015 r. W 2010 r. zespół badawczy, którego pracami miałem przyjemność kierować, opracował raport o innowacyjności polskiej gospodarki. Ostrzegaliśmy w nim przed nadciągającą katastrofą innowacyjności w Polsce i sformułowaliśmy rekomendacje. Raport został przedstawiony na II Kongresie Innowacyjnej Gospodarki w 2011 r., na prezentacji było wielu ministrów. Efekt? Obrazili się, a raport został zignorowany. Rezultaty widać na wykresie.

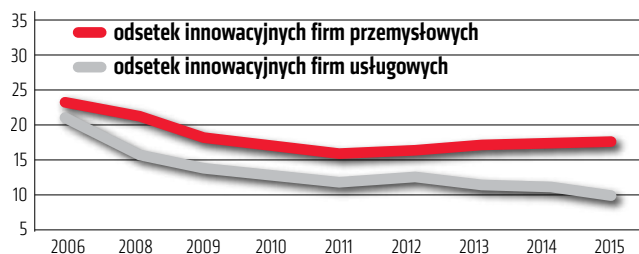
Szczególnie niepokoi spadek innowacyjności w usługach,

do którego doszło w czasie, gdy w światowych usługach nastąpiła eksplozja innowacyjności związana z wdrażaniem technologii Big Data w finansach, marketingu, sprzedaży i wielu innych dziedzinach.

Oczekuję, że ten trend ulegnie odwróceniu. Jestem o tym przekonany nie dlatego, że lepiej wykorzystujemy środki unijne, bo uczymy się na błędach przeszłości, i nie dlatego, że polskie uczelnie stały się bardziej innowacyjne. Jestem o tym przekonany, ponieważ w Polsce znacząco zaczęły rosnąć płace, a wzrost kosztów pracy jest ważnym czynnikiem rozwoju innowacyjności – przykładem jest chociażby postępująca robotyzacja w Chinach. Podobnie decyzja rządu PiS o wzroście płacy minimalnej przyczyni się do wzrostu innowacyjności.

Odeszliśmy od modelu gospodarczego rządu PO-PSL, w którym Polska była rezerwuarem taniej siły roboczej dla Unii. Obecnie motorem wzrostu w mniejszym stopniu będą inwestycje firm zagranicznych w Polsce z powodu niskich kosztów pracy, a w większym stopniu polskie, coraz bardziej innowacyjne firmy. Tak trzymać. ©©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

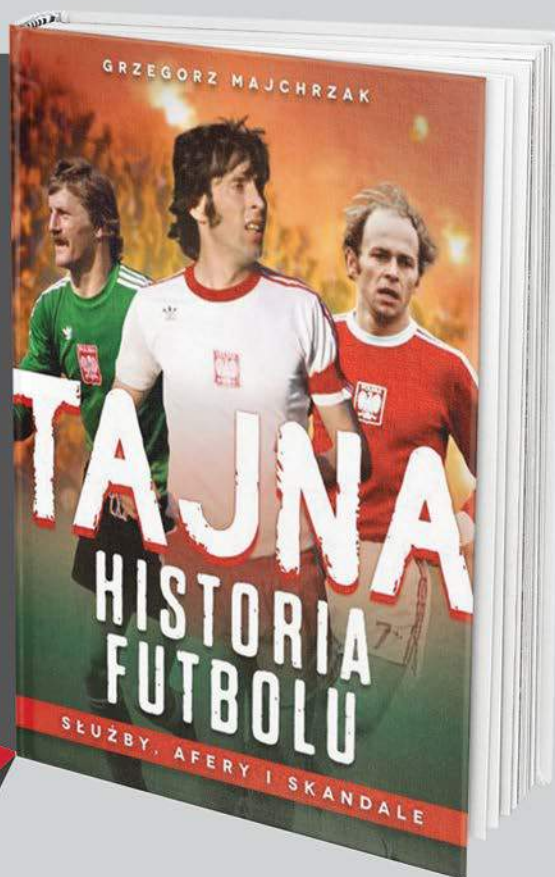
PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA G. MAJCHRZAKA „TAJNA HISTORIA FUTBOLU”

HISTORIA POLSKIEGO FUTBOLU TO NIE TYLKO ZŁOTY MEDAL OLIMPIJSKI I DWUKROTNE TRZECIE MIEJSCE NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA – TO TAKŻE PODSŁUCHY, PROWOKACJE I AFERY OBYCZAJOWE.

W KSIĄŻCE GRZEGORZA MAJCHRZAKA OPARTEJ NA NIEZNANYCH MATERIAŁACH IPN SENSACJA GONI SENSACJĘ, A HISTORIE KAZIMIERZA DEYNY „BANDY CZWORGĄ”, JANA TOMASZEWSKIEGO, MARKA LEŚNIAKA CZY ROBERTA GADOCHY JASNO POKAZUJĄ KOMU BEZPIEKA „ZAŁOŻYŁA SIATKĘ”, A KTO POTRAFIŁ JEJ STRZELIĆ W OKIENKO.

137 zł

oszczędność 82 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

epresa.pl ed449cf27b

TEST „DO RZECZY”: LOGITECH CRAFT

Specjalne pokrętko ułatwiające obsługę programów biurowych i graficznych, bardzo dobra jakość wykonania oraz elegancki, minimalistyczny design – to najważniejsze zalety „inteligentnej” klawiatury, którą szwajcarska firma Logitech zaprezentowała na niedawnych targach IFA 2017 w Berlinie.

Umieszczone w lewym górnym rogu aluminiowe pokrętko ma według projektantów znacząco zwiększać efektywność pracy. Po zainstalowaniu oprogramowania Logitecha klawiatura automatycznie rozpoznaje bowiem, w jakim programie aktualnie pracujemy, i dostosowuje funkcje pokrętki do konkretnych aplikacji. Za jego pomocą można więc m.in. regulować głośność odtwarzanej muzyki lub jasność ekranu, powiększać lub zmniejszać tekst w programie do tworzenia prezentacji, zwiększać ostrość zdjęć w programach graficznych, zmienić rozmiar pędzla w popularnym programie do obróbki zdjęć, przełączać się między utworami w aplikacji muzycznej, a także szybciej tworzyć tabele w arkuszach

kalkulacyjnych. Pracownicy działów księgowości docenią też pewnie specjalny klawisz wywołujący kalkulator. Poza tym na klawiaturze znajdziemy też klawisze ułatwiające obsługę zarówno systemu Windows, jak i macOS.

Obsługa pokrętki – które umożliwia bardzo precyzyjne wykonywanie różnych zadań – jest prosta i intuicyjna. Użycie nowego gadżetu często jest zaś szybsze niż przeprowadzenie tych samych czynności za pomocą tradycyjnej myszy. Ciekawe jest również „inteligentne” podświetlenie klawiszy, które aktywuje się przy zbliżeniu dłoni do klawiatury.

Łatwe jest parowanie Crafta z komputerem, smartfonem czy tabletem, które odbywa się poprzez Bluetooth lub – w przypadku laptopów czy komputerów stacjonarnych – za pomocą

niewielkiego odbiornika USB.

A jak się pisze na „inteligentnej” klawiaturze? Wygodnie. Delikatnie wyżłobione klawisze są przyjemne w dotyku i niezwykle solidnie wykonane. Nie jest to jednak najbardziej komfortowa klawiatura, jakiej do tej

pory używałem. Osoby, które rozważają rozpoczęcie pracy nad długą powieścią, powinny więc zastanowić się nad zakupem czegoś wygodniejszego. „Inteligentnej” klawiaturze brakuje bowiem m.in. ergonomicznej podkładki pod nadgarstek. Również skok klawiszy jest według mnie zbyt płytki. Wadą jest też stosunkowo krótki czas pracy na baterii – klawiaturę trzeba podłączać do ładowania co najmniej raz w tygodniu. Dla wielu potencjalnych użytkowników minusem będzie też zapewne bardzo wysoka cena urządzenia, czyli 850 zł.

Logitech Craft jest więc gadżetem dla profesjonalistów, którzy chcieliby ułatwić sobie nieco pracę np. nad projektami graficznymi i którzy aby uzyskać lepszą efektywność, są gotowi wydać spore pieniądze.

Jacek Przybylski

ZIMNO, CIEPŁO, CIEPLEJ...

Macie dość dusznych pomieszczeń, biurowej klimatyzacji, nieustannego oddychania kurzem, szelestu wiatraczków, niemożności otwarcia okna, bo jakaś panienska w korpo wykręciła klamki? Chcecie odetchnąć świeżym powietrzem, wychodząc więc na dwór (krakusy na pole, a poznaniacy na podwórkę) i jak na złość jest albo zbyt zimno, albo zbyt gorąco? Producenci Aicon Watch twierdzą, że mózg – męski też – można oszukać. A wszystko dzięki technologii ClimaCon, którą wykorzystuje ten „zegarek”. Całe urządzenie przypomina bowiem niewielkiego, noszonego na nadgarstku smartwatcha

wyposażonego w miniklimatyzator. Jak działa? Prosto. Gadżet obsługiwany jest za pomocą dotykowego ekranu, na którym wyświetlana jest plansza pozwalająca na ustawienie impulsów odpowiednio dostosowanych do temperatury, która nam by odpowiadała. Po uruchomieniu generuje w czułych miejscach nadgarstka sygnały, które mózg ocenia jako ciepłe, zimne, letnie itp., a efektem końcowym jest stworzenie dla całego organizmu wrażenia, że jest ciepiej lub chłodniej niż w rzeczywistości. Uwaga, nie dajcie się nabrać i nie przeziębiecie się. Na jednym ładowaniu Aicon Watch działa ok. czterech godzin. Urządzenie można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 350 zł.



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



NIE LICZCIE BARANÓW

Posłów opozycji albo poznańskich urzędników odpowiedzialnych za sparaliżowanie ruchu w mieście też nie liczcie. Co prawda pewnie każdemu babcia mówiła, że pomaga to w zaśnięciu, bo w końcu umysł się zmęczy, ale w praktyce to nie działa. Naukowcy mówią, że do dobrego snu potrzebna jest odpowiednia temperatura (i brak chrapiącego „współspacza”). O temperaturę możemy zadbać sami, nawet jeśli mamy w pomieszczeniu tylko okna bez klamek. Jak? Dzięki „klimatyzowanemu” poduszkom Moona, które – sterowane odpowiednią smartfonową aplikacją – mają obniżać swoją temperaturę i jednocześnie wprowadzać delikwenta w spokojny sen. A także podnosić temperaturę powierzchni, oddziałując na skórę głowy w momencie, gdy zbliża się straszny czas pobudki. Cena na Kickstarterze to ok. 900 zł za sztukę.

Wojciech Wybranowski

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



PARP



PARTNERZY:



URSUS



eprasa.pl ed449cf27b

PARTNER MERYTORYCZNY:



PATRONI MEDIALNI:





Joanna Bojańczyk

Czy Dior jest wciąż ważnym domem mody, czy tylko luksusową metką, którą przykleja się perfumom i galanterii?

Jeśli jest nazwisko w modzie, na które reagują nawet ci, których te sprawy nie obchodzą, to tym nazwiskiem jest Dior. Dior to globalny mit luksusu. Z ankiety na temat luksusu przeprowadzonej przez magazyn „Time” wynika, że Dior jest takim symbolem na całym świecie. Mit ten dla większości ludzi wypełnia się wprowadzie tylko w akcie kupienia buteleczki perfum, szminki lub krawata, jednak suknia pozostaje raczej w sferze abstrakcji.

Do domu mody Dior wciąż przychodzi listy od klientek, które chciałyby spotkać Christiana Diora. Założyciel słynnej marki, który zmarł 60 lat temu, a w swojej firmie pracował tylko 10 lat, do dziś pozostaje symbolem francuskiej mody i elegancji. A także narodowym skarbem i czołowym produktem eksportowym. I tak jest nieprzerwanie od 1947 r., kiedy monsieur Dior otworzył swój zakład krawiecki przy eleganckiej Avenue Montaigne w Paryżu.

Nieważne, że od 1985 r. marka nie ma ze swoim założycielem wiele wspólnego, bo razem z innymi bastionami krawiectwa i kosmetyki należy do luksusowego konglomeratu LVMH. Co więc pozostało z dawnego splendoru poza nazwą marki, którą gigantycznym wysiłkiem finansowym – pokazami, reklamami – utrzymuje się na topie? Po śmierci założyciela przez Maison Dior przewinęło się sześciu projektantów. Każdy robił co innego, starając się na swój sposób, ale według poleceń właściciela, podtrzymać kultowy styl.

Nikomu się nie udało. Dzisiaj czar diorowskiej wyważonej elegancji prysł, ale magia marki działa. To ona sprzedaje produkt. Czego chcieć więcej?

Dla mody 70 lat to wieczność. Ten biznes jedzie po szybkim pasie. Nowe kolekcje kilka razy do roku – nie tylko ubrań, lecz także kosmetyków, dodatków. Kto chciałby kupić szminkę w kolorze sprzed dwóch lat? Nie ma o tym mowy, dzisiaj już są nowe. Tylko perfumy trwają z niezmiennymi od lat nazwami – lekko liftingowane magiczne słowa: „Miss Dior”, „Diorella”, „Eau Sauvage”, „Fahrenheit”.

Magia Diora



Christian Dior w towarzystwie modelek podczas pierwszego pokazu swoich kreacji w Londynie, 25 kwietnia 1950 r. FOT. TOPFOTO/FORUM

– Któregoś dnia jadąc samochodem, zapomniałem dokumentów – opowiada tygodnikowi „Paris Match” prezes LVMH Bernard Arnault. – Zatrzymał mnie policjant, pokazałem mu wizytówkę Diora, bo tylko to miałem przy sobie. – A, Dior... Dobra, niech pan jedzie – powiedział z uznaniem policjant i zsalutował na pożegnanie.

Dzisiaj u Diora nie ubierają się paryskie markizy ani amerykańskie milionerki. Dzisiejsi menedżerowie stawiają na młodzież i na nowe rynki: Rosję, Brazylię, Chiny. Podtrzymywaniu renomy służą zatrudniani przez prezesa projektanci. Mają nie tylko tworzyć kolekcje – mniejsza o to, i tak biznes generują perfumy i galanteria. Najważniejsze jest działanie PR.

Mnożyć informacje w mediach, pokazywać modelki i odważne kreacje, nagłaszać skandale. Żle czy dobrze, ale niech o nas mówią.

SZYCIE TO TEŻ SZTUKA

Dior senior, zamożny producent nawozów sztucznych, widział syna w roli statecznego inżyniera. Chłopiec jednak niezbyt interesował się mechaniką. Za to już jako kilkulatek sprzedawał swoje szkice sukni, więc w końcu ojciec się poddał i dał synowi pieniądze na założenie własnej galerii. Lepsze to niż szycie, w końcu działalność zbliżona do sztuki. Jednak artystyczny interes splajtował.

Krawieckiego warsztatu Christian nauczył się jeszcze przed II wojną światową, pracując w niewielkim domu mody Roberta Piguet. Potem wcielono go do wojska, a gdy wyszedł w 1942 r., zatrudnił się w domu mody Lucien Lelong. W czasie wojny Lelong ubierał żony oficerów niemieckich i francuskich kolaborantów. Podobnie robiły inne słynne nazwiska francuskiej mody – Nina Ricci, Jean Patou, Jeanne Balmain.

Zakład przy eleganckiej Avenue Montaigne miał być niewielki, przeznaczony dla elitarnej, najbardziej wybrednej publiczności. Wytworną dekorację zaprojektował przyjaciel Christiana, Victor Grandpierre. Boazeria w kolorze perłowo-szarym, meble w stylu Ludwika XVI miały być dyskretne, tak by nie odwracać uwagi od sukni. Markizy miały ubierać się elegancko, ale modnie. Czas zapomnieć o wojennej nędzy, o oszczędnościach, o szwach malowanych na łydkach udających pończochy. Kobiety marzyły, żeby znów włożyć piękne suknie.

12 lutego 1947 r. Christian Dior pokazał kolekcję pod nazwą Corolle. Suknie były w kwiaty, ale nie to zwróciło uwagę redaktorki Carmel Snow, szefowej amerykańskiego magazynu „Harper's Bazaar”. Ważny był kształt sukni – całkiem inny niż w oszczędnie szytych powojennych ubraniach, także tych u pragmatycznej, skromnej panny Chanel. Tutaj było rozrzutnie. Suknie Diora miały talię osy ściśniętą gorsetem, a dół rozwijał się hojnym kłosem sięgającym do połowy łydek. Jednak nie wszystkim kobietom to się podobało. Po powojennych kostiumach za kolana te wydawały się za długie.

I tak była to jednak rewolucja. Kobiety dostały to, na co czekały: kobiecość, strojność, odświeżoną, romantyczną aurę. New look, bo tak Carmel Snow nazwała kolekcję, wymagał pełnego uzbrojenia: kapelusza, torebki, rękawiczek, halki podtrzymującej obfita spódnice.

Świat oszalał na punkcie nowej mody. Nie miał on zresz-

tą alternatywy – moda w latach 50. nie dopuszczała odstępstw. Talia osy i szeroka spódnica stały się symbolem tamtej dekady. W popisowych kreacjach prezentowały się gwiazdy Hollywood: Grace Kelly, Anita Ekberg, Doris Day, wschodząca gwiazda francuskiego kina Brigitte Bardot. Moda przetrwała aż do końca lat 50.

W zielonej sukience w kwiaty z dopasowaną talią i dekoltem pamiętam babcię z końca lat 50. W paczce z Ameryki dostała nylonową halkę, na której spódnica trzymała się sztywno jak dzwon. Do tego szpilki, w rękę okrągły plastikowy koszyczek. W tym stroju zadawało się szyku na fajfach w domu zdrojowym w Jastarni. New look tylko z niewielkimi modyfikacjami wytrzymał przez 20 lat, aż do połowy lat 60., kiedy na scenie pojawili się Courrèges i Cardin. Był to najtrwalszy look nowoczesnej Europy, ale jego autor niedługo cieszył się sukcesem. 10 lat po swojej najśłynniejszej premierze Christian Dior zmarł w wieku 52 lat. Wersje na temat przyczyn śmierci są sprzeczne: zakrzepienie osi, atak serca w czasie gry w karty, zbyt forsowne wyczyny seksualne.

SZESĆCIU PANÓW

Szefostwo u Diora obejmuje 21-letni Yves Saint Laurent. Na swoim stanowisku trwa zaledwie trzy lata, ale gruntownie zmienia wizerunek firmy. Zrywa ze stylem poprzednika: jego suknia w kształcie trapezu „Bonne Conduite” (dobre prowadzenie) zapowiada już lata 60. Jest wąska w ramionach i trapezoidalnie rozszerza się w dół. Taki geometryczny kształt sylwetki zdominuje najbliższą dekadę.

Po Yvie Saint Laurencie do Diora przychodzi Marc Bohan, który zostanie tam do roku 1989. Jego typ to kobieta nowoczesna,

dynamiczna. Inspiruje się malarstwem Jacksona Pollocka, ale mimo stworzenia wielu interesujących kreacji haute couture nie pozostawia silnego piętna na marce. Maison Dior zaczyna podupadać. Jest oczywiste, że firmie trzeba zastrzyku świeżej krwi. Jej los i kasę bierze w swoje ręce rzutki biznesmen i finansista, Francuz Bernard Arnault. W 1984 r. kupuje podupadającego i zadłużonego, ale wciąż prestiżowego Diora. Zatrudniony zostaje utalentowany grubas, Włoch Gianfranco Ferré. Razem z nim w roku 1989 moda wkracza w postmodernizm. Wszystkie chwytły dozwolone: Gianfranco cytuję new look, ale opatrzone zacięciem włoskiego teatru – suknie są barokowo bogate, wypracowane, pełne zdobieć. To jednak nie pomaga. Arnault ryzykuje: w roku 1997 na stanowisko dyrektora artystycznego przyjmuje Johna Galliano, Anglika z Gibraltaru, absolwenta londyńskiej uczelni w Saint Martin. Dla Francuzów to szok. Anglik w świątyni francuskiej mody? Dlaczego?

Kadencja Galliano zwiastuje nową epokę w modzie: projektant to już nie skromny człowieczek, który w zaciszu swojej pracowni szkicuje nowe projekty. To demiurg, bóstwo, które powołuje do życia magiczne światy dostępne dla nielicznych. Ekscentryczny, tajemniczy, pojawia się rzadko, żeby udzielić wywiadu magazynowi z wyższej półki. Zarabia wielkie pieniądze. Można go zobaczyć przez chwilę na wybiegu mody, gdy wychodzi ukłonić się publiczności.

John Galliano nie we wszystkich punktach odpowiada temu rysopisowi, choć jego kariera potwierdza bezprecedensowy awans zawodu krawca we współczesnym świecie. Sława tego niezwykle utalentowanego człowieka wykroczyła poza poletko biznesu mody. Znany był z pięknych kreacji dla Diora, a także z dziwacznych własnych przebrań, ekscentrycznych póz. Wreszcie z tego, że w 2011 r. wylano go z hukiem z Diora po tym, jak w knajpie po pijanemu antysemitką odzywką potraktował obcą kobietę.

Dzisiaj Paryż już się nie dziwi, gdy kolejną szefową ich dumy narodowej jest Włoszka Maria Grazia Chiuri. Jest w niej od niedawna, a co z tego wyniknie – nie wiadomo. Wiadomo, że pani Brigitte Macron, obecnie najbardziej medialna Francuzka, nosi ubrania od Louis Vuitton. Widać, kto jest wygranym w tej konkurencji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Aktorka Jennifer Lawrence w sukni Diora
FOT. LUCY NICHOLSON/REUTERS/FORUM



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pieczarki kontra smardze

Sezon grzybowy już w pełni, warto więc zajrzeć do starych przepisów, sprawdzić, co mają nam do powiedzenia w sprawie rydzów, borowików, kurek i podgrzybków. Jak podaje Józef Kostrzewski, grzyby są znane w naszej kulturze od zawsze, od czasów dawnych Słowian, od których moda na nie przeszła do Niemców. W średniowieczu kojarzące się raczej z postem, w renesansie i baroku zostały nieco zapomniane, spotykamy je zazwyczaj jako dodatek do potraw i sosów, ale nie jako danie główne. Zresztą, co ciekawe, w dawnych czasach zbierano tylko najszlachetniejsze odmiany – prawdziwki, rydze, czasem kurki. W XVII w. popularne były smardze, których w Polsce niestety prawie nie ma – są pod ochroną, bo prawie wszystkie wybierano. U Czernieckiego te niezwykle rzadkie i smakowite grzyby są zaledwie dodatkiem – np. do potrawy z gołębi albo kurcząt. O ile dobrze rozumiem przepis, kuchmistrz wymienia je jako składnik szaszłyków, bo kawałki podgotowanego mięsa natyka się na szpilki razem z grzybami, podsmaża na maśle, potem dorzuca pokrojoną cebulę i pietruszkę, masło, sól, pieprz, gałkę muszkatołową, dolewa trochę rosółu i gotuje. Smardze były w tym czasie tak powszednie, że dla Czernieckiego o wiele bardziej godne magnackiego stołu

stają się... pieczarki! Tak samo zresztą możemy użyć do tego innych grzybów, byle młodych, to znaczy małych. W „Compendium ferculorum” jest też polewka grzybowa, czyli odpowiednik naszych duszonych grzybów, z pietruszką. Do stołu podawało się ją po odlaniu wody, z oliwą, pieprzem i – co ciekawe – z dodatkowymi grzybami obtoczonymi w mące oraz smażonymi na oliwie lub maśle, jako przydatek. Grzyby podawano też z rybami, a raczej w wywarze, który powstawał po ich ugotowaniu, gotowano pokrojoną w dzwonka rybę.

Smażonych rydzów Czerniecki chyba nie znał. A szkoda, bo to jedno z moich ulubionych dań. Oczywiście przyrządzane na maśle (trzeba wrzucić przynajmniej 300 g), ale najpierw wymoczyć je w wodzie. Jeden z moich znajomych z Bieszczadów przyrządzał je w ciekawy sposób – po wymoczeniu wkładał na patelnię z częścią wody, w której wcześniej leżały, w ten sposób niejako je podgotowując, a dopiero kiedy woda odparowała, wrzucał masło. Najlepiej smakowały popijane whisky... bez lodu, bo nie było go jeszcze w strumieniach.

Z XVIII w. pochodzi przepis na pierwsze grzyby ze śmietaną – najlepiej nadawały się do tego smardze i pieczarki. Aby je przyrządzić, należało wziąć rondel, włożyć tam grzyby, masło, pietruszkę i cebulę, podgrzać na

ogniu, wtedy wsypać trochę mąki, zalać ciepłą wodą, posolić i... pocukrzyć. A kiedy już się ugotowały, zaprawić je żółtkami ze śmietaną, podawać z grzankami smażonymi na maśle, układając je na spodzie półmiska.

W XIX stuleciu pojawia się prawdziwy wysyp przepisów na przetwory z grzybów, osobliwie z rydzów lub borowików. Solone przyrządzano się tak: po sparzeniu gorącą wodą wykładano je na sito, a kiedy odciekły, kładło się do faski, kapeluszami do góry, tak jak rosną, każdą warstwę przesypywało się solą, pieprzem prostym i angielskim, dodawano bobkowych liści i pokrojonej cebuli dla smaku. Grzyby przyciskano w fasce deseczką, bo nikt nie znał wtedy zakręcanych słoików.

Rydze marynowane obmywano w czystej wodzie, solono, zostawiano na kilka godzin. W tym czasie gotowano litr octu z 200 g cukru, litrem francuskiego wina i korzeniami dla smaku. Rydze wrzucano do gotującego się octu, a potem przelewano to wszystko do kamiennego garnka, zawiązywano płótnem i przechowywano w chłodnym miejscu. Kwaszone przygotowywano tak: wkładano grzyby do glinianego garnka, przesypywano angielskim korzeniem, zalewano osoloną, przegotowaną zimną wodą, przyciskano denkiem i wynoszono do zimnej piwniczki. ©©



Rydze smażone na zimę

Młode, dobrze oczyszczone rydze smażymy na patelni, dodając całą kostkę albo dwie dobrego masła. Potem odstawiamy do wystygnięcia, kładziemy w słoiki i zalewamy tym samym masłem, w którym się smażyły. Masła należy dać bardzo dużo – „co najmniej na trzy palce nad grzybami”. Uwaga! – nie lejemy gorącego, ale lekko podgrzane, ledwo płynne. Takie rydze można przechowywać w słoiku w suchym i chłodnym miejscu. Podsmażone na patelni będą jak świeże, prosto z lasu.

MIELONE Z PESTKAMI DYNI POLECA ADAM ANDRUSZKIEWICZ

Wychowałem się w dość konserwatywnej rodzinie, gdzie od pokoleń kuchnia jest królestwem kobiet. Ani moi dziadkowie, ani mój ojciec, ani ja nigdy nie byliśmy w stanie dorównać umiejętnościom kulinarnym płci pięknej z naszego domu.

Pochodzę z Podlasia, które słynie z wyjątkowej gościny, a przepisy kulinarne przechodzą z pokolenia na pokolenie. Warto jednak czasem wnieść nieco nowoczesności również do naszych najbardziej tradycyjnych dań. Tak postanowiła zrobić moja mama, która ukończona przez Polaków mielone postanowiła nieco urozmaicić. Polecam państwu przepysznie pachnące, pieczone kotlety mielone z pestkami dyni.

Przygotowanie:

Mięso mielimy, dodajemy 3 jajka oraz odciśniętą z mleka bułkę. Dodajemy podsmażoną cebulkę, sól, pieprz, plus pestki dyni do farszu. Następnie całość wyrabiamy, formujemy kotlety, obtaczamy w pozostałych ziarnach dyni. Układamy na ruszcie i pieczemy ok. godziny. Soczyste kotlety z chrupiącymi ziarnami dyni najlepiej smakują oczywiście z polskimi ziemniakami. Smacznego! ☺☺

*Adam Andruszkiewicz jest
posłem Kukiz'15 i prezesem
stowarzyszenia Endercja.*



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Składniki:

- 0,5 kg łopatki wieprzowej
- 0,5 kg karkówki
- 3 jajka
- 1 duża bułka pszenna namoczona w mleku
- 1 duża cebula
- 0,5 kg pestek dyni



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pomarańcze – identyfikator

Kończą się powoli borówki amerykańskie, późnym malinami i truskawkami nie spodobały się ostatnie ulewne deszcze. Nieuchronnie wchodzimy w okres monopolu jabłek, bananów oraz cytrusów. O ile z rozpoznaniem odmian jabłek nie ma kłopotu, a nawet gdyby był, to zarówno bazarowy sprzedawca, jak i sprzedawca w supermarkecie nas w tej kwestii oświecą, o tyle z cytrusami gorzej. Trudno się dziwić – tradycja tanich pomarańczy jest u nas w wieku przedszkolnym. Okres, kiedy jadało się je tylko na Boże Narodzenie, a gazety donosiły o płynącym z Kuby statku z cytrusami, na szczęście minął.

Dopiero niedawno w pewnej sieci sklepów zauważyłam pomarańcze w torbach z napisem: „Na sok”, a obok inny gatunek z napisem: „Do jedzenia”. Kiedy jednak go nie ma, jak poznać owoce, o ile supermarket nie wymieszał w jednym stosie kilku odmian, co się często zdarza?

Kolor ma mniejsze znaczenie, owoce jaśniejsze bywają smaczniejsze niż te ze skórą w mocno pomarańczowym kolorze. Ważne jest, by pomarańcza była ciężka – to świadczy o soczystości. Jeśli jest zbyt twarda, to może oznaczać, że w środku będzie sucha. Powinna lekko uginać się pod palcami.

Bepestkowa i słodka jest odmiana Navel, doskonała do jedzenia. Rozpoznamy ją po tym, że tzw.

guzik znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie niż gałązka. Sezon na nią jest od listopada do maja. Odmiana Cara Cara ma skórę nieco bardziej różową, a smak z lekką nutą goryczki, co czyni ją idealną do sałatek.

Sezon – od grudnia do

kwietnia. Valencia to odmiana najbardziej popularna. Valencia ma trochę cięszą skórę od dwóch pierwszych odmian,

co łatwo wyczuwamy dotykem, słodki smak, owoce trochę mniejsze. Sezon na nią jest od lutego do października – można powiedzieć, że to pomarańcza lata, czasu, kiedy cytrusów kupujemy mniej. Idealna na sok – większość przemysłowych soków pomarańczowych robi się właśnie z tej odmiany. Wreszcie Blood Orange – pomarańcza krwista, o skórce trochę grubszej niż pozostałe i wewnątrz mocno czerwonym, jakby przekrwionym. Barwę zawdzięcza dużej zawartości karotenu, silnego antyoksydantu. W smaku jest trochę cierpka, a to sprawia, że lepiej nadaje się do sałatek i potraw niż inne gatunki.

Jak przechowywać pomarańcze? Do dwóch tygodni w lodówce lub w temperaturze pokojowej, ale nigdy w torebce foliowej. Sok najlepiej wypić od razu po wyciśnięciu, trzymać tylko w lodówce, można go także zamrażać. Szklanka soku to tylko 98 kalorii, ale zdrowiej, prościej i mniej kalorycznie jest po prostu zjeść całą pomarańczę razem z cenną białą skórą. ☺☺



NASZ TEST: BMW 440i CABRIO

Wolność. Niczym nieograniczona wolność. Właśnie to poczucie dominuje, gdy zasiada się za kierownicą sportowego kabrioletu z silnikiem o mocy 326 KM, który na przyspieszenie od 0 do pierwszej setki potrzebuje zaledwie 5,4 s. Diodowe reflektory sprawiają, że kierowcy słabszych aut uzurpujący sobie prawo do jazdy po lewym pasie grzecznie zjeżdżają, gdy tylko ujrzą w lusterku drapieżne światła zamontowane po obu stronach typowej dla BMW chłodnicy.

W KABINIE

Wykończone materiałami najwyższej jakości wnętrze pozwala na komfortową jazdę kierowcy i pasażerowi. Biała skóra, którą obite są nie tylko fotele, lecz także boki drzwi oraz elementy deski rozdzielczej, nadaje kabinie ekskluzywny wygląd, choć jest bardzo podatna na ubrudzenie, zwłaszcza podczas jesiennych przejażdżek.

Teoretycznie na tylnej kanapie zmieszczą się jeszcze dwie osoby, ale dłuższa jazda z tyłu nie należy do najprzyjemniejszych. Bagażnik w tym modelu w zasadzie nie istnieje. Po odjęciu miejsca zarezerwowanego na dach kufer ma pojemność kojarzącą się raczej z rowerową sakwą niż samochodem. Jeśli więc ktoś planuje wyruszyć na weekend z czymś więcej niż plecakiem, to warto zmienić tylną kanapę w przedział bagażowy.

JAZDA

W tym modelu radość z jazdy to nie tylko reklamowy slogan. Świetny układ kierowniczy sprawia, że testowane bmw – zwłaszcza z podniesionym dachem – fantastycznie się prowadzi niezależnie od tego, czy ścigamy się z czasem na autostradach, czy pokonujemy górskie serpentyny.



Projektanci z Bawarii zamontowali w tym modelu twardy dach, co pozwoliło na świetne wyścieślenie kabiny. Nawet przy wysokich prędkościach autostradowych wewnątrz auta można swobodnie rozmawiać, a jednocześnie delectować się pięknym brzmieniem trzylitrowego sześciocylindrowego silnika. Twardy dach nie wymaga również od właściciela specjalnej troski i lepiej izoluje zarówno od wysokich, jak i od niskich temperatur. Wadą twardego dachu jest jedynie niewielka prędkość, z jaką możemy się poruszać podczas rozkładania lub składania dachu (maksymalnie 18 km/godz.) – w przypadku automatycznie rozkładanych dachów miękkich można taką operację wykonać, jadąc spokojnie 50 km/godz. Jeśli więc nagle zacznie padać, trzeba uciekać na parking lub liczyć na trwające mniej więcej 20 s czerwone światło na najbliższym skrzyżowaniu.

Jeśli jednak nie pada, to jazdą pod gołym niebem można cieszyć się również wówczas, gdy temperatury na zewnątrz w niczym nie przypominają tych letnich. Auto nie tylko zapewnia bowiem niezłą ochronę przed wiatrem, lecz także świetnie nawiewa na kierowcę i jego pasażerkę gorące powietrze zarówno z przodu, jak i z tyłu (przyjemny ciepły strumień wypływa spod zagłówek prosto na kark). Oczywiście przednie fotele są też dodatkowo ogrzewane.

Podczas testu średnie spalanie na trasie wyniosło 10,5 l/100 km, a w mieście ok. 12 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Bezpieczeństwo zwiększają elektroniczni asystenci. Kierowca może więc liczyć na ostrzeżenie, gdy zbyt szybko zbliża się do pojazdu poprzedzającego, a także dyskretne ostrzeżenie przed samochodami znajdującymi się w martwym polu lusterek. Podczas szybkiej jazdy przydatny jest też opcjonalny wyświetlacz Head-Up Display, dzięki któremu ani na chwilę nie trzeba odrywać wzroku od drogi, aby sprawdzić prędkość lub wskazówki nawigacji.

CENA

Za kabriolet z silnikiem o mocy 184 KM i manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić co najmniej 195 tys. Model 440i o mocy 326 KM i z automatyczną skrzynią biegów kosztuje minimum 295,4 tys. zł, a ze sportową skrzynią i napędem na obie osie – już 307,4 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A5 Cabriolet, Mercedes Klasy C Cabriolet, Opel Cascada ©©

Jacek Przybylski





MITSUBISHI
MOTORS

Drive@earth



CALLIGRAPHY



NAPISZ SWOJĄ DROGĘ

Shodō. To po japońsku kaligrafia. Sztuka pięknego pisania, która w Japonii jest też szkołą kształtowania charakteru. Uczy koncentracji, dbałości o detale oraz pozwala odkrywać piękno. Zainspirowani japońskimi mistrzami, stworzyliśmy program personalizacji o nazwie Calligraphy. Pozwala on dostosować Mitsubishi Outlander do Twojego stylu, gustu i potrzeb.

Wybierz Mitsubishi Outlander Calligraphy i napisz swoją drogę.

Szczegóły oferty dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Mitsubishi i na stronie www.calligraphy.mitsubishi.pl.

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl.

Emisja CO₂: 149–155 g/km; zużycie paliwa 5,8–6,7 l/100 km.

OUTLANDER
CALLIGRAPHY

書道



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Wszystko po staremu

MARCIN MAKOWSKI: Przy okazji wydania książki Hillary Clinton „Co się stało?” Fox News zrobiło wyliczkę osób i instytucji, które Clinton obwinia o przyłożenie ręki do zwycięstwa Trumpa. Są tam wszyscy, od FBI do Joe Bidena.

MATTHEW TYRMAND: Czyli na pytanie, co się stało, przez prawie dwa lata, które miała na przemyślenia, doszła do odkrywczego wniosku: „Zawinił cały świat, tylko nie ja”. Rękę do klęski przyłożyli: Bernie Sanders, James Comey, Władimir Putin, a nawet social media jako takie ze względu na popularne w Internecie memy i aktywnych zwolenników Donalda Trumpa. To nic, że Google tak ustawiało wyniki wyszukiwań, aby promować kandydatkę demokratów. To nic, że największe firmy technologiczne współfinansowały jej kampanię, Facebook i Twitter oberwały w książce za zbytnią bierność. Clinton miała nawet pretensje do kobiet, które na nią nie głosowały, ponieważ mężowie kazali im popierać Trumpa. Niesamowity przejaw feminizmu – publicznie podważać zdolność innych kobiet

do wyrażania własnych niezależnych opinii politycznych. Mnie najbardziej rozbawiło obwinianie „New York Timesa”. Gazeta, która niemal oficjalnie zapisała się do fanklubu Clinton, została obszciorcowana za to, że ośmieliła się okazjonalnie opisywać historie, które nie stawiały jej w dobrym świetle. Czyli w przypadku afery e-mailowej trzeba było milczeć, bo każda inna reakcja promowała Trumpa? Wiele razy porównywaliśmy w naszej rubryce podobieństwa między polską a amerykańską polityką, ale chyba właśnie na przykładzie Clinton najlepiej widać, że to ta sama mentalność i wypieranie rzeczywistości.

Tymczasem Trump, po dosyć burzliwym okresie w Białym Domu, nieco zapunktował przemówieniem podczas posiedzenia ONZ. Przypomniało to z Warszawy.

W dużej mierze to również powtórzenie retoryki z mowy inauguracyjnej. „America first”, suwerenność narodowa, patriotyzm – te wartości wysuwają się na pierwsze miejsce. Świetne, energiczne wystąpienie, w którym Trump zagroził zrównaniem z ziemią Korei Północnej, potępił porozumienie Obamy z Iranem, rządy Kuby i Wenezueli oraz ponadnarodowe gremia, które chcą stanowić prawo w niepodległych państwach. Myślę, że prezydent Duda musiał być zadowolony, słuchając słów o „Polsce, która dzięki swojemu patriotyzmowi ocaliła niepodległość”, oraz silnych

państwach narodowych, które są gwarantem wolności własnych obywateli. Poza tym Trump kolejny raz stanowczo potępił relokację imigrantów. „Pieniądze, które płacimy za jedną przesiedloną osobę, mogłyby pomóc 10 ubogim rodzinom już żyjącym w USA”. Oczywiście lewica się oburzy, ale Trump ma rację – niekontrolowana migracja dotyka zwłaszcza najbardziej niebezpiecznej części społeczeństwa. Mam nadzieję, że to będzie kubeł zimnej wody na głowę ONZ, które stało się ciałem niewydolnym, a w jego radzie zasiadają państwa łamiące prawa człowieka, Stany Zjednoczone płacą zaś przy tym 22 proc. budżetu mimo partycypacji prawie 200 innych państw.

Zakończmy jednak czymś pozytywnym. 18 września w warszawskim zoo odbyła się ceremonia wręczenia Nagrody im. Żabińskich dla Polaków ratujących Żydów. Wśród publiczności obok m.in. ministra Morawieckiego i prezesa Kaczyńskiego byli: wiceprzewodniczący Knesetu, amerykańscy kongresmeni, brytyjscy politycy...

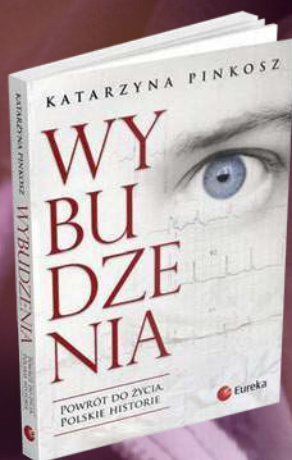
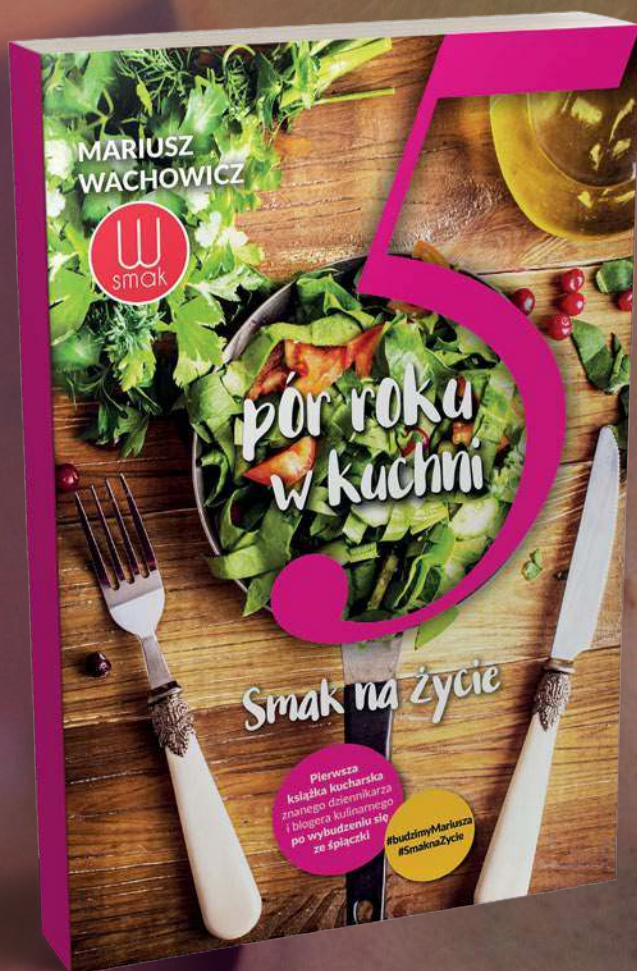
Wiem, że niedawno już go tutaj chwaliliśmy, ale całe to przedsięwzięcie nie doszłoby do skutku bez Jonny'ego Daniela, który w imieniu fundacji From The Depths zorganizował ceremonię obok willi Żabińskich. Niesamowicie pozytywne przesłanie dla świata, pokazujące, że Polacy nie tylko nie są antysemitami, lecz także poświęcali życie, ratując Żydów. Przemówienie Kaczyńskiego cytowały największe media świata, a obecność polityków z tyłu sojusznicy z Polską państw tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jeśli zdolni ludzie zabiorą się do promowania naszego kraju z tą historią, którą mamy, to wszystko da się jeszcze odkłamać. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



KUPUJESZ - GOTUJESZ - SMAKUJESZ- POMAGASZ



Historia Mariusza
pochodzi z książki
WYBUDZENIA

#BudzimyMariusza
#SmakNaZycie



#budzimymariusza
Życie
smakuje lepiej
kiedy pomagasz
innym!
#SmakNaZycie

MEDIA ZE SMAKIEM NA ŻYCIE

PARTNERZY
ZE SMAKIEM
NA ŻYCIE



SuperDrob



IGEPA



wprost



POLSKA

DO RZECZY

O-Kurczaki.pl

eprasa.pl ed449cf27b



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Przeoczenie

W trudnym okresie stresów i przepracowania każdemu z nas zdarzają się kroki podjęte bezrefleksyjnie, z przeoczeniem specyficznych uwarunkowań

W moim prywatnym żenadometrze to tłumaczenie obecności prezes Sądu Najwyższego u prezydenta na uroczystości zaprzysiężenia sędziego Trybunału Konstytucyjnego zmieściło się w pierwszej trójce ubiegłotygodniowych żenad. Daleka jednak jestem od wyśmiewania pani prezes, bo choć jej kolejne tłumaczenia i tłumaczenia z tłumaczeń brzmią komicznie,

konstytucja i kompetencje orzekania o ważności wyboru zostały przekazane komentatorom, nawet jeśli mówią chórem. Nie ma więc najmniejszego – poza czysto politycznym – powodu do okazywania focha i bojkotowania głowy państwa, które nie przystoi osobie sprawującej jeden z najwyższych urzędów, w dodatku taki, który ma obowiązek zachować polityczną przezroczystość. Tak też chyba uznała sędzia Gersdorf, przyjmując zaproszenie prezydenta i pojawiając się na uroczystości.

Wbrew hysterii krytyków jej zachowania to nie wizyta u prezydenta była gestem politycznym, ale wszystko, co potem zrobiła pod wpływem krytyki, jaka na nią spadała ze strony „sojuszników”, zawiedzionych, że nie wykorzystała okazji do politycznej demonstracji. To naprawdę niesamowite, jak bardzo formalnie niezależna i niezawisła prezes Sądu Najwyższego jest uzależniona od politycznych recenzji swoich zachowań. I naprawdę trudno sobie nie zadać pytania, jak często w swoich innych decyzjach kierowała się kalkulowaniem, czy się to spodoba na medialnych i politycznych salonach. Jak często, zamiast kierować się wyłącznie prawem, rozważała polityczne „specyficzne uwarunkowania”, żeby ich czasem nie przeoczyć i nie popaść

w niełaskę tych, z których zdaniem najwyraźniej liczy się bardziej niż z własnym.

Gdy Sąd Najwyższy odmówił rozpatrzenia sprawy dotyczącej prezes Trybunału Konstytucyjnego wniesionej przez Andrzeja Rzeplińskiego, spadła na niego fala krytyki za podjęcie decyzji politycznej, a komentatorzy nie kryli, że owszem, oczekiwali decyzji czysto politycznej, ale akurat nie takiej. Profesor Wojciech Sadurski: „To samobój polityczny. W obliczu pozbawionego skrupułów zespołu pseudosędziów TK SN abdykuje, powołując się na sztuczki prawnicze”. Profesor Marek Matczak: „Decyzja SN jest apolityczna, ale będzie wykorzystana politycznie przez PiS”. Nie tylko oni uważali wtedy, że Sąd Najwyższy zamiast cackać się z paragrafami, powinien podjąć decyzję polityczną na politycznej wojnie. „My nie możemy uczestniczyć w dyskursie politycznym. Nie jesteśmy aktorami procesów politycznych” – bronił Sądu Najwyższego jego rzecznik Michał Laskowski. Pani prezes musiała dobrze zapamiętać tamtą lekcję i drugi raz nie odważyła się narazić na gniew „obrońców” niezawisłości sądów. Tylko czy ktoś, kto pod wpływem komentarza w gazecie robi taką woltę, naprawdę jest niezawisły? ©©

To nie wizyta u prezydenta była gestem politycznym, ale wszystko, co potem sędzia zrobiła pod wpływem krytyki

powiedziała rzecz niezmiernie ważną. Nie żebym wcześniej tego nie wiedziała, ale wyłożone tak wprost jednak trochę szokuje.

O ile mi wiadomo, do tej pory żaden uprawniony do tego organ nie stwierdził nieważności powołania przez prezydenta PiS-owskich sędziów Trybunału Konstytucyjnego, pogardliwie ochrzczonych dublerami, nic mi też nie wiadomo, żeby w międzyczasie zmieniła się

pod Warszawą, co tam teraz wszyscy się spotykają. Wszystko mam nagrane. Miał pani bojkotować prezydenta całkowicie, niezależnie od tego, co robi.

– W restauracji? W bunkrze? Z panem? A kto pan jest właściwie?

– Za przeproszeniem, bez jaj. Jak to kto? Grzegorz, lider opozycji.

– A, no faktycznie. Widzi pan, panie przewodniczący, tak to właśnie jest. Dziury takie mam. Patrzę i nie rozpoznaję. I z tym prezydentem to tak samo było.

– Jakże znowu dziury?

– W świadomości. Z przepracowania. I ze stresu. Tak wtedy było. Wsiadłam do auta, coś tam kierowcy powiedziałam, nie wiem sama co. Potem wysiadłam, ktoś tam coś do mnie mówił, stanęłam sobie gdzieś, coś tam się działo, nie zapercypowałam co. Postąpiłam tak, potem wróciłam. Wszystko bezrefleksyjnie.

– I ja mam w to uwierzyć?

– Pan? A kto pan właściwie jest?

©© Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To nie są żarty. PiS-owski projekt nacjonalizacji mediów gotowy. W Wigilię w Polsce może nie być wolnych mediów”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

PODSŁUCHANE

Cud niepamięci

– Pani prezes, nieładnie, jak pani mogła pojechać do prezydenta na zaprzysiężenie dublera dublera? Nie tak się umawialiśmy. Oj, nie tak.

– Jakoś się umawialiśmy w ogóle? Bo sobie nie przypominam.

– Jak to: nie? Dwa miesiące temu przecież, na kolacji w tej antypod-słuchowej restauracji w bunkrze



fol. Jerzy Gumowski

Kto nas broni? Boni

Przeczytałem niedawno gazetową informację, że „Michał Boni stoi w Parlamencie Europejskim na czele grupy, która domaga się od instytucji unijnych nałożenia różnego rodzaju sankcji na Polskę”.

Co oznaczało, że przed postępującym u nas zalewem faszyzmu broni nas tam właśnie Michał Boni — on zwłaszcza, wódz unijnego ruchu oporu. Trudno się dziwić, w końcu zawsze był antyfaszystą, więc piękna kariera czołowego obrońcy zagrożonej polskiej demokracji, jaką dziś robi na estradach Brukseli, wieńczy złotym laurem heroiczną drogę życiową tego bojownika.

Ow heroizm był niezmiennie wielowatkowy/wielowarstwowy, a datować go można od wczesnej młodości Michała Boniego. Co prawda heros miał jako nastolatek trochę szczęścia, gdyż będąc o 10 lat młodszym nie musiał chodzić do sasko-kepskiego liceum im. Bolesława Prusa wtedy, kiedy uczęszczał tam znany faszysta Waldemar Łysiak, jednak trafił na innego znanego dziś faszystę, Piotra Glinńskiego, obecnego ministra kultury (byli w tej samej klasie). Jakoś to zniósł, był bowiem niezłomnym humanistą (wrogowie, oczywiście, mienili go „humanizdą”), co później udawał całym swoim spiżowym życiem, nie tylko publicznym, również prywatnym, żeniąc się (kolejno) z panią Nasiłowską (literatką), panią Engelking (szefową Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN) oraz panią Jahns (urzędniczką Komisji Europejskiej). Jednak ważniejsza dla ojczyzny była — „naturellement” — działalność publiczna, znaczy: polityczna. Nie tylko zresztą nadziemna.

Będąc szczerym patriotą Boni wstąpił do „Solidarności” (w 1980 roku) i zasłużył się tam jako niezłomny działacz tzw. „podziemnych struktur”. Redagował podziemne czasopisma („Wola”, „Praca” i in.), narażał się jako członek Duszpasterstwa Ludzi Pracy Wola (zrzeszającego około stu komisji związkowych), aż wreszcie został członkiem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „S” i stanął na czele Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Ten wspaniały dorobek przyniósł mu zasłużone uznanie ze strony rodzimych antyfaszystów, lecz „oszołomy”, których nigdy i nigdzie nie brakuje, wciągnęły go na wszelkie listy (Macierewicza, Milczanowskiego i in.) „tajnych współpracowników” bezpieki jako wieloletniego donosiiciela o kryptonimie TW „Znak”, przez którego zamykano ludzi, wpadały drukarnie i lokale. Wrogowie cytowali słowa ostatniego peerelowskiego premiera, Mieczysława Rakowskiego: „— Dużo raportów od donosiicieli to były bzdury, ale jego

raporty były wręcz doskonałe”. W obronie piętnowanego stanęły antyfaszystowskie tuż „Solidarności” (Wujec, Bujak, Janas, „e tutti quanti”) oraz niezawodna „GW”, czyli „Adaś” walczący bohatersko z „dziką lustracją”, lecz humanizm, sumiennosc, godność i wewnętrzna uczciwość Michała Boniego sprawiły, że przyznał się (w 2007 roku), demontując zaśpiew „dobrych ludzi”, iż jest „krzywdzonym przez lustratorów bohaterem podziemia solidarnościowego”. Nie każdy z tamtych herosów umie się zdobyć na taki „coming-out”, do tego trzeba prawdziwego hartu ducha.

Wspomnianą wyżej godność — niewzruszoną godność — Michał Boni okazał też wówczas, gdy Janusz Mikke obił mu twarz „z liścia” za granie (przed przyznaniem się) roli aktywnego kontestatora lustracji, pryncypialnie zwalczającego lustratorów czyli faszystów. Zachował wzorową zimną krew, nie wdając się w bijatykę, bo humaniście takie chamstwo nie przystoi. To, że swego czasu wyzywał zwolenników lustracji od Robespierrow i Dzierżyńskich, było mądrością innego, minionego etapu, zaś mądrością nowego stała się wzniosła pokora (cha-



Wacław Sieroszewski
(wiersz „Czegoś chcą?”):

„I powiał w górę czerwony Znak”



rakterystyczna dla natur górnołotnych) i unijona służba przy boku Donalda Tuska, którego przyjaciелеm mieni się od dawna — od czasów wspólnej aktywności wewnątrz Unii Wolności (był szefem tejże na Mazowszu) i wewnątrz Platformy Obywatelskiej (osobiście pisał program PO). Faszyści, rzecz jasna, wykazali agresywną czujność, głosząc:

„Któż to dziś tak za Tuskiem
z wazeliną goni?
Któżby inny — to przecież
nasz minister Boni!”



Ministrem tudzież wiceministrem zostawał Michał Boni wiele razy, w antyfaszystowskich gabinetach Suchockiej, Bieleckiej i Tuska. Resorty rozmaite (pracy, cyfryzacji, administracji, bez teki), a wrogowie oczywiście kłapali, że nie zna się na niczym i paprze wszystko (posłanka Barbara Babuła: „— Zapewnienie postępu cywilizacyjne-

go w zakresie dostępu do internetu i cyfryzacji telewizji okazało się ponad siły ministra Boniego”, etc.). Faszyści wieszali psy również na dokumencie programowym PO „Raport Polska 2030”, opracowanym przez Boniego. Jęczano, iż ten raport stanowi dowód, że „pan minister Boni to niebezpieczny ideolog promujący lewacki światopogląd”. Jeszcze głośniejsze ujadano, kiedy Boni, działacz sorosowskiej Fundacji Batorego, zainicjował energiczne prace nad ustawą, która miała zwalczać faszystowską „mowę nienawiści”, wołając: „— W sprawie mowy nienawiści nie wystarczy nam egzekwowanie prawa. Europa potrzebuje silniejszych [penitencjarnych?] działań w tym kierunku”. Medioznawca Maciej Howiecki skwitował tę frazę klasyczną „mową nienawiści” wymierzoną przeciw humaniście: „Można to nazwać niesmacznym, choć to za małe słowo”.

Inni faszyści czepiali się, że Michała Boniego interesują szczególnie przejawy „mowy nienawiści” w katolickich homiliach, obrażające „polityczną poprawność”, i że jako minister, któremu podlega sprawy wyznań religijnych, działa na szkodę Kościoła katolickiego, co „wpisuje się w ogólną atmosferę antykatolickiej nagonki i instrumentalnego traktowania religii przez rządzących polityków” („Nasz Dziennik” 2013). Beata Falkowska pisała wówczas: „Nastawienie polityków takich jak Boni odgrywa rolę w kształcie rządowych propozycji, które utrwalają dyskryminację Kościoła katolickiego”. Nasz bohater mężnie znosił te faszystowskie kalumnie i konsekwentnie rejestrował w ministerstwie (czyli wprowadzał do grona „grup religijnych mających urzędowy status związku wyznaniowego”) modne modernistyczne religie (jak ekologiczni Wyznawcy Słońca ze Szklarskiej Poręby), które faszyści zwa sektami lub jeszcze gorzej, bardziej kolokwialnie.

Od dobrych paru lat Michał Boni upublicznia swój postępowy repertuar na szerszym niż tubylcze forum, przywdzawszy szaty europoła. Znalazł tam pepinię bardziej mu sprzyjającą, pełną takich samych jak on humanistów (Schulz, Juncker, Mogherini, Timmermans, „et consortes”), i bierze tam udział w przedsięwzięciach nie mniej heroicznych (exemplum „głódówka rotacyjna” — sic!) jak te z czasów podziemnej „Solidarności”. Zatem mogę „bez krępacji” krzyknąć do rodaków: obywatele, „nil desperandum”! — nie traćcie nadziei, nie lękajcie się! Jakkolwiek pomiędzy Bałtykiem a Tatrami faszyzm napiera, wszelako zbyt dużych krzywd nam nie robi, bo tam w UE nas broni Michał Boni! Dzielnym niczym ten sienkiewiczowski Michał, zwany przecież małym rycerzem. Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki „Znak” twój? Kupa chwały. Ze wskazaniem na: kupa. ©©

Waldemar Łysiak

EUROJACKPOT

NOWOŚĆ!

WYOBRAŹ SOBIE NEWYOBRAŻALNE

EURO
JACKPOT

Odkryj nową grę Eurojackpot, w której czekają na Ciebie
niewyobrażalnie wielkie pieniądze.
Maksymalna główna wygrana to nawet 375 000 000 złotych!



Więcej informacji znajdziesz na www.lotto.pl

